



# **Binchy Maeve**

# **Liliowy autobus**



**Mojemu drogiemu Gordonowi z miłością.**

## Nancy

Nancy, jak zwykle, przybyła przed czasem. Nie chciała jednak, żeby ktoś ją zauważył. Człowiek, który zbyt wcześnie stawia się w umówionym miejscu, sprawia wrażenie, że nie ma nic do roboty. Inni, zadyszani, przybiegali w ostatniej chwili, pełni obaw, że się spóźnią, autobus im ucieknie i będą mieli poważny problem. Tom zawsze punktualnie o szóstej czterdzieści pięć przekręcał kluczyk w stacyjce i wyprowadzał liliowy autobus na szosę, aby zgodnie z obietnicą dowieźć wszystkich przed dziesiątą do domu. Jakiż sens miałby ich powrót do Rathdoon, gdyby nie zdążyli zajrzeć wieczorem do pubu? Nancy nie podzielała tej filozofii, miała po prostu zwyczaj przychodzenia wszędzie przed wyznaczoną porą. Weszła do kiosku z gazetami. Większość wyeksponowanych pocztówek znała już na pamięć z poprzednich, co piątkowych oględzin. Jedna z kartek o okazałych rozmiarach przedstawiała spływające łzy i napis: „Wybacz, że zapomniałem o Twoich urodzinach”. Sprzedawano tu również lokalną prasę, lecz Nancy nigdy jej nie kupowała. W domu czekały na nią gazety, z których mogła się wszystkiego dowiedzieć.

Uważnie przyjrzała się swojej trwałej ondulacji w dużym, okrągłym lustrze. Było zawieszona pod kątem wysoko na ścianie w celu zapobiegania kradzieżom i dawało dziwaczny obraz. Nancy miała nadzieję, że odzwierciedlenie nie jest wierne, w przeciwnym razie jej ondulacja naprawdę prezentowałaby się groteskowo. Zaniepokojona utkwiała oczy w swoim odbiciu. Czyżby rzeczywiście przypominała małe, zatrwożone zwierzątko ze zmierzwionymi włosami i olbrzymimi, wystraszonymi oczami? A właśnie to widziała, patrząc na siebie. Łudziła się, że stojący obok niej ludzie inaczej ją odbierają. W końcu każdy w krzywym zwierciadle wyglądałby głupio.

Pogładziła się po głowie i ponownie ogarnął ją niepokój z powodu fryzury. Niebezpiecznie przypominała uczesanie, jakie nosiły rówieśniczki jej matki w Rathdoon: wakacyjną i bożonarodzeniową ondulację. Mocno poskręcane loki, które w miarę upływu tygodni coraz bardziej przywodziły na myśl błyskawice lub inne wyładowania elektryczne. Dziewczyny w salonie fryzjerskim zapewniły ją, że wysuwanie podobnych obaw jest szaleństwem.

Zrobiono jej przecież modną trwałą przy użyciu najnowszego preparatu na rynku. Aż strach pomyśleć, jakie poniosłaby koszty, gdyby musiała za nią zapłacić! Zapłacić! Dobre sobie! Nancy Morris nie wydałaby połowy ani nawet jednej czwartej tej sumy. Przejechała przez cały Dublin po to, żeby się dostać do salonu, gdzie - jak słyszała - czesze się ludzi za darmo. Określano ich mianem modeli. Lecz Nancy była realistką. Młodzi adepci sztuki fryzjerskiej potrzebowali głów, na których mogliby zdobywać zawodowe doświadczenie, i sprytne osoby, takie jak ona, zawsze wiedziały, w którym z dużych salonów organizowano w danym dniu zajęcia dla uczniów i pokazy. Od czasu swojego przyjazdu do Dublina, to jest od sześciu lat, tylko dwukrotnie zapłaciła za wizytę u fryzjera. Nieźle, pomyślała, i uśmiechnęła się z dumą. Tak czy owak, trwała została zrobiona i nie było powodu, żeby zerkać na swoje odbicie z obawą. Najwyższa pora, by przejść na drugą stronę ulicy i zająć miejsce w autobusie. Dawno minęło wół do szóstej i z pewnością zdążyli już przybyć inni pasażerowie.

Tom siedział za kierownicą i czytał popołudniówkę. Podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Dobry wieczór, panno Myszko - powiedział uprzejmie i jednym ruchem, bez najmniejszego wysiłku, umieścił jej walizkę na półce. Wsiadła z naburmuszoną miną. Nie znosiła, gdy zwracał się do niej w ten sposób, choć nazywał ją panną Myszka z jej własnej winy. Kiedy zadzwoniła do niego, by zapytać o miejsce w mikrobusie, przedstawiła się w sposób

formalny: Morris. No cóż, przywykła do prowadzenia rozmów w urzędowym tonie. Przecież na tym polega jej praca. Skąd miała wiedzieć, że powinna podać swoje imię i że kierowca źle usłyszy nazwisko? Złościło ją jednak, że nadal odmawiał nazywania jej Nancy, choć do pani Hickey, która mogłaby być jego matką, zwracał się po imieniu: Judy.

- Taki duży багаż, a prawie nic nie waży - zauważył uprzejmie. Nancy tylko skinęła głową. Nie była w nastroju, aby mu wyjaśniać, że to jej jedyna walizka i że w przeciwieństwie do innych ludzi nie ma zamiaru wydawać ponad pięciu funtów na zakup plastikowej torby. Poza tym potrzebowała dużego neseseru: zawsze było coś, co zabierała ze sobą do stolicy - jarzyny, w tym również ziemniaki, i mnóstwo innych przydatnych rzeczy. Kiedy przyjaciółka matki, pani Casey, pozbywała się zasłon, Nancy je wzięła i teraz przepięknie prezentowały się w jej dublińskim mieszkaniu.

Zajęła jedno ze środkowych siedzeń, obciążając spódnicę, żeby się nie wymięła, i wyjęła glukozowe cukierki. W szpitalu stał ich pełen słoik i zawsze ją częstowano. Nie przepadała za nimi, ale podczas podróży miło było coś schrupać. Inni pasażerowie kupowali landrynki lub toffi, ale po co miałyby wydawać pieniądze na słodycze, skoro można je mieć za darmo? Rozłożyła gazetę, pozostawioną przez jednego z pacjentów w poczekalni. W ten sposób zdobywała spore ilości lektury. Ludzie czekający na wizytę u specjalisty mieli skłonność do zapominania o swoich dziennikach i magazynach. Rzadko zdarzało się, żeby Nancy została wieczorem bez czegoś do czytania. Tłumaczyła sobie, że to daje jej możliwość zapoznawania się z różnorodnymi periodykami. Zbieranie porzuconej prasy było zawsze jak niespodzianka. Mairead tego nie rozumiała. Nancy zachmurzyła się na myśl o swojej współlokatorce. Sprawa między nimi wymagała wyjaśnienia. Stanowisko koleżanki było nieoczekiwane i krzywdzące.

Nancy podniosła gazetę, aby Tom sądził, że czyta, i na powrót oddała się rozmyślaniom. W środę po powrocie do domu Mairead nerwowo krążyła po mieszkaniu, brała do ręki różne przedmioty i zaraz z powrotem odkładała je na miejsce. Najwyraźniej coś nie dawało jej spokoju; nie trzeba było być geniuszem, żeby się tego domyślić. Nancy przypuszczała, że współlokatorka zamierza ponownie poruszyć problem telewizora. Miały biało-czarny odbiornik w doskonałym stanie, który zazwyczaj spisywał się bez zarzutu i tylko czasami śnieżył. Jakież więc był sens wydawania fortuny na wypożyczenie kolorowego aparatu? A tym bardziej na wideo? Mairead napomknęła kiedyś o tym, jak gdyby obie były milionerkami. Nancy pełna oczekiwania oderwała wzrok od odbiornika, który niewątpliwie miał właśnie jeden ze swoich gorszych wieczorów i aby nadażyć za akcją, trzeba się było domyślać fabuły na podstawie fonii. Okazało się jednak, że Mairead chce omówić sprawę o znacznie donioślejszym znaczeniu.

- Przez cały tydzień zastanawiałam się, Nancy, jak mam ci o tym powiedzieć. Nie znalazłam jednak odpowiedniego sposobu, postanowiłam więc, że nie będę owijać sprawy w bawełnę. Zamierzam zamieszkać z kimś innym i jestem zmuszona cię poprosić, żebyś się stąd wyprowadziła. Oczywiście, w dogodnym dla ciebie czasie. Nie wyrzucam cię na ulicę... - Roześmiała się nerwowo, lecz Nancy była zbyt ogłuszona nowiną, żeby jej zawtórować. - Nie umawialiśmy się przecież, że będziemy dzielić to mieszkanie do końca życia. Nasze porozumienie zostało zawarte na okres próbny... Tak obie ustaliłyśmy... - Pod wpływem poczucia winy załamał się jej głos.

- Ależ mieszkamy już razem od trzech lat - zauważyła Nancy.

- Tak, wiem - przytaknęła Mairead z przygnębieniem.

- A więc dlaczego? Czy kiedykolwiek zalegałam z komornym i nie płaciłam na czas za energię elektryczną? Czy przywożąc

żywność z domu, nie ponosiłam w części kosztów aprowizacji? Czy nie zdobyłam zasłon do wszystkich okien w holu i czy...

- Oczywiście, Nancy, nikt nie twierdzi, że tego nie robiłaś.

- A więc dlaczego?

-To kwestia... Właściwie nie ma żadnego konkretnego powodu. Czy nie będzie prościej, jeśli rozstaniemy się bez kłótni i bez zadawania zbędnych pytań? Znajdziesz sobie inne lokum, będziemy się nadal spotykać i umawiać do kina, czasami ty zajrzysz do mnie, a innym razem ja wpadnę do ciebie. Daj spokój, Nancy. Tak załatwia się sprawy w wieku dojrzałym.

W Nancy aż zawrzało z wściekłości. Oto Mairead, ekspedientka z kwaciarni, pouczała ją, jak załatwiają pomiędzy sobą sprawy dorośli ludzie. Mairead, która nie miała ani jednego wyróżnienia na świadectwie ukończenia szkoły, kazała Nancy wynosić się ze swojego mieszkania. Z jej mieszkania. Rzeczywiście, to Mairead je znalazła i gdy rozglądała się za jakąś współlokatorką, jej ciotka, pani Casey, przyjaciółka matki Nancy, zasugerowała, żeby użytkowały je wspólnie. Skąd więc nagle wpadł jej do głowy pomysł o rozstaniu? Kogo chciała tu wprowadzić?

Najgorsze było to, że Mairead najwyraźniej nie przejmowała się tym, gdzie ona się podzieje. Twierdziła tylko, że pragnie zmiany. Nancy wyłączyła śnieżący telewizor, spodziewając się zwierzeń o płomiennej miłości, nic takiego jednak nie nastąpiło. Koleżanka spojrzała tylko na kalendarz.

- Daję ci miesiąc czasu, do połowy października. Z pewnością do tej pory zdążysz sobie znaleźć inne mieszkanie.

- Ale z kim będę je dzielić? - jęknęła Nancy.

Mairead wzruszyła ramionami. Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Zasugerowała, że być może Nancy powinna wynająć sobie pokój. Niezwykle rzadko gotuje i nigdy nie wydaje przyjęć; miejsce do spania powinno więc jej wystarczyć. Ależ wynajęcie pokoju kosztuje fortunę! Współlokatorka znów tylko

wzruszyła ramionami, jak gdyby problem ten był jej całkiem obojętny.

Nazajutrz rano Nancy piła w kuchni herbatę. Nigdy nie zadawała sobie trudu przygotowywania śniadań. Przecież zawsze mogła coś zjeść w szpitalu. Dlaczego miałyby nie korzystać z przywilejów wynikających z wykonywania zawodu sekretarki medycznej, takich jak szpitalna stołówka czy ogólnie dostępne cukierki z glukozą? Mairead jak zwykle zjawiała się w ostatniej chwili i Nancy poprosiła ją o przebaczenie.

- A cóż miałabym ci, na miłość boską, wybaczając, Nancy?

- Z pewnością zrobiłam coś niewłaściwego, w przeciwnym razie nie należałabyś, żebyś opuściła nasze mieszkanie.

- To moje mieszkanie i przestań wreszcie błaznować. Nie zawierałyśmy związku małżeńskiego. Wprowadziłaś się do mnie i w połowie pokrywałaś koszty komornego, ale teraz twój udział się skończył. Zrozumiałaś? I nie doszukuj się w tym niczego niezwykłego. - Przełykała pośpiesznie płatki kukurydziane, starając się jednocześnie wciągnąć na nogi swoje ulubione botki. Nancy uważała, że są okropne. Ich cena stanowiła równowartość trzech pensji. Jak można wydać aż tyle na jedną parę butów?

- Co powiem w Rathdoon? - spytała posepnie Nancy. Współlokatorka była zaskoczona.

- O czym? - spytała zdezorientowana.

- O naszym rozstaniu.

- A kogo to może obchodzić? Czy ktoś w ogóle wie, że mieszkamy razem?

- Wszyscy: nasze matki, twoja ciotka Casey, każdy.

- Nie rozumiem, co chcesz właściwie wyjaśniać. - Mairead wyglądała na szczerze zdumioną.

- Co twoja matka sobie o mnie pomyśli? Co ja jej powiem?

Nagle młoda kobieta straciła cierpliwość. Nancy w dalszym ciągu nie mogła otrząsnąć się z szoku na myśl o przeprowadzce.

- Moja matka, tak jak każda inna, w tym także i twoja, jest normalną kobietą. Zapewniam cię, że nic sobie nie pomyśli. Interesuje ją tylko to, czy nie jestem w ciąży, czy się nie narkotyzuję i czy wciąż co niedziela chodzę do kościoła. Każdą matkę obchodzą jedynie te trzy kwestie. Wyłącznie te problemy nurtują matki w Indiach, w Rosji i w każdym innym miejscu naszego globu; no, może z wyjątkiem uczestnictwa we mszy. I mają w nosie, z kim ich córki dzielą mieszkania, czy zgadzają się ze swoimi współlokatorkami, czy też, jak to ma miejsce w naszym przypadku, działają sobie na nerwy. Pragną być tylko informowane o zasadniczych sprawach.

- Ależ przecież my nie działamy sobie na nerwy - zauważyła cicho Nancy.

- No to drażnimy się nawzajem, co za różnica. Dlaczego miałabyś się kłopotać udzielaniem wyjaśnień i opowiadaniem czegokolwiek? Ludzi to wcale nie interesuje.

- Czy ja ciebie drażnię? -Tak.

- Z jakiego powodu?

- Och, Nancy, daj spokój. - Mairead była przybita.

- Ustaliliśmy wczoraj wieczorem, że nie będziemy się o nic wzajemnie obwiniać ani prowadzić jałowych sporów. Tak postanowiliśmy. A ty znowu zaczynasz wszystko od początku. Czasami ludzie wyprowadzają się nawzajem z równowagi, to całkiem naturalne. Prawdopodobnie ja też nieraz swoim zachowaniem doprowadzam cię do białej gorączki. Muszę już iść.

Nancy spędziła okropny dzień. Zapoznała się z cenami wynajmu mieszkań i okazało się, że są zawrotne. Lokale położone dalej od centrum były oczywiście tańsze, lecz musiałyby wtedy dojeżdżać do szpitala, a nie miała zamiaru wydawać ciężko zarobionych pieniędzy na bilety autobusowe. Analizowała w myślach swoją rozmowę z Mairead. Nie mogła pojąć, czym drażni swoją współlokatorkę. Nie paliła ani - w przeciwieństwie do niej - nie sprowadzała do domu hałaśliwych



gości, którzy przynosili wino, a potem wychodzili po kurczaka i frytki. Nigdy nie nastawiała głośno płyt, gdyż nie posiadała żadnych, i zawsze można było liczyć na jej pomoc. Często wycinała z gazet specjalne oferty handlowe i zbierała kupony upoważniające do zniżki przy zakupie żywności oraz detergentów. Nieraz radziła Mairead, żeby jeździła na weekendy do Rathdoon. W Dublinie ludzie pod koniec tygodnia przepuszczają mnóstwo pieniędzy, a przecież w domu można spędzić ten czas za darmo. Czym więc irytowała Mairead?

Dzisiaj rano Nancy znów zapytała współlokatorkę, czy sprawa jest przesadzona. A kiedy koleżanka bez słowa skinęła głową, poprosiła ją łagodnym tonem, żeby jeszcze raz rozważyła swoją decyzję. Mairead odparła jednak, że nie ma się nad czym zastanawiać, i poradziła jej, żeby czym prędzej wyruszyła na poszukiwanie nowego mieszkania.

Słyszając jakieś odgłosy, Nancy podniosła wzrok. To przybyła Dee Burke. Miała na szyi uniwersytecki szalik, chociaż skończyła studia dwa lata temu. W ręce trzymała płócienną torbę, którą cisnęła na górną półkę. Tom się roześmiał.

- Niewykluczone, że jeszcze zostaniesz mistrzynią w rzucie dyskiem - zawyrokował.

- Chciałam ci jedynie dowieść, że kobiety są naprawdę wyzwolone. Poza tym zabrałam ze sobą zaledwie kilka par majtek oraz książki, bo zamierzam się pouczyć.

Nancy była zdumiona, że Dee, córka doktora Burke'a, która mieszka w porośniętym bluszczem domu, może w tak nieskrępowany sposób rozmawiać z Tomem Fitzgeraldem o swojej bieliznie. Jej słowa nie zabrzmiały jednak niestosownie. Dee sama dla siebie ustalała zasady postępowania i, jak daleko Nancy sięgała pamięcią, zawsze tak było. Niektórzy słusznie mogliby sądzić, że powinna jeździć własnym samochodem, lecz dziewczyna twierdziła, że nie zarabia dużo jako aplikantka u radcy prawnego. Nancy nie mogła się nadziwić, że Dee korzysta z mikrobusu. Burke'owie zajmowali przecież wysoką pozycję

wśród społeczności miasteczka. I podróże ich córki w przypadkowo dobranym towarzystwie musiały wydawać im się dość osobliwe. Dee najwyraźniej to nie przeszkadzało. Do wszystkich odnosiła się w jednakowy, przyjacielski sposób - począwszy od Keva Kennedy'ego, na którego widok każdy miał ochotę przejść na drugą stronę ulicy, po beznadziejnego Mikeya Burnsa z jego sprośnymi dowcipami. Ze szczególną sympatią traktowała Nancy. Teraz też podeszła do niej, zajęła miejsce obok i, jak zwykle, zaczęła ją wypytywać o pracę.

To nadzwyczajne, ale pamiętała nazwiska wszystkich lekarzy, pracodawców Nancy. Doskonale wiedziała, który z nich jest specjalistą od chorób oczu, który ortopedą, a który laryngologiem. Nieomylnie odróżniała pana Barry'ego od pana White'a i Charlesa. Nawet matka Nancy miałaby z tym duże kłopoty. Mairead nie potrafiła spamiętać nazwisk własnych szefów, a co dopiero cudzych.

Dee była osobą bardzo uprzejmą i miała nienaganne maniery. A ludzie jej pokroju, aby zadośćuczynić nakazom dobrego wychowania, przejawiali zainteresowanie życiem innych osób.

Jako następny przybył Rupert Green. Miał dzisiaj na sobie bardzo szykowną marynarkę.

- Wielkie nieba, Rupercie! To pewnie oryginalny włoski ciuch, prawda? - spytała Dee, gdy znajomy przesunął się w głąb autobusu.

- Tak, rzeczywiście. - Błada twarz młodego mężczyzny zarumieniła się z radości. - Skąd wiesz?

- Napatrzyłam się na nie w żurnalach. Prezentuje się wspaniale.

- Przyjaciel zdobył ją gdzieś na przecenie. - Zainteresowanie, jakie wywołała nowa część jego garderoby, sprawiło mu wyraźną przyjemność.

- Domyślam się, że została kupiona na wyprzedaży. W przeciwnym razie twój ojciec musiałby chyba sprzedać swoją

kancelarię, żeby móc za nią zapłacić - powiedziała ze śmiechem Dee.

Ojciec Ruperta był prawnikiem i to za jego pośrednictwem Dee zdobyła praktykę w Dublinie. Nancy przyglądała się im z zazdrością. Prowadzili rozmowę z tak wielką swobodą. Obycie towarzyskie musi być czymś wspaniałym. Ogarnęła ją lekka irytacja na myśl o tym, że jej od dawna już nieżyjący ojciec był listonoszem, a nie prawnikiem. Zaraz jednak dało znać o sobie poczucie winy. Ojciec ciężko pracował i był szczęśliwy widząc, że dzieci radzą sobie z nauką i obejmują urzędnicze stanowiska.

Gdy Rupert zmierzał w stronę tylnego siedzenia, zjawiała się pani Hickey. Opalona, nawet w zimie, zawsze miała zdrowy wygląd i trudno było określić jej wiek. Nancy dopytywała się o nią u różnych osób. Dzięki poskładanym do kupy strzępom informacji wiedziała, że kobieta dobiega już sześćdziesiątki. Judy Hickey pracowała w zwariowanym miejscu, gdzie sprzedawano ziola, ziarna zbóż i orzechy. Część tych produktów uprawiała sama. W tym celu wracała co tydzień do domu - żeby je zebrać i przywieźć do sklepu. Nancy nigdy w nim nie była; Dee zapewniała, że jest cudowny. Twierdziła, że każdy powinien do niego zajrzeć choćby ze zwykłej ciekawości. Nancy zbyt poważnie traktowała swoją posadę sekretarki u trzech wziętych dublińskich lekarzy, by się narażać, że zostanie przez kogoś zauważona, jak wchodzi lub wychodzi ze sklepu jakiejś znachorki.

Judy zajęła miejsce z tyłu, obok Ruperta, a Mikey Burns w tym czasie wcisnął się w fotel z przodu. Zacierając dłonie, opowiedział ze śmiechem dowcip o pokrytych włosiem piłkach tenisowych, który współpasażerowie skwitowali uśmiechami. Dopiero teraz, gdy wszyscy usłyszeli przynajmniej jeden brzydki kawał, mógł się wygodnie usadowić. Rozejrzał się wokół siebie, spragniony pochwały.

- Czy dopisze mi szczęście i usiądzie obok mnie piękna Celia, czy też będę skazany na towarzystwo pana Kennedygo? O mój Boże! Taki już twój zakichany los, Mikey. Oto nadchodzi Kev.

Kev Kennedy wślizgnął się ukradkiem do autobusu. Obejrzał się za siebie, jak gdyby w obawie, że za chwilę stróż porządku publicznego położy mu rękę na ramieniu i powie: „chwileczkę”, jak zwykli to robić policjanci na filmach. Nancy nie spotkała nikogo, kto by się zachowywał w sposób równie zagadkowy. Ilekroć ktoś Keva o coś zagadnął, ten wzdrygał się i odpowiadał monosylabami. Nic dziwnego, że niezbyt często wciągano go do rozmów.

W końcu nadeszła Celia. Była postawną i na swój sposób ładną dziewczyną, choć Nancy *osobiście* nie przepadała za tym typem kobiecej urody. Celia nosiła sukienki przepasane w talii, przypominające pielęgniarskie fartuchy; prawdopodobnie przywykła do tego fasonu garderoby. Stroje te podkreślały jej sylwetkę - niezbyt seksowną, lecz z wyraźnie wyodrębnionymi dwoma częściami: sterczącą z przodu górną połową, oraz dolną, wydatnie odstającą z tyłu. Zdaniem Nancy, pielęgniarka postąpiłaby roztropniej, ubierając się w luźniejsze rzeczy.

Celia usiadła obok Toma: ostatnia osoba zawsze zajmowała miejsce obok kierowcy. Była za dwadzieścia siódma i odjechali pięć minut przed czasem.

- Nieźle was wyszkoliłem - roześmiał się Tom, włączając się do ruchu, który jak zwykle w piątkowy wieczór, był dzisiaj wzmożony.

- Rzeczywiście - przyznał Mikey. - Żadnych postojów na siusiu, dopóki nie znajdziemy się po drugiej stronie Shannon - zapowiedział, rozglądając się wokół w oczekiwaniu na uznanie. Nie doczekawszy się spodziewanej reakcji, jeszcze raz powtórzył to samo. Tym razem uśmiechnęło się do niego kilka osób.

Nancy podzieliła się ze swoją współpasażerką wszystkimi znanymi jej informacjami dotyczącymi pana Charlesa, pana

White'a oraz pana Barry'ego: w które dni tygodnia przyjmują prywatnie, w jaki sposób prowadzi księgę zapisów i jak przesuwają wizyty pacjentów, którzy są jej bardzo wdzięczni i przynoszą drobne upominki na Boże Narodzenie. Dee ciekawiło, czy ludzie mają o lekarzach dobre zdanie i czy ich cenią. Nancy usiłowała wyłowić z pamięci jakieś przykłady, lecz na próżno. Oświadczyła, że zajmuje się jedynie sprawami administracyjnymi. Dee chciała wiedzieć, czy Nancy utrzymuje ze swoimi pracodawcami stosunki towarzyskie, a ona roześmiała się na samą myśl o takiej możliwości. W jakiej cudownej sytuacji znajdują się córki lekarzy - różnica klas zdaje się dla nich nie istnieć! Co do niej, oczywiście że nie miesza się do prywatnego życia swoich zwierzchników. Pan Barry, ożeniony z Kanadyjką, ma dwójkę dzieci, pan White, którego małżonka pracuje jako nauczycielka, doczekał się czwórki potomstwa, a państwo Charlesowie są bezdzietnym małżeństwem. Tak, Nancy rozmawia z żonami lekarzy przez telefon. Wszystkie wydają się bardzo sympatyczne i znają ją z nazwiska. „Dzień dobry, panno Morris” - mawiają zwykle.

Dee zasnęła w trakcie opisu szpitalnej centrali telefonicznej, która jest bardzo trudna w obsłudze, a lekarze niecierpliwie czekają na oddzielną, przeznaczoną tylko dla nich łącznicę, w nadziei że połączenia będą przebiegały sprawniej. Fakt ten trochę zaniepokoił Nancy. Być może jest zbyt gadatliwa i jej zwyczaj rozwodzenia się na mało istotne tematy denerwuje ludzi. Czasami zdarzało się, że jej własna matka wychodziła z pokoju podczas rozmowy z nią i kładła się spać. Niewykluczone, że Mairead ma słuszość. Nie, to niemożliwe. Dee sama przecież wyciągnęła od niej szczegóły dotyczące codziennego dnia pracy, zadając nieskończenie wiele pytań. Nie, Nancy nie może obwiniać siebie o to, że jest nudna. W każdym razie nie tym razem. Westchnęła, obserwując mijane za oknem pola.

Wkrótce ona też zapadła w drzemkę. Z tyłu, za jej plecami, Judy Hickey i Rupert Green rozmawiali o ich wspólnym znajomym i o jego wyjeździe do Ashram w Indiach, gdzie każdy musi chodzić ubrany na żółto. W rzędzie przed nimi Kev Kennedy słuchał jednym uchem wywodów Mikeya Burnsa, który objaśniał sztukę z kartami i szklanką wody. Mikey uważał, że lepiej byłoby ją zademonstrować, ale gdy ktoś uważnie słucha, też może zrozumieć, na czym ona polega.

Z przodu Tom mówił coś do Celi. Pielęgniarka najwyraźniej zgadzała się z jego opinią, gdyż kiwała potakująco głową. Nancy było wygodnie i ciepło, i nie przejmowała się wcale, że w czasie snu osuwa się na ramię Dee. Nie pozwoliłaby sobie na drzemkę, gdyby siedziała obok któregoś z mężczyzn. Ani obok Judy Hickey: ta kobieta wydawała jej się nad wyraz dziwna.

Nancy zasnęła.

Gdy weszła do domu, matka siedziała przy kuchennym stole. Pisała list do drugiej córki w Ameryce.

- A, to ty - skwitowała jej pojawienie się.

- We własnej osobie - odparła Nancy.

Powitanie nie było zbyt ciepłe, zważywszy, że przyjechała z drugiego krańca kraju. Ale ich rodzina nie należała do szczególnie wylewnych. Jej członkowie nigdy się nie przytulali, nie całowali ani nie brali w ramiona.

- Jak minęła podróż? - spytała matka.

- Tak jak zwykle. Przespałam się i trochę zeszywniał mi kark.

- Nancy w zamyśleniu potarła szyję.

- To wspaniale móc zasnąć na szosie pełnej pędzących we wszystkich kierunkach maniaków.

- Och, nie jest tak źle. - Rozejrzała się wokół. - Co słyszać nowego?

Pani Morris nie posiadała daru przekazywania wiadomości. Nancy byłaby rada, gdyby matka wstała, poszła po filiżankę herbaty dla niej i wróciła, dostarczając bogatych w szczegóły informacji. Chętnie usłyszałaby relację z wydarzeń minionego

tygodnia: kto ich odwiedził, od kogo nadeszły wieści i kto co nowego powiedział. Nigdy jednak rozmowa nie przebiegała w ten sposób.

- Co słyhać! Przecież byłaś tu w ubiegłą niedzielę. Od tamtej pory nie wydarzyło się nic ciekawego. - Kobieta westchnęła i powróciła do listu. - Czy ty w ogóle nie pisujesz do Deirdre? Sądzę, że utrzymywanie korespondencji z rodzoną siostrą zamieszkałą w Ameryce jest powinnością każdej chrześcijanki. Dobrze wiesz, że ona przepada za wszelkimi ploteczkami.

- Podobnie jak ja! Ale ty nigdy nic nie pamiętasz i nie masz mi nic do powiedzenia! - podniosła głos rozżalona córka.

- Och, przestań wreszcie pleść bzdury! Przecież niemal przez cały czas jesteś na miejscu. Wyjeżdżasz do Dublina zaledwie na kilka dni w tygodniu. A biedna Deirdre mieszka po drugiej stronie Atlantyku.

- Biedna Deirdre ma męża, troje dzieci, a także zamrażarkę, lodówkę i spryskiwacz w ogrodzie. Rzeczywiście, okropna z niej biedaczka.

- Przecież ty też mogłabyś mieć to wszystko, gdybyś tylko chciała. Dlaczego zazdrościsz swojej siostrze? Zdobądź się na odrobinę życzliwości wobec innych.

- Mam jej w sobie w nadmiarze. - Nancy poczuła, że drżą jej wargi.

- Przestań więc rozwodzić się nad dobrobytem Deirdre, weź kartkę papieru i dołącz do mojej. Zaoszczędzisz sobie problemu z nadawaniem listu i nie będziesz musiała płacić za znaczek.

Matka przesunęła blok papieru listowego na drugą stronę stołu. Nancy nie zdążyła jeszcze usiąść, a jej olbrzymia waliza wzmocniona okuciami na rogach wciąż jeszcze stała na środku kuchni. Choć powitanie z całą pewnością nie było zbyt serdeczne, Nancy należała do osób praktycznych. Wiedziała, że jeśli teraz napisze jednostronicowy list do siostry, przez jakiś czas będzie z tego obowiązku zwolniona. A na dodatek zadowoli matkę, która kupowała placki i jabłecznik, ilekroć

dopisywał jej dobry humor. Skreśliła więc kilka słów, wyrażając nadzieję, że Deirdre, Sean, Siane, April i Erin są zdrowi. Zapewniła siostrę, że z radością przyjechałaby ich odwiedzić, gdyby nie astronomicznie wysokie ceny biletów. Podkreśliła też, że z powodu różnicy kursu funta i dolara Amerykanom jest o wiele łatwiej wybrać się w podróż. Doniosła o nowym samochodzie pana White'a, o wyjeździe na urlop do Rosji pana Charlesa i o nowej, niewiarygodnie drogiej torebce ze skóry młodego krokodyla, którą nabyła żona pana Barry'ego. Dodała, że chętnie wraca na weekendy do Rathdoon, ponieważ... W tym miejscu przerwała pisanie. Wracała chętnie do Rathdoon, ponieważ... Spojrzała na matkę, która ze zmarszczonymi brwiami siedziała pochylona nad swoim listem. Nie, matka nie była powodem jej przyjazdów do domu. Pani Morris niezbyt cieszyła się z wizyt córki i gdy jej nie było, zawsze miała telewizję, panią Casey, bingo i wiele innych atrakcyjnych sposobów spędzenia czasu. Nieraz, podczas długich letnich wieczorów, dom był pusty, a matka nie zjawiała się przed dziesiątą. Nancy nie przyjeżdżała tu też po to, żeby chodzić na tańce, tak jak to mieli w zwyczaju podróżujący tym samym autobusem Celia, Kev czy Mikey, i nie przyjaźniła się z nikim w rodzinnym miasteczku.

Dokończyła list: „Chętnie wracam na weekendy do Rathdoon, ponieważ opłata za przejazd liliowym autobusem jest umiarkowana, a w Dublinie pod koniec tygodnia ani się człowiek spostrzeże, jak wyda fortunę”.

Matka szykowała się do łóżka. Nancy nie miała co liczyć na herbatę ani na jabłecznik.

- Chyba zrobię sobie kanapkę - powiedziała.

- Nie jadłaś jeszcze kolacji? Nie sądzisz, że jak na sekretarkę wysokiej klasy, jesteś słabo zorganizowana? - zauważyła pani Morris i bez słowa pożegnania poszła się położyć.

Był jasny, słoneczny wrześniey dzień. Większość turystów już wyjechała, lecz w okolicy zawsze przebywało kilku



golfistów. Nancy szła ulicą bez celu. Mogła kupić gazetę i pójść na kawę do hotelu, ale za nic by tego nie zrobiła, pomijając już sprawę wydatku. Dobrze prowadząca się kobieta nigdy by sobie na coś podobnego nie pozwoliła. Dostrzegła matkę Celi. Kobieta myła schody przed pubem. Wyglądała starzej niż zwykle i miała twarz poorly licznymi zmarszczkami, tak jak podobna do Cyganki Judy Hickey. Nancy powitała ją głośno, lecz pani Ryan nie usłyszała jej i nie przerwała szorowania. Nancy zastanawiała się, czy Celia leży jeszcze w łóżku, czy też wstała i sprząta wewnątrz lokalu. Dziewczyna podczas weekendów pracowała w pubie i to było powodem jej regularnych przyjazdów do domu. Matka musiała ją hojnie wynagradzać, skoro opłacało jej się spędzać weekend przy pracy po całym tygodniu wykonywania ciężkiego zawodu pielęgniarki. Celia należała do osób małowównych i skrytych, z których trudno cokolwiek wydobyć. Wczoraj w autobusie Nancy zdziwiła się, widząc ją pogrążoną w rozmowie z Tomem. Zwykle Celia zwracała swoją okrągłą niczym księżyc w pełni twarz w stronę okna. Dee stanowiła jej zaprzeczenie - zawsze była pełna życia i ciekawa świata. Nancy żałowała często, że sytuacja rodzinna ich obu tak diametralnie się różni. Mogłaby zajrzeć w któryś weekend do Dee i wybrać się dokądś razem z nią, ale nigdy nie ośmieliłaby się przyjść do Burke'ów. Za nic w świecie nie złożyłaby w ich domu wizyty. Chyba że potrzebowałaby porady lekarskiej.

Mijając dom Judy Hickey, zauważyła oznaki ożywionej działalności za budynkiem. Wszędzie wokół leżały porozrzucane skrzynki. Judy miała na sobie stare spodnie i związane wysoko na czubku głowy włosy. Budynek był zaniedbany i przydałaby mu się warstwa świeżej farby, lecz ogród wyglądał nienagannie. To dziwne, że tak wiele osób pomagało przy podlewaniu, plewieniu chwastów i odstraszeniu ptaków. Nancy nigdy by nie przypuszczała, że ludzie będą skłonni darzyć sympatią kobietę pokroju Judy Hickey, która

bywała w kościele raz na cztery tygodnie, i to w najlepszym wypadku. I nigdy nie wspominała o swoim mężu ani o dzieciach. Jej rodzina wyjechała stąd przed wieloma laty, gdy chłopiec był jeszcze niemowlęciem; Nancy prawie już zapomniała, że kiedyś w tym domu mieszkały dzieci. Ojciec wywiózł dwoje pociech, a matka nie zaprotestowała ani jednym słowem. I nigdy nie poszła do sądu, żeby je odzyskać. Ludzie mówili, że musiała istnieć jakaś osnuta tajemnicą przyczyna tej bierności, w przeciwnym razie Judy szukałaby rozwiązania problemu na drodze prawnej. Przez lata pracowała w sklepie, gdzie sprzedawano indyjskie figurki i kadzidła, a także godne potępienia leki medycyny alternatywnej. Pomimo to miała spore grono przyjaciół. Nawet teraz pomagali jej w pracy dwaj bracia Keva Kennedy'ego, w ubiegłym tygodniu zaś stawił się u niej do roboty Mikey Burns z łopata. Młody Rupert też z pewnością dołączyłby do tej ekipy, gdyby jego ojciec, ze względu na którego przyjeżdżał tu co weekend, nie był tak bardzo chory.

Nancy westchnęła i poszła dalej. Przez głowę przemknęła jej myśl, że ona też mogłaby pomóc, lecz zaraz zaświtała inna: po co kopać w ziemi, brudzić się i pracować za darmo w ogrodzie Judy Hickey? Można zaplanować ciekawsze zajęcia. Lecz gdy wróciła do domu i znalazła kartkę na stole, nie była pewna, o jakie plany jej chodziło. Matka informowała w liściku, że została zaproszona na przejażdżkę przez panią Casey. Kobieta ta w dość późnym wieku posiadała umiejętność prowadzenia pojazdu i stary samochód o niebezpiecznym wyglądzie, który był jej ogromną radością, rozjaśniał życie wielu ludziom, w tym również matce Nancy. Kilka pań snuło nawet plany o przebyciu nim całej drogi do Dublinu. Pani Casey i pani Morris zamierzały zatrzymać się w stolicy w wynajętym mieszkaniu Nancy i Mairead. W końcu pani Casey była ciotką Mairead. A teraz wszystko wskazywało na to, że wkrótce nie będzie już mieszkania ani Mairead. Gdy Nancy uświadomiła sobie tę prawdę, zakłuło ją w sercu.

Lodówka była pusta, podobnie szafka ścienna - nic do zjedzenia i żadnej wzmianki o tym, kiedy przejażdżka dobiegnie końca. Nancy nastawiła dwa kartofle i poszła do mieszczącego się po drugiej stronie ulicy sklepu Kennedych.

- Poproszę o dwa cienkie plasterki bekonu.

- Dwa funty? - Ojciec Keva Kennedy'ego nie zwracał dużej uwagi na to, co ludzie mówią, gdyż słuchał zawsze nastawionego na pełny regulator radia.

- Nie, dwa plasterki.

- Ach, tak - powiedział, nabierając i ważąc wędlinę.

- Moja mama jeszcze nie zrobiła zakupów, a ja nie wiem, na co ma ochotę.

- Nie popełnisz wielkiego błędu, biorąc dwa plasterki bekonu - zgodził się pan Kennedy, owijając je z posępną miną w tłuszczoodporny papier i wkładając do plastikowej torebki.

- Na pewno matka nie będzie mogła ci zarzucić, że zaciągasz rodzinne długi.

Nancy dobiegł śmiech i z niezadowoleniem spostrzegła w sklepie Toma Fitzgeralda. Z jakiegoś powodu nie chciała, żeby był obecny przy tym, gdy z niej szydono.

- Och, panna Myszka należy do osób, które przywykły do podejmowania ryzyka.

Nancy zdobyła się na uśmiech i wyszła na ulicę.

Popołudnie wlokło się w nieskończoność. W radiu nie nadawali żadnej ciekawej audycji i nie miała nic do czytania. Wyprała swoje dwie bluzki i rozwiesiła je na sznurze. Z ogromną przykrością zdała sobie sprawę z tego, że nikt ani słowem nie wspomniał o jej trwałej. Nawet matka. Jaki jest sens robienia sobie najmodniejszej ondulacji i wydawania na nią słonej kwoty, skoro ludzie i tak niczego nie zauważają? No cóż, dobrze że przynajmniej nie musiała za swoją fryzurę zapłacić. O szóstej dobiegł ją trzask zamykanych drzwi samochodu i głosy.

- O, jesteś w domu, Nancy. - Matka zawsze zachowywała się tak, jakby widok córki ją dziwił. - Pani Casey i ja odbyliśmy wspólną przejażdżkę.

- Dobry wieczór, pani Casey. To miło, że spędziłyście udane popołudnie - powiedziała Nancy swarliwym tonem.

- Czy przygotowałaś dla nas kolację? - spytała wyczekująco matka.

- Nie wspomniałaś, że mam ją zrobić. Poza tym w domu nie znalazłam nic do jedzenia. - Nancy wydawała się zmieszana.

- Och, nie wierz jej, Mauro, ona tylko żartuje. Na pewno przygotowałaś jakiś posiłek dla matki, prawda, Nancy?

Pani Casey przemawiała do niej, jak gdyby była niedorozwiniętym pięcioletnim dzieckiem. Nancy tego nie znosiła.

- Dlaczego miałabym cokolwiek robić? Lodówka jest całkiem pusta. Sądziłam, że mama w drodze powrotnej coś kupi.

Zapadła cisza.

- Obiadu też nie było - dodała urażonym tonem. - Musiałam pójść do sklepu Kennedych po bekon.

- A zatem mamy bekon na kolację - rozpogodziła się matka.

- Już go zjadłam - oznajmiła Nancy.

- Cały? - spytała oniemiała ze zdumienia pani Casey.

- Kupiłam tylko dwa plasterki. Ponownie zapadło milczenie.

- W takim razie sprawa załatwiona. Zapraszałam twoją mamę do siebie, ale ona odmówiła, twierdząc, że na pewno czekasz na nią z herbatą. Nie chciała sprawiać ci zawodu. Uznałam to za mało prawdopodobne, sądząc po tym, co o tobie mówią. Ale jej nic nie było w stanie przekonać. Daj spokój, Mauro - powiedziała w połowie drogi do drzwi wyjściowych. - Młodych trzeba zostawić samych sobie... Mają ważniejsze sprawy na głowie niż czekanie z herbatą na osoby takie jak my. - Nancy spojrzała na matkę, której ściągnięta twarz pod wpływem rozczarowania i wstydu przybrała twardy wyraz.

- A zatem miłego wieczoru, Nancy. - I obie wyszły. Samochód wystartował po serii podskoków i szarpnięć.

Ciekawe, o czym słyszała pani Casey? Jedynymi osobami, które mogły jej coś powiedzieć, była matka Mairead i ona sama. Ale o czym ją poinformowały - że Nancy jest denerwująca?

Nie chciała, żeby po powrocie zastały ją w domu. Gdzie się jednak miała podziać? Nie umówiła się z nikim, żeby przyjechał po nią i podwiózł ją na tańce. Byłaby zmuszona wyjść na ulicę i pieszo pokonać szmat drogi do nocnego lokalu, dobrze wiedząc, że pobyt tam nie sprawi jej przyjemności. Zawsze mogła pójść do pubu „U Ryana”. Pochodziła z tego miasta, znała jego mieszkańców, a kobietom w jej wieku wolno już było folgować swoim zachciankom. Włożyła na siebie jedną ze świeżo upranych bluzek, którą przedtem starannie odprasowała. Uznała, że trwała jest niewątpliwym sukcesem, skropiła się perfumami podarowanymi matce z okazji ostatnich świąt Bożego Narodzenia i wyszła z domu.

„U Ryana” nie było najgorzej. Golfiści stawiali sobie liczne kolejki, nawołując się przez całą salę: „Z czym chcesz wódkę, Brian?”, „Czy whisky ma być z wodą, Derek?” Celia pomagała za kontuarem swojej matce.

- Kogo ja widzę! Nieczęsto tutaj zaglądasz - zauważyła.

- To wolny kraj, a ja już skończyłam dwadzieścia jeden lat - odparowała zgryźliwie Nancy.

- O Jezu, nie bądź taka rozdrażniona. Pora jeszcze za wczesna na bójki.

W lokalu znajdowała się budka telefoniczna i Nancy spostrzegła, że Dee Burkę dokądś telefonuje; pewnie jej domowy aparat jest uszkodzony. Nancy pomachała do niej, lecz Dee jej nie zauważyła. Bidy Brady, która chodziła w szkole o dwie klasy niżej od Nancy, właśnie świętowała w grupie znajomych swoje zaręczyny. Pierścionek podawano sobie z ręki do ręki i podziwiano. Bidy skinęła na koleżankę, proponując

jej, żeby się przyłączyła do towarzystwa. Nancy, nie chcąc siedzieć samotnie, skorzystała z zaproszenia.

- Wszystkie dorzucamy się do puli i dopóty płacimy z niej za drinki, dopóki nie skończą się pieniądze - przysła jej z pomocą jedna z dziewczyn.

- Och, nie sądzę, żebym długo tutaj zabawiła - oświadczyła Nancy pośpiesznie i spostrzegła wymianę wymownych spojrzeń.

Pomachała do Mikeya Burnsa, który niósł dwa drinki do stolika w kącie sali.

- Czy znasz jakiś dowcip o pubie? - spytała, łudząc się, że znajomy się zatrzyma i przez chwilę je zabawi.

- Nie dzisiaj, Nancy - odparł, nawet nie przystając. I to Mikey, który zrobiłby wszystko dla pozyskania słuchaczy! Zmierzał w stronę siedzącej z pochyloną głową kobiety, podobnej do żony Billy'ego Burnsa.

Billy był bratem Mikeya i tym z rodzeństwa, któremu przypadła w udziale cała uroda, mądrość i powodzenie życiowe.

Nagle za barem zapanowało poruszenie. Pani Ryan najwyraźniej besztła za coś córkę. Zaraz została uciszona, lecz Celia sprawiała wrażenie zaniepokojonej. Jeden z braci Kennedych pojawił się za kontuarem, aby pomóc w zmywaniu kufli.

Nancy poczuła lekki zawrót głowy. Wypiła dwa dziny z sokiem pomarańczowym, które sama sobie kupiła, i dwa następne w ramach obchodów zaręczyn Bidy. Od obiadu nic nie miała w ustach. Postanowiła zaczerpnąć świeżego powietrza i kupić porcję frytek. Zawsze mogła tu wrócić. Usiadła na murku obok sklepu. Rozciągał się stąd widok na całe miasto. Widziała dom Burke'ów, pięknie porośnięty pnączami, starannie przyciętymi wokół framug. Wydawało jej się, że dostrzega Dee wychylającą się z papierosem z okna, lecz na dworze panował półmrok i Nancy nie miała pewności, czy to ona. Widziała sklep z towarami tekstylnymi należący do rodziny Toma, gdzie

pracowali dwaj jego bracia wraz z żonami i ojciec. Ostatnio Fitzgeraldowie dobudowali obok zakład rzemieślniczy, gdzie świadczone również usługi krawieckie i turystkom odwiedzającym miasteczko szyto z irlandzkich tweedów spódnice. Pani Casey mieszkała jakieś półtora kilometra dalej. Nancy nie mogła zajrzeć do jej domu przez szybę. Wyobrażała sobie matkę przy kotlecie jagnięcym lub przed telewizorem, jak razem z panią Casey liczą dni dzielące je od wznowienia po letniej przerwie sztuki „Late Late Show”. Gdy planowały wycieczkę do Dublina, chciały, żeby Mairead i Nancy zdobyły dla nich bilety na to przedstawienie. Mairead spełniła życzenie kobiet i dowiedziała się, jakie mają na to szanse. Nancy od początku uważała ten pomysł za szalony.

Panował chłód, a i frytki się skończyły. Nancy ruszyła z powrotem do pubu. Postanowiła skorzystać z bocznego wejścia i po drodze wstąpić do toalety. Niemal wpadła na siedzącą na schodach panią Ryan.

- Och, panna Morris - rzekła kobieta i roześmiała się nieszczere.

- Dobry wieczór, pani Ryan - odpowiedziała lekko zdenerwowana Nancy.

- Panna Morris, panna kutwa Morris. Podobno straszliwe z pani skąpiradło

Nie sprawiała wrażenia podchmielonej. Jej głos brzmiał zdecydowanie i chłodno.

- Kto tak o mnie mówi? - spytała równie zimnym tonem Nancy.

- Wszyscy. Każdy, kto kiedykolwiek wymówi! pani imię, panno Morris. Choćby grupa koleżanek biednej Bidy Brady. Dosiadła się pani do nich, wypła na ich koszt kilka wódek i odeszła. To się nazywa klasa, panno Morris, nawet najwięksi twardziele spośród znanych mi mężczyzn nie zachowaliby się w ten sposób.

- Dlaczego nazywa mnie pani „panną Morris”?

- Ponieważ sama zwykłaś tak myśleć o sobie. I, na Boga, na zawsze już panną Morris zostaniesz. Nie zechce cię żaden mężczyzna. Skąpa kobieta jest gorsza niż złośnica i dziwka razem wzięte.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli już sobie pójdę, pani Ryan.

- Zrobiłabym to na pani miejscu, panno Morris. Dziewczęta wypity już kilka drinków. Jeśli zaraz się tam pani nie pokaże i nie dorzuci do ich puli kilku pięćofuntowych banknotów, sądzę, że roztropniej będzie stąd odejść.

- Banknoty o jakich nominałach? - spytała oniemiała ze zdumienia Nancy.

- Niech pani już idzie, panno Morris, zaklinam panią.

W Nancy zawrzała krew. Przecisnęła się obok kobiety i weszła do dusznego, wypełnionego dymem lokalu.

- Przepraszam cię, Bidy - powiedziała głośno. - Wróciłam do domu po drobne. Nie miałam przy sobie pieniędzy. Czy mogę dołożyć tę kwotę do puli? Poproszę o dzin z sokiem pomarańczowym, gdy nadejdzie następna kolejka.

Przyglądały się jej z niedowierzaniem i z poczuciem winy. Te, które najgłośniejsz występowały przeciwko niej, były wyraźnie speszzone.

- Duży dzin z sokiem pomarańczowym dla Nancy! - zawołały i Celia, która miała za barem tylko Barta Kennedyego do pomocy, ze zdumienia uniosła brwi w górę. Nie do wiary: Nancy Morris zamawia dużego drinka!

- To będzie sporo kosztowało - uprzedziła znajomą.

- Och, na miłość boską, nie prosiłam cię o kazanie, lecz o alkohol.

Dziewczęta śpiewały: „Nad brzegiem rzeki Babilon, gdzie zwykłam przesiadywać...”, lecz Nancy tylko poruszała ustami.

Kutwa, kutwa, kutwa. Tak właśnie o niej myślała Mairead, w ten sposób przedstawiła ją swojej matce i ciotce, i to był powód, dla którego chciała się jej pozbyć z mieszkania. Takie mniemanie miała o niej pani Casey, a matka Nancy na własne



oczy przekonała się o jej skąpstwie dzisiaj wieczorem. Za sknerę brał ją ojciec Kennedych, który wyśmiewał się z niej w sklepie. Tę samą opinię podzielała Celia, informując ją o wysokiej cenie drinka. I dokładnie to chciała powiedzieć jej pani Ryan, która siedziała pijana przy bocznym wejściu do swojego lokalu. Kutwa.

A przecież Nancy wcale taka nie była: po prostu z dużą rozwagą wydawała pieniądze i nie lubiła nimi szastać. Chciała je przeznaczyć na realizację marzenia, takiego jak... Na razie nie myślała jeszcze o niczym konkretnym. Z pewnością nie były to ubrania, wakacje czy samochód. Nie chodziło jej również o żadne ulubione przedmioty, które upiększyłyby wynajęte mieszkanie, ani o wydatki na potańcówki, dyskoteki lub hotele. Nie nęciły jej modne fryzury, włoskie buty, steki z polędwicy ani posiadanie radia stereofonicznego ze słuchawkami.

Dziewczęta, obejmując się ramionami i kołysząc na boki, śpiewały piosenkę „Żeglarz”. Wróciła pani Ryan i dołączyła do nich - stanęła w środku koła i odgrywała rolę Roda Stewarta, używając zamiast mikrofonu czyjegoś kija golfowego.

Celia wciąż napełniała kufle i przyglądała się matce. W jej wzroku nie było ani wyrazu zażenowania, ani dumy. Patrzyła na nią jak na jednego z wielu klientów. Tom Fitzgerald mówił coś do niej z drugiej strony baru. Tych dwoje dobrze się rozumiało. Łzy zaczęły spływać po twarzy Nancy na wspomnienie słów pani Ryan. Skapiradło. Nie uważała, że jest sknerą, ale skoro ludzie w ten sposób o niej myślą, to pewnie mają rację.

Deirdre powiedziała jej kiedyś, że jest zbyt oszczędna. Nancy pomyślała wtedy, że siostra zachowuje się jak stuprocentowa Amerykanka, mówiąc ludziom prosto w twarz różne przykre rzeczy. Jej brat, zamieszkały w Cork, zauważył przy innej okazji, że Nancy, która przyzwoicie zarabia i oprócz komornego oraz opłaty za przejazd liliowym autobusem nie wydaje ani pensa, z pewnością zbiła już pokaźny majątek w Dublinie. Jeździ przecież rowerem i ma zapewniony w szpitalu posiłek z

trzech dań. Czy musi wydawać na coś więcej? Nancy uważała wtedy, że rozmowa zakończyła się w sposób całkowicie niezadowolający. Dopiero teraz zrozumiała, że brat miał na myśli jej skąpstwo. Uważał ją za dusigrosza.

A więc ludzie naprawdę biorą ją za sknerę! Czy powinna wytłumaczyć im, że to tylko niechęć do wyrzucania pieniędzy w błoto? Nie, tego nie można wyjaśnić ani wpłynąć na zmianę czyjejś opinii o sobie. I choć Nancy sądziła, że powszechnie panująca opinia o niej jest krzywdząca, to jednak uznała, że musi odtąd postępować inaczej.

Jutro zaprosi matkę na miły niedzielny obiad do hotelu. Wiedziała, że na zjednanie sympatii Mairead jest już za późno - nie mogła jej przecież obiecać, że stanie się hojniejsza, że będzie wydawać więcej pieniędzy i postara się sprostać oczekiwaniom innych ludzi. Ale może powinna kupić kilka widokówek z Irlandii i wysłać je dzieciom Deirdre - „najlepsze życzenia i uściski od cici Nancy ze szmaragdowej wyspy” - a swojemu małomównemu bratu z Cork ofiarować książkę poświęconą rybołówstwu i zaproponować, żeby odwiedził ją w Dublinie, gdy przyjedzie następnym razem?

Taka metoda musi poskutkować - najlepszym przykładem było towarzystwo Bidy Brady; dziewczęta sprawiały wrażenie zachwyconych jej odmianą. Bo jakże mogło być inaczej: Nancy dorzuciła do leżącej na stole puli całe dziesięć funtów. Taka postawa zdawała się je w pełni zadowalać. Trochę niepewnie podnosiły szklanki, nazywały ją Nancy Whisky i mówiły jej rzeczy, jakich by nigdy przedtem nie usłyszała.

Pani Ryan przepadła gdzieś bez śladu. Nancy miała ochotę podziękować jej za pomoc w rozwikłaniu swojego największego problemu, i to - co najbardziej istotne - bez konieczności ponoszenia dużych kosztów. Doszła do wniosku, że jeśli zachowa się rozważnie, prawie wcale nie wyda pieniędzy. Może przecież wziąć większą ilość cukierków z glukozą, zapakować je do pudełka i podarować matce w któryś weekend jako

prezent. Upominkami mogą być również przyciski do papieru, które otrzymuje od towarzystw farmaceutycznych - nazwy reklamowanych leków są na nich czasami prawie niewidoczne. I czy nie postąpiła roztropnie, zatrzymując dla siebie wiadomość o podwyżce pensji? Samodzielnie ją wynegocjowała, wystrzegając się rozgłosu, i nikt nigdy nie musi się o tym fakcie dowiedzieć.

RS

## Dee

W piątkowe popołudnia wpadali często na szybkiego drinka do pubu nie opodal jej biura. Dee miała tylko pół godziny. Wiedziała, że liliowy autobus nie będzie na nią czekał. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej cotygodniowe wyjazdy do domu budzą wśród innych aplikantów powszechne zdumienie. Rodzina miejscowość znajdowała się daleko, a przecież w Dublinie miała wiele możliwości spędzenia w atrakcyjny sposób czasu. Czy nie zaliczała się przypadkiem do zbyt uległych córek? Zaprzeczała twierdząc, że kierują nią czysto egoistyczne pobudki - w Rathdoon nie jest narażona na żadne pokusy i może spokojnie oddać się zgłębianiu wiedzy. Lecz podręczniki prawa nietknięte przemierzały co tydzień Irlandię w jej płócienną torbę tam i z powrotem. Dee Burke spędzała większość weekendów, siedząc w swoim pokoju przy oknie i patrząc na miasteczko. Dopóki w niedzielę wieczorem nie nadchodziła pora powrotu do Dublina.

Jej rodzice byli oczywiście zadowoleni. Zwykle wysiadała na rogatkach i szła pieszo do klubu golfowego, wesoło machając na pożegnanie swoim współpasażerom, gdy autobus zagłębiał się w miasto. Jak daleko mieszkańcy Rathdoon sięgali pamięcią, wszystkie piątkowe wieczory państwo Burke'owie spędzali w klubie golfowym i każdy wiedział, że w przypadku narodzin, zgonu lub innego wydarzenia nie w porę, właśnie tam należy szukać doktora.

Rodzice zdumieli się na początku lata, gdy córka zaczęła regularnie przyjeżdżać do domu. Cieszyli się z jej wizyt, gdyż żaden z członków rodziny nie był tak pełen życia, jak ona. Promieniali radością, kiedy jej twarz pokazywała się w drzwiach, i Dee dołączała do nich oraz do reszty towarzystwa zgromadzonego przy barze na terenie klubu. Ojciec przynosił jej zapiekankę i obejmował ją ramieniem, gdy stała obok niego przy kontuarze, a matka uśmiechała się do niej od stolika. Byli

zachwyceni, że znowu mają Dee w domu. Czasami żołądek podjeżdżał jej do gardła na myśl o ich naiwności i gorących powitaniach. Zastanawiała się, co robią ludzie, jeśli nie mają rodziców takich jak ona, do których mogą wracać. Tracą zmysły? Chodzą do dyskotek? Odzyskują rozsądek? Starają się pozbiierać do kupy? Och, kto to wie? I kogo to obchodzi?

Tom Fitzgerald jest dość przystojny. Nigdy przedtem tego nie zauważyła, dopiero dzisiaj, kiedy się roześmiał, jak wrzucała swoją torbę na półkę. Ma ujmujący uśmiech. To dziwny człowiek - nigdy nie udało się jej uzyskać od niego prostej odpowiedzi na żadne pytanie. Nie wiedziała o nim zbyt wiele. A przecież dorastała w bliskim sąsiedztwie Toma i jego braci. Nie miała nawet pojęcia, w jaki sposób Tom zarabia na utrzymanie. Zagadnęła kiedyś o to matkę.

- To przecież ty razem z nim podróżujesz po kraju. Dlaczego sama nie spróbujesz wyciągnąć od niego tej informacji? - Riposta matki nie była pozbawiona sensu.

- Nie jest typem człowieka, którego można wypytywać o osobiste sprawy - odparła Dee.

- W takim razie będziesz musiała pozostać w nieświadomości - roześmiała się pani Burkę.

- W moim wieku nie wypada pójść do sklepu tekstylnego i indagować Fitzgeraldów na temat zawodu ich syna.

Nancy Morris jak zwykle pierwsza siedziała w autobusie. Wyglądała inaczej niż zwykle. Dee nie była pewna, czy stało się to za sprawą nowej bluzki, czy fryzury. Nie chciała o to pytać, w obawie że znajoma z typową dla siebie gderliwością

zacznie lamentować nad wszelkimi poniesionymi kosztami. A przecież Sam utrzymywał, że przyzwoicie zarabia. Jej pensja znacznie przewyższa uposażenia sekretarek i urzędniczek w kancelarii adwokackiej. Nie zajmę dzisiaj miejsca obok niej, postanowiła, dobrze wiedząc, że i tak nie oprze się pokusie. Nikt inny bowiem nie zna Sama Barry'ego i nie może opowiadać o jego codziennym życiu. Nie do wiary, że Dee wraca w każdy

weekend do domu z jego sekretarką. To tak jakby cząstka Sama podróżowała razem z nią. Samotność staje się mniej dokuczliwa dzięki możliwości porozmawiania o nim. Choćby tylko w sposób pośredni i nawet jeśli oznacza to wysłuchiwanie potoku słów na temat nudnego pana White'a i nieciekawego pana Charlesa. Nancy nigdy nie może się dowiedzieć, że Dee interesuje tylko Sam Barry.

Znajoma potrafiła rozwodzić się o wszystkim bez końca: wyjaśniała codzienny przebieg zajęć specjalistów, mówiła o problemach, z jakimi muszą się borykać w związku z trudnościami szybkiego rezerwowania łóżek w szpitalu, o zawiłościach systemu dobrowolnych ubezpieczeń zdrowotnych oraz o konieczności wypełniania niezrozumiałych dla pacjentów formularzy. Niewiele jednak wiedziała o życiu lekarzy poza szpitalem, z wyjątkiem tego, co sami jej o sobie powiedzieli albo co usłyszała od pielęgniarek.

- Czy żony telefonują do nich czasami? - zagadnęła Dee swoją współpasażerkę. Przypominało to badanie bólowego zęba. Skarciła się w myślach za poruszanie tego tematu.

- Tak, czasami. - Nancy była irytująca. - I co mówią?

- Wszystkie są zawsze bardzo miłe i bezpośrednie.

Dee zdumiała się, słysząc tę informację. Nancy należała do osób wyjątkowo szorstkich w obejściu i nieprzystępnych. Trudno było wyobrazić sobie, żeby ktoś miał ochotę prowadzić z nią beztróską pogawędkę.

- Naprawdę. „Dzień dobry, panno Morris”, witają mnie za każdym razem. I to wszystkie: pani White, pani Charles i pani Barry.

Ach, a więc to Nancy miała na myśli, mówiąc o ich bezpośredniości!

- Czy kanadyjski akcent pani Barry jest bardzo wyraźny?

- To niesamowite, Dee, jaką ty masz pamięć! Nic dziwnego, że zamierzasz zostać prawniczką. Jesteś taka mądra! Wprost w głowie się nie mieści, że nie zapomniałaś nawet o kanadyjskim

pochodzeniu tej kobiety. Nie, pani Barry nie mówi z akcentem. Można się jednak domyślić, że nie pochodzi stąd, lecz z Ameryki.

Nie mieści się w głowie, że nie zapomniałam o jej kanadyjskim pochodzeniu? Raczej trudno oczekiwać, żebym mogła nie pamiętać o tym fakcie! „Ona nie zna w tym kraju zbyt wielu ludzi. Jest z dala od domu. Co innego, gdyby dorastała tutaj i miała grono przyjaciół. Potrzebuje czasu, żeby prowadzić własne życie. Musimy poczekać, aż wszystko się ułoży”.

Dee nigdy nie potrafiła doszukać się logiki w takim rozumowaniu. Jej zdaniem, jedynie piętrzyli przed sobą trudności, czekając na to, aż Candy Barry przywyknie do życia w Irlandii. Czy odesłanie jej do Kanady nie byłoby o wiele lepszym rozwiązaniem? Zanim zdąży się całkiem odciąć od własnych korzeni? Nie. A dlaczego? Oczywiście z powodu synów, dwóch małych Barrych. Sam nie chciał dopuścić do tego, żeby dzieliła go od nich odległość siedmiu tysięcy kilometrów, i nie zamierzał widywać ich tylko raz do roku.

A co z ich dziećmi, które się kiedyś urodzą? Z nimi będzie inaczej. Cudownie, lecz inaczej. Nie można ot tak, po prostu, nadać na bagaż dwóch ukochanych synów tylko dlatego, że planuje się założenie nowej rodziny z kimś innym. To nie do pomyślenia. Taka sugestia świadczy jedynie o tym, że Dee jest jeszcze bardzo dziecinna.

W ustach Sama określenie to zabrzmiało jak straszliwa obelga. Twierdził, że jej infantylna postawa nie ma związku z wiekiem. Ludzie młodszy od niej potrafią zachowywać się w sposób bardziej dojrzały. Nie lubiła tego słowa. Nabierało każdego znaczenia, jakie chciał mu nadać. Przywodziło na myśl grę w pokera, gdy dzika dwójka może być dowolną, potrzebną w danym momencie kartą.

Nie rozumiała, po co wypytuje Nancy o jego pracę. Przecież nigdy nie dowiedziała się niczego nowego. Ciągłe nawracanie do tego samego tematu było niczym oglądanie dobrze znanej

fotografii - przypatrywanie się za każdym razem innym szczegółom zawsze wydaje się interesujące. Popełniła błąd, dopytując się o telefony od żon. Przez to czuje się teraz niezręcznie.

Sam mówił, że Candy nigdy nie dzwoni do niego do pracy. Tymczasem panna Morris twierdziła, że jest inaczej. Prawdopodobnie chciała się popisać, jak dobrze zna je wszystkie. Chwalipięta. A teraz wygłasza właśnie zawiłą diatribę na temat centralki telefonicznej. Dee czuła, że opadają jej powieki. Zasnęła. Śniła o tym, że otrzymuje dyplom od prezesa sądu. Sam jest przy tym obecny i składa jej gratulacje, a fotoreporter z „Evening Express” uwiecznia to wydarzenie, przedstawiając ich stojących obok siebie we trójkę, i zapisuje ich nazwiska w swoim notatniku.

W snach Dee Sam często stanowił część jej życia. A to w jej przekonaniu oznaczało, że ich związek nie budzi w niej poczucia winy - jest uczciwy i jawny. No, może niezupełnie jawny, ale też i nie wstydliwie skrywany. Jej współlokatorka, Aideen, wiedziała o Samie i widywała go, ilekroć bywał w ich mieszkaniu. Sekret znał również przyjaciel Sama, Tom, z którym czasami wspólnie chodzili na posiłki. Ich znajomość nie była więc całkiem potajemna. Sam spytał kiedyś, czy jej rodzice niczego się nie domyślają. Dee zapewniła go, że podobne podejrzenie nie przeszłoby im przez myśl. Dodała też, że urabia ich na przyszłość, mówiąc im, że na razie nie ma nikogo konkretnego na oku, ale kiedy już się zakocha, z pewnością będzie to ktoś bardzo nieodpowiedni. Po tym stwierdzeniu wybuchnęła śmiechem. Sam nie podzielał jej wesołości. Spoważniała nagle. Był milczący i smutny.

- Przyszłość może okazać się daleka od ideału - zawyrokował.  
- W każdym razie dla nas. Nie powinnaś robić sobie zbyt dużych nadziei.

- Większość ludzi nie ma przed sobą szczególnie obiecujących perspektyw - zauważyła pogodnie.



- A pomimo to nie wyrzekają się swoich złudzeń. Czy bez nich cokolwiek w życiu miałyby sens?

Po tej uwadze nieco się rozchmurzył, lecz był o wiele bardziej wyciszony niż zwykle.

Dee sama nie pojmowała w pełni, dlaczego od pewnego czasu tak często jeździ do domu. Aideen również nie mogła się temu nadziwić.

- Jeśli wyjedziesz, nie będzie mógł do ciebie zadzwonić ani zajrzeć do nas w wolnej chwili.

Słuszna uwaga. Problem jednak polegał na tym, że Sam coraz rzadziej dysponował wolnym czasem. To przyjechali z wizytą rodzice Candy z Toronto i wypadało ich obwieść po okolicy, to znowu jeden z jego jasnowłosych chłopców przewrócił się na rowerze i rozciął sobie czoło - Sam musiał odwiedzać go w szpitalu, a po powrocie do domu otoczył troskliwą opieką.

Potem były uroczystości rodzinne na jachcie i pośpieszne rozmowy z płatnych budek telefonicznych, do których wymykał się pod pretekstem przyniesienia drinków albo wizyt w toalecie.

Lecz ostatnio coraz częściej się zdarzało, że Dee nie otrzymywała żadnych wyjaśnień. W Rathdoon było łatwiej. Tam nie mógł zadzwonić, nawet gdyby chciał. Ojciec natychmiast rozpoznałby go po nazwisku - telefon znajdował się przecież w holu. Być może to tłumaczyło jej powroty do domu: wszystko było lepsze niż siedzenie w mieszkaniu, do którego mógł zatelefonować, a jednak tego nie robił.

Aideen uważała, że Dee powinna walczyć o niego w sposób bardziej zdecydowany i wymusić na nim rozstanie z Candy. Przecież na początku zupełnie stracił dla niej głowę i był gotów zrobić wszystko. A ona pozwoliła, by nabrał przekonania, że może mieć je obie. Ale Dee wcale nie była pewna, czy i jej nie odpowiada taki stan rzeczy. Za wszelką cenę chciała uniknąć skandalu. Gdyby sprawa stała się głośna, musiałyby zrezygnować z praktyki, godząc się na rolę nie w pełni wykwalifikowanej i nie w pełni zamężnej kobiety, która

przyniosła hańbę własnej rodzinie i rozbiła cudzy dom. Aideen wyśmiała jej skrupuły. Rodzice Dee na pewno pogodziliby się z jej decyzją. Przecież ich syn również żył bez ślubu z dziewczyną. Dlaczego mieliby nie zaakceptować planów córki? Dee pomyślała jednak, że sytuacja Fergala mieszkającego ze swoją sympatią, którą wkrótce i tak miał poślubić, diametralnie się różni od jej własnego położenia - osoby, która uwiodła znanego w Dublinie lekarza i zmusiła go do porzucenia żony oraz dwóch małych synków. To była inna skala błędu. Aideen nie rozumiała obiekcji koleżanki. Wszystko było grzechem i nic nie zasługiwało na szacunek. Dlaczego miałyby się czymkolwiek przejmować?

No właśnie, dlaczego? Teraz i tak niewiele od niej zależało. Wielkie zauroczenie Sama przeminęło. Raz czy dwa użył nawet wymówki, jaką posłużył się rok temu, rozmawiając przez telefon z Candy: „Przykro mi, kochanie, starałem się, lecz nic z tego. Muszę być na tym zebraniu, tak jak wszyscy. Ale wymogli to na mnie po raz ostatni. Możesz być pewna, że już mnie tam więcej nie zobaczą”. Znajome słowa. Zatrważająco znajome. Czy wymigiwał się od spotkania ze swoją młodą kochanką po to, aby móc przebywać ze swoją żoną - kobietą w średnim wieku, pochodzącą z Kanady? A może była inna młoda kochanka? Dziewczyna, która nie ma jeszcze dwudziestu trzech lat? Ktoś, kto nie wzdycha i nie jęczy, gdy on odwołuje randkę? Ktoś, kto nigdy nie zasugerował, żeby odesłać Candy do Toronto?

Dee z godnym podziwu spokojem myślała o swojej ewentualnej rywalce. Tej możliwości nie brała poważnie pod uwagę. Sam rzeczywiście zaliczał się do grona osób bardzo zapracowanych, każdy musiał to przyznać. Po długich godzinach przyjęć liczni pacjenci wciąż zabiegali o wizytę u niego. Z trudem znajdował czas na jeden związek, a co dopiero mówić o dwóch. Podejrzewanie go o trzy byłoby już całkiem

niedorzeczne. Nikt nie zdołałby lawirować pomiędzy żoną, dwiema kochankami, obietnicami i czułymi słówkami. Nikt.

Dee ucieszyła się z postoju, podczas którego mogli rozprostować nogi. Tom dawał im zwykle dziesięć minut i ani chwili dłużej na wstąpienie do pubu przy stacji benzynowej, gdzie tankował liliowy autobus. Mężczyźni raczyli się małymi piwami, Celia kupowała sobie butelkę guinnessa, Dee stawiała czasami Nancy dżin z sokiem pomarańczowym, a sama, ilekroć była podenerwowana i czuła chłód w żołądku, wypijała małą brandy. Dzisiaj jednak nie uskarżała się na samopoczucie. Sam wyjechał na konferencję.

Zadzwoił do niej z lotniska, żeby się pożegnać. Zapewnił, że ją kocha, i obiecał, że spotka się z nią w poniedziałek późnym wieczorem po powrocie z Londynu. Okłamał Candy, że konferencja potrwa do wtorku. Wspaniale. Już niemal wieki upłynęły od czasu, kiedy mógł zostać u niej na całą noc. Dee zamierzała się pilnować, żeby żadna niemiła scena nie zakłóciła ich randki. Miało być tak wspaniale, jak na początku.

Gdy ponownie zajmowali miejsca w autobusie, biedny Mikey Burns, odzwierny z banku, który mógłby uchodzić za całkiem sympatycznego człowieka, gdyby nie jego zwyczaj opowiadania klozetowych dowcipów, oświadczył, że czuje się teraz o wiele lepiej, gdy podał dłoń najlepszemu przyjacielowi żony. Powtórzył dowcip dwukrotnie, na wypadek gdyby ktoś nie uchwycił puenty. Kev Kennedy najwyraźniej w dalszym ciągu jej nie chwycił.

- Przecież nie jesteś żonaty, Mikey - zauważył.

Mikey uznał się za pokonanego.

Dee oznajmiła, że nie może za długo spać w autobusie, gdyż drętwieją jej plecy. Nancy podała zaraz świetny sposób na pozbycie się uczucia sztywności w karku. Należało spuścić głowę w dół, jak gdyby była wielkim odważnikiem, a następnie przez chwilę nią poobracać. Niespodziewanie do rozmowy włączyła się Judy Hickey i poparła tę radę. Wyjaśniła, że to

jedna z zasad jogi. Dee zauważyła, że uwaga ta najwyraźniej zirytowała Nancy, jak gdyby uprawianie jogi znajdowało się na samym końcu listy jej upodobań.

O tej porze Sam musi już być w Londynie. Zatrzymał się pewnie w tym samym eleganckim hotelu nie opodal ambasady amerykańskiej, w którym kiedyś spędziła z nim weekend jako pani Barry. Pikanteria sytuacji szalenie ją podniecała. Przez cały czas myślała o tym, czy nie natknie się na kogoś z rodzinnego miasteczka, jak gdyby mieszkańcy Rathdoon kiedykolwiek bywali w tak wytwornych miejscach. Sam powiedział jej, że dziś o ósmej trzydzieści wieczorem odbędzie się przyjęcie, na którym wszyscy będą nosili plakietki z nazwiskami. A więc już się zaczęło. Znowu odczuła potrzebę porozmawiania o kochanku. Teraz miała ostatnią szansę. Nie mogła przecież wspominać o nim w domu.

- Przypuszczam, że twoi pracodawcy często wyjeżdżają na konferencje naukowe? - zagadnęła znajomą.

- Czasami - odparła wymijająco Nancy. - Ale raczej sporadycznie. Oczywiście wszyscy biorą w sierpniu urlopy. Nie masz pojęcia, jakie w związku z tym mam trudności z ustalaniem terminów przyjęć. Pacjenci nie rozumieją, że lekarze, w tym również specjaliści, muszą także wypocząć. A przecież im się to należy nawet bardziej niż innym - dodała ze szczerym przekonaniem.

Dee nie zamierzała poświęcać się do tego stopnia, aby dotrzeć do końca nowej diatryby. Chciała usłyszeć o panu Barrym, który właśnie uczestniczy w prestiżowym londyńskim zgromadzeniu, a także o jego reakcji w chwili otrzymania na nie zaproszenia. Pragnęła w skrytości nacieszyć się swoją tajemnicą i otrzymać od Nancy potwierdzenie, że Sam wraca we wtorek.

- Wspominałaś o tym, że jeden z nich wyjechał na konferencję w tym tygodniu, prawda?

- Nie. Jestem pewna, że nie powiedziałam nic takiego. - Nancy była wyraźnie zakłopotana.

- Może nie zawsze informują cię o swoich wyjazdach? - Serce Dee zaczęło bić w zawrotnie szybkim tempie.

- Nie sądzę, aby to było możliwe - oparła wyniośle Nancy.

- A już z całą pewnością żaden z nich nigdzie się nie wybierał w tym tygodniu. Tak się złożyło, że wiem, jakie wszyscy mają plany na weekend. Szykuje się duża uroczystość. Otóż pan i pani Barry, która, jak wiesz, jest Kanadyjką z pochodzenia, wydają jutro przyjęcie z okazji dziesiątej rocznicy swego ślubu. Przygotowują ogromne barbecue. Pan Barry prosił mnie, żebym się pomodliła o bezdeszczową pogodę.

Przez dalszą część podróży Dee nie słyszała ani jednego słowa. Chyba jednak zdołała nie okazać tego, potakując co jakiś czas i uśmiechając się, gdyż Nancy najwyraźniej nie dostrzegła zmiany w jej zachowaniu. Dee czuła się tak, jak gdyby ktoś przeciął jej gardło tuż pod złotą podkwa - wisiorkiem, który podarował jej Sam podczas ich wspólnego pobytu w Londynie - i wlał do środka dzbanek wody z roztopionego lodu, by tam ponownie zamrzła. Dlaczego? Tylko to pragnęła wiedzieć. Po co zadawał sobie tyle trudu, wymyślając zawile kłamstwa, bogate w takie szczegóły, jak identyfikatory czy nazwiska Amerykanów, Francuzów oraz Niemców, z którymi rzekomo miał się spotkać? Czy osoby te istniały naprawdę, czy też wziął ich nazwiska z książki telefonicznej albo zaczerpnął z literatury? I po co? Skoro on i jego żona są tak dobrym małżeństwem, że obnoszą się z tym publicznie, organizując wielkie barbecue dla uczczenia swojej rocznicy ślubu... to dlaczego on potrzebuje również jej, Dee?

Przeanalizowała wszystko jeszcze raz od początku. Poznali się w dniu międzynarodowych rozgrywek rugby. Organizatorzy wydali wielkie przyjęcie, podczas którego przed meczem częstowano kibiców różnymi przekąskami. Większość osób tak dobrze się bawiła, że wolała zostać na party niż oglądać mecz, i zadowolili się transmisją telewizyjną. Dee nękały wyrzuty sumienia z powodu biletów, które chętnie wykorzystaliby

rozczarowani, lecz nie tracący nadziei młodzi ludzie. Sam zebrął z pół tuzina wejściówek, wybiegł na ulicę i wręczył je pierwszej napotkanej grupie przechodniów. Wszyscy rzucili się do okien, ubawieni widokiem dzieciaków, które ochoczo popędziły w kierunku Landsdowne Road. Tego popołudnia Dee i Sam dużo się śmiali. Candy w drugim końcu sali prowadziła ożywioną rozmowę

o przepisach kulinarnych. Na odchodnym Sam oświadczył: „Musimy się znowu spotkać”, a ona, ubawiona, wybuchnęła perlistym śmiechem. Orzekła, że to scena żywcem wzięta z Hollywood.

- Ja też jestem żywcem wzięty z Hollywood - powiedział Sam, a słowa te zabrzmiały w jego ustach sympatycznie

i ciepło. Podała mu numer telefonu do domu i do pracy. Zadzwoił nazajutrz. Prześladował ją. Tak, określenie to wcale nie było za mocne. Prześladował. Oświadczyła, że nie chce się wikać w związek z żonatym mężczyzną. Zapewniał ją, że to coś więcej niż scenariusz z Hollywood, banalny romans i zwykłe truizmy, jakie zwykli wygłaszać niewierni mężowie. Jego małżeństwo okazało się wielką pomyłką. Nigdy by go nie zawarł, gdyby przebywając w Kanadzie, z dala od domu, nie poczuł się samotny. Jeśliby nawet nie spotkał Dee, to drogi jego i Candy i tak by się rozeszły. Czekają tylko, aż dzieci osiągną wiek, kiedy zdołają tę sytuację zrozumieć. Obiecywał, że zawsze będzie delikatny i czuły, i że nigdy nie przestanie jej kochać. Jak po takich zapewnieniach mógł w ten sposób postąpić? Jeśli ktoś kogoś darzy uczuciem i uważa, że stanowi razem z nim dobraną i atrakcyjną parę, dlaczego wydaje wielkie przyjęcie, podczas którego demonstracyjnie trzyma za rękę inną osobę i w podobny sposób okazuje jej swoje przywiązanie? Czy to ma jakiś sens? A zakładając, że kocha tę drugą osobę, że jest zadowolony z dziesięciu przeżytych z nią lat i uwielbia swoich dwóch malców, po co mówi innej kobiecie, że jest urocza i świeża? I dlaczego opowiada jej niestworzone rzeczy o

konferencji w Londynie i o plakietkach z nazwiskami? To wprost nie do pojęcia. Dee czuła, że pęknie jej głowa, jeśli nadal będzie usiłowała rozwikłać ten problem. Pochyliła się nieco do przodu. Tom dostrzegł w lusterku, że zmieniła pozycję.

- Dobrze się czujesz, Dee? - zawołał.

- Jasne - wymamrotała.

- To świetnie, za pięć minut dotrzemy do rogatek -oznajmił. Sądził pewnie, że cierpi na chorobę lokomocyjną.

- To jesteśmy już tak blisko miasta? - Była szczerze zdziwiona. Wydawało jej się, że od Rathdoon dzieli ich jeszcze około stu kilometrów. - Powinieneś zostać pilotem Concorde - zdobyła się na dowcip.

- Pewnie. Po kierowaniu liliowym autobusem to byłaby dla mnie błahostka - odpowiedział jej z uśmiechem.

Zastanawiała się, czy tym razem nie pójść prosto do domu. Ale o tej porze był pusty. Doszła do wniosku, że zdana wyłącznie na własne towarzystwo, czułaby się jeszcze gorzej. Wolała znaleźć się wśród gwaru prowadzonych rozmów i śmiechu - między darzącymi ją sympatią ludźmi.

Zanim wysiadła z autobusu, otworzyła torebkę i wyjęła lusterko. Nieprawdopodobne. Nie wyglądała źle - twarz była opalona dzięki spędzaniem w domu weekendom, a długie do ramion włosy mogły posłużyć do reklamy szamponu -

1 to bardzo drogiego, jak zwykły mawiać Sam. Oczy miały swój zwykły wyraz i nie krył się w nich obłąd. Mogła być spokojna, że nie przerazi rodziców ani ich przyjaciół. Gdy zaproponują jej coś do zjedzenia, oznajmi, że cierpi na rozstrój żołądka, i poprosi o brandy z porto. Ktoś powiedział jej kiedyś, że drink ten jest skuteczny na każdą chorobę. A przynajmniej na większość z nich.

Państwo Burkę na widok córki jak zwykle nie posiadali się z radości. Mieli dla niej nowiny. Nie mogli się doczekać, kiedy dostanie swojego drinka, by wznieść toast. Otrzymali wiadomość od syna: Fergal i Kate kupili już obrączki i

zamierzają się pobrać tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Czy to nie cudowna niespodzianka? Rodzice przyszłej panny młodej również podeszli do telefonu i wyrazili radość z obrotu sprawy. Wszyscy wspólnie doszli do wniosku, że obecnie młodzi ludzie nie śpieszą się z podejmowaniem decyzji i, być może, są o wiele rozsądniejsi, niż byli w ich wieku przedstawiciele poprzedniego pokolenia. Dee Burkę podniosła kieliszek i wypiła za zdrowie swego brata Fergala oraz przyszłej bratowej Kate, a potem razem z matką snuła domysły, jak państwo młodzi będą ubrani na ślubie. Gdy pałacy alkohol spłynął w dół przelyku, gdzie przedtem znajdowała się lodowata woda, i spowodował znieczulające pieczenie, Dee pomyślała, że ten, kto mówił o leczniczych właściwościach drinka, chyba miał rację.

Alkohol jednak nie pomógł jej zasnąć. A na dodatek, kiedy Dee chciała przewrócić się w łóżku na drugi bok, musiała to robić bardzo ostrożnie. Ogromny stary dom trzeszczał przy każdym ruchu. Wizyta nocą w toalecie groziła obudzeniem całej rodziny. Mając na względzie spokój innych, żaden z domowników w godzinach nocnych starał się z niej nie korzystać. Rodzice prowadzili długą rozmowę na dole. Dee uświadomiła sobie, że są małżeństwem już od trzydziestu lat. Nigdy hucznie nie obchodzili rocznic, a gdy w ubiegłym roku matka skończyła pięćdziesiąt lat, fakt ten został taktownie pominięty milczeniem. Nie organizowali na swoją cześć wystawnych przyjęć ani publicznych popisów.

Teraz jednak najistotniejsze było to, jak Dee powinna postąpić. Udawać, że o niczym nie wie, i pozwolić, by Sam w dalszym ciągu raczył ją łgarstwami o Londynie? Nie, nie może przystać na zakłamanie. Ale czy on nie był gotów zaakceptować takiego życia? Dzieliłby czas pomiędzy nią a żoną. Najwyraźniej o uczciwości nie miał zbyt wysokiego mniemania. Dlaczego nie przewidział, że Nancy się wygada? Dee powiedziała mu przecież, że co tydzień jeździ z jego sekretarką



tym samym autobusem. Ale Sam nie mógł wiedzieć, że Nancy opowiada Dee o swoich pracodawcach. Ani na chwilę nie przyszłoby mu do głowy, że wspomni przy kimś, kto w jej przekonaniu go nie zna, o tak banalnym wydarzeniu jak wydawane przez niego przyjęcie. Czy Dee powinna zadzwonić do Sama do domu? Ale co by jej z tego przyszło?

Postanowiła się uspokoić i zaczekać do świtu. Jakie było to ćwiczenie rozluźniające zdrewniałą kark i plecy? Próbowwała się zastosować do zapamiętanych wskazówek, poczuła się jednak jeszcze gorzej.

Godzinę później zrozumiała, czym jest bezsenność.

Nigdy nie mogła pojąć, dlaczego ludzie nie zapalają światła i nie czytają, gdy mają kłopoty z zaśnięciem.

Po upływie kolejnej godziny zaśmiała się gorzko z siebie samej i braku tabletek nasennych. Ona, córka i kochanka lekarza, nie miała ani jednej małej kapsułki mogadonu. Chwilę potem zaczęła płakać. Sen zmorzył ją dopiero za dwadzieścia ósma rano, w chwili gdy zaskrzypiały schody i matka zeszła do kuchni, by zaparzyć kawę.

Dee obudziła się o pierwszej po południu.

- Czy brzuch mniej cię boli? - spytała matka.

Dee zupełnie zapomniała o rzekomej niedyspozycji żołądka, która miała być usprawiedliwieniem dla zamówienia drinka.

- Chyba tak - odparła zdziwiona.

- Skoro tak, to może wyświadczysz mi przysługę. Mieliliśmy kolejny telefon od Fergala. - Matka umilkła, czekając na odpowiedź.

- Co się stało? Czy ślub został odwołany? - spytała Dee, przecierając oczy.

- Nie, głuptasie. Narzeczeni zapowiedzieli się dzisiaj na szóstą wieczorem. Czy mogłabyś mnie podwieźć do miasta? Chciałam kupić kilka rzeczy. „Sprawunki w mieście” oznaczały wyprawę do większej, oddalonej o trzydzieści kilometrów miejscowości. „Jazda do centrum” - zakupy w samym Rathdoon.

- Po co aż tam mamy jechać?

- Tutaj nie można dostać nic naprawdę smacznego ani oryginalnego.

- Mamo, na miłość boską, dlaczego miałybyś szukać czegoś smacznego i oryginalnego dla Fergala?

- Na kolacji będzie również Kate.

- Czyż nie żyje z moim bratem już od roku? Bądź rozsądna! Dlaczego miałyby jej zależeć na oryginalnych daniach? Czy nie możemy jak zwykle kupić u Kennedych trochę szynki i jagnięciny?

- No cóż, skoro nie chcesz tego dla mnie zrobić, to powiedz. Jestem pewna, że ojciec mi nie odmówi, jeśli go poproszę, i zgodzi się szybko obrócić. - Matka była wyraźnie poirytowana.

- Dobrze wiesz, że nie zdołacie szybko obrócić - to prawie trzydzieści kilometrów złej drogi. Jak w każde sobotnie popołudnie, na szosie będzie panował niesamowity tłok, nie zdołamy znaleźć wolnego miejsca na parkingu i wyprawa zajmie nam co najmniej trzy godziny.

- Nie musisz się tym kłopotać, moja damo. Widzę, że jesteś bardzo zajęta, ale nie żal ci czasu na wylegiwanie się w łóżku do południa. Teraz rozumiem, jak bardzo wyczerpujący tryb życia prowadzisz. W końcu ojciec może raz w tygodniu zrezygnować dla mnie z golfa.

Dee wyskoczyła z pościeli i sięgnęła po szlafrok.

- Zaraz cię podwożę, tylko się wykupię. Ale jestem naprawdę zaniepokojona. W przyszłym tygodniu pojedziesz do miasta po coś smacznego i oryginalnego dla mnie.

- Będę rada, jeśli przyprowadzisz do domu narzeczonego - oświadczyła pani Burkę. - A przy okazji, czy nigdy nie wkładasz pidżamy ani koszuli nocnej? Sypianie nago wydaje mi się dość osobliwym zwyczajem.

- Rzeczywiście, mamo. Od dziś już zawsze będę zamykała drzwi na klucz, aby nikt się o tym nie dowiedział.

- Nie ma to jak przemądrzała córka - zauważyła matka i żwawo zbiegła po schodach, żeby sporządzić listę sprawunków.

Pani Burkę nabyła nowy obrus oraz sześć serwetek do kompletu. Dee tak często wznosiła oczy do nieba, że matka poprosiła ją, aby nie wchodziła z nią do następnego sklepu i nie wystawiała jej na pośmiewisko. Czekać na zewnątrz w wozie, została trzykrotnie przesunięta w inne miejsce przez strażników, dokuczliwych mężczyzn o gwałtownym usposobieniu, którzy zasilając szeregi ochroniarzy, nie spodziewali się, że tak będzie wyglądać ich praca. Była też świadkiem sceny: pewna kobieta uderzyła mocno trzylatka. Wystraszony dzieciak zaczął wrzeszczeć. Ojciec malca uznał, że matka posunęła się za daleko, i popchnął ją z całej siły. Oto uroki małżeństwa, pomyślała Dee. Gdyby przyglądał się nam jakiś Marsjanin, pomyślałby, że jesteśmy niepoczytani, rwąc się do zakładania rodzin, niczym stado lemingów. Tylko tego wszyscy chcemy. Nietrudno o przykłady, i to nie tylko w romansach czy w serialu telewizyjnym „Dallas”, ale na każdym kroku. Najwyraźniej nikt z nas nie wyciąga wniosków z cudzych doświadczeń.

Matka wyszła ze sklepu, objuczona licznymi pakunkami, w chwili gdy w stronę córki ponownie zmierzał strażnik. Dee za jednym zamachem wciągnęła do samochodu i matkę, i sprawunki.

- Zrobiłaś się ostatnio bardzo niedelikatna i źle wychowana - powiedziała pani Burkę oburzona.

- Wszystkiemu winien zwyczaj sypiania nago - rzuciła Dee, uśmiechając się do strażnika. - Jestem pewna, że w tym tkwi przyczyna mojego grubiaństwa.

W połowie drogi powrotnej Dee nagle zrozumiała, co się stało. Po prostu głupia Nancy pomyliła tygodnie. Ot, i wszystko. Czyż Sam nie uprzedził jej, że będzie zajęty sprawami rodzinnymi w przyszłym tygodniu? I pomyśleć tylko, że nie spała aż do świtu, wierząc Nancy Morris. Chyba straciła rozum.

Nancy przesłyszała się, zaaferowana przyjmowaniem zapisów i uskarżaniem się na wysokie koszty życia.

Ulga była ogromna - jak po pójściu do spowiedzi - choć nieczęsto to praktykowała - albo jak po zdanym egzaminie czy po uzyskaniu prawa jazdy.

Roześmiała się uszczęśliwiona. Matka zwróciła na nią zaniepokojone spojrzenie.

- Wspominam dzień, kiedy zaliczyłam test z przepisów drogowych, mammo.

- Nie jestem pewna, czy zdołałabyś tego dokonać jeszcze raz - zauważyła pani Burkę. - Przed chwilą wpadłaś z dużą prędkością w dziurę. Ojciec nie życzyłby sobie, żebyś poobijała mu samochód.

- Myślę o cudownym uczuciu w chwili, gdy egzaminator zakomunikował mi, że zdałam. Czy chcesz, żebym nauczyła cię prowadzić auto, mammo? Pytam poważnie.

- Nie, nie chcę. A co więcej, nie sądzę, abym jeszcze kiedykolwiek zdecydowała się wybrać dokądś z tobą w roli kierowcy. Uważaj na drogę, Dee!

- Traktuj moją propozycję jako otwartą. Co tydzień po jednej lekcji w sobotę i w niedzielę, a jestem pewna, że zdołasz nas zawieźć osobiście na ślub Fergala.

Było jej lekko na duszy i radośnie. Gdyby spotkała tę głupią pannę Myszkę, jak zwykł ją nazywać Tom, udusiłaby ją gołymi rękami.

Dee uznała, że Fergal i Kate są trochę zwariowani. Ich zachowanie budziło w niej niesmak. Cechowała ich nadmierna gadatliwość, przeplatana chwilami całkowitego milczenia. Rozwodzili się bez końca nad tym, jak to wydorośleli podczas ubiegłych kilku miesięcy i jednocześnie uświadomili sobie własną niedojrzałość oraz brak poczucia odpowiedzialności. Postanowili dłużej się nie wahać i niezwłocznie, w obecności wszystkich bliskich, zawrzeć związek małżeński. Doktor Burkę, który sprawiał wrażenie, że nie wzięłby im za złe, gdyby do

końca życia żyli bez ślubu, kiwał głową i pomrukiwał z uznaniem. Matka zachłystywała się z podniecenia, chłonęła każde ich słowo i drobiazgowo opisywała im ślub Johna sprzed pięciu lat, pomijając jedynie szczegół, że panna młoda była w czwartym miesiącu ciąży. Dee wyłączyła się na chwilę z ogólnej rozmowy. Przeniosła się myślami do Sama w Londynie.

Powiedział jej, że przez całe sobotnie popołudnie będą się odbywały wykłady i że ma zamiar zrezygnować z oficjalnej kolacji. Oboje przewertowali angielską gazetę i zakreślili w niej godne obejrzenia spektakle. Zastanawiała się, czy dzisiejszy wieczór jest w Londynie równie pogodny i ciepły jak tutaj. Niespodziewane wspomnienie sprawiło jej dotkliwy ból. Poczula się tak, jakby otrzymała cios piłką tenisową w żołądek. Sam poprosił Nancy Morris, żeby pomodliła się dla niego o dobrą pogodę na barbecue. W ten weekend.

Nie była w stanie przełknąć ciasta beżowego, które matka tak pieczołowicie przełożyła kawowym kremem, chcąc wyrzucić wrażenie na Fergalu i Kate. Dee przeprosiła wszystkich, wstała od stołu i wyjaśniła, że musi coś zanieść Celi Ryan do pubu.

- Nie możesz tego zrobić później? - spytała matka.

- Nie, to jest jej potrzebne właśnie teraz.

- Czy mogę pójść razem z tobą? Przy okazji napiję się piwa - powiedział Fergal.

Dee wyśmiała brata:

- Co za pomysł, piwo po tak znakomitym posiłku, jaki mama dla was przygotowała! Zostań, wrócę za kilka minut.

- Czego Celia może chcieć od ciebie o tej porze? - spytał ojciec łagodnym tonem. - Czy nie będzie zajęta przez cały wieczór napełnianiem kufli i pomaganiem swojej biednej matce?

- Zaraz wracam! - zawołała Dee.

Wbiegła na górę po torebkę i po chwili już była na ulicy.

- Czy możesz rozmiąć mi banknot jednofuntowy, Celio? Potrzebuję drobnych na telefon.

- Jesteś wspaniałą klientką, Dee. Gdyby przychodziło tu więcej takich jak ty, mogłabym założyć ekskluzywny bar i otworzyć kabaret.

- Wypchaj się! Za chwilę poproszę cię o brandy, ale najpierw muszę zadzwonić do Dublina.

Celia nawet nie mrugnęła okiem. Nie spytała, czy telefon w domu jej rodziców jest zepsuty, tylko podała pieniądze.

- Czy ktoś może tutaj do mnie zatelefonować? - chciała wiedzieć Dee.

- Tak, zaraz ci podam numer. Nie chcę, żeby go wszyscy znali.

- Dobra z ciebie kumpelka - orzekła Dee.

- Mieszkanie państwa Barrych - dobiegł ją głos z kanadyjskim akcentem. Słyszała go dotąd tylko jeden jedyny raz, gdy spotkała osobę, do której należał, na przyjęciu wydawanym z okazji rozgrywek rugby. Wydarzyło się to zaledwie półtora roku temu, lecz Dee zdawało się, że od tamtej pory upłynęła cała wieczność.

- Czy mogłabym rozmawiać z panem Barrym?

- W tej chwili będzie to dość trudne. Z kim mam przyjemność?

- Mówi jego sekretarka, panna Morris.

- Och, panna Morris, przepraszam, nie poznałam pani. Sam rozpala właśnie pod rusztem - to chwila o przełomowym znaczeniu. - Dee usłyszała cichy śmiech. - Gdy mu się uda, wszyscy odetchniemy z ulgą. Czy mam go poprosić, żeby do pani zatelefonował, panno Morris? Przepuszczam, że sprawa jest pilna, czy tak?

- Obawiam się, że tak, pani Barry. - Głos Dee zabrzmiał przepaszająco.

- To tylko krótka wiadomość, ale muszę mu ją osobiście przekazać. Nie zabiorę panu doktorowi dużo czasu.

- Mąż zwykł mawiać, że w tym ulegającym stałym przeobrażeniom świecie tylko pani jest jak opoka - stała i niezmienna. Kiedy ma się z panią skontaktować?

- W ciągu najbliższej pół godziny, jeśli to możliwe. - I Dee podała zanotowany przez Celię numer.

- Rathdoon! Co za urocza nazwa! - Pani Barry postanowiła widocznie, że będzie czarująca wobec ostoji stabilności swojego męża. A może po prostu była tak uszczęśliwiona z powodu rocznicowego przyjęcia, że odnosiła się przyjaźnie do całego świata? Dee nie czekała, żeby się o tym przekonać.

- Rzeczywiście, to przyjemna nazwa. Do widzenia, pani Barry. - Odwiesiła słuchawkę. Cała się trzęsła. Usiadła na stołku przy barze. Celia nalała jej dużą brandy, lecz policzyła za małą. Dee obruszyła się protestując.

- Nie ma o czym mówić. Zawsze ty mi stawiasz.

- Dzięki. - Wzięła kieliszek w obie dłonie. Celia nie powinna była spostrzec ich drżenia.

- Słyszałam, że Fergal się zaręczył - zagadnęła barmanka.

- Chryste, nowiny rozchodzą się tutaj dosyć prędko. - Dee odsłoniła zęby w uśmiechu.

- Och, to już nie nowiny, lecz przestarzałe wieści. Dotarły do mnie wczoraj, gdy wysiadłam z autobusu.

- A więc w tym samym czasie co do mnie. Moi rodzice są w siódmym niebie.

- Nic dziwnego - nie oni muszą płacić za wesele - zaśmiała się Celia.

- Przestań, bo stajesz się podobna do Nancy Morris. Zadzwonił telefon. Dee wślizgnęła się do kabiny, a Celia bez słowa znów napelniła jej kieliszek.

- Łączę rozmowę - powiedziała telefonistka.

- Panna Morris? - spytał Sam.

- Nie, panna Burkę - odparła Dee.

- Co takiego?

- Słucham, tu Dee Burkę, czym mogę służyć? Najwyraźniej był zbity z tropu.

- Przepraszam, ale miałem zadzwonić pod ten numer do panny Morris...

- Nic podobnego. Poproszono cię, abyś odszedł od rusztu i porozmawiał ze swoją kochanką, panną Dee Burkę. Taką wiadomość przekazałam twojej żonie.

- Dee. Dee. - Był przerażony. W jego głosie wyraźnie słyszała strach.

- Och, Candy okazała się bardzo miła i pomocna. Pofatygowała się po ołówek i zanotowała numer. Oświadczyła, że Rathdoon musi być uroczym miejscem, sądząc po jego nazwie.

- Dee, co ty wyprawiasz? - Jego głos przeszedł w szept.

- Spędzam weekend w domu, tak jak powiedziałam. Ciekawe wydaje się natomiast to, co ty wyprawiasz. Czyżby konferencja została odwołana? Nic o tym nie wiedziałeś, kiedy o wpół do piątej jechałeś na lotnisko. Zostałeś poinformowany zaraz po przylocie do Londynu, czy musiałeś dojechać aż do centrum?

- Dee, wszystko ci dokładnie wytłumaczę, tylko nie teraz i nie tutaj. Co naprawdę powiedziałeś Candy?

- Nie mam zamiaru się powtarzać. Zresztą sam ją spytaj, czy nie spodobała jej się nazwa Rathdoon.

- Nie powiedziałeś jej chyba... dlaczego to zrobiłeś?

- Uznałam, że kłamstwa wprowadzają tylko niepotrzebne komplikacje. Życie stanie się doprawdy o wiele łatwiejsze bez udawania.

- Ależ...

- Candy wie, że spędzisz ze mną poniedziałkową noc, dlatego już nie musisz jej okłamywać. A ja dowiedziałam się od niej, że właśnie wydadecie z okazji dziesiątej rocznicy waszego ślubu cudowne przyjęcie, na którym są obecni wasi przyjaciele, w tym również pan Charles i pan White, i wszyscy asystują ci przy



rozpalaniu ognia pod rusztem. A więc skończmy z tą grą pozorów; odtąd nie musisz się już niczym kępować.

- Nie wierzę ci. Nie powiedziałaś tego wszystkiego Candy.

Głos Dee nabrał twardego brzmienia. Bardzo twardego brzmienia.

- Będziesz się musiał sam o tym przekonać.

- Ale ona przekazała mi, że to panna Morris telefonowała.

- Poradziłam jej, żeby posłużyła się tym pretekstem - tłumaczyła Dee pobłażliwym tonem, jak gdyby rozmawiała z dzieckiem. - Ze względu na waszych gości. Zresztą porozmawiamy o wszystkim w poniedziałek.

- Nie rozłączaj się, Dee, musisz mi to wyjaśnić.

- Sądzę, że wytłumaczyłam wszystko dostatecznie jasno.

- Zadzwoń do ciebie później.

- Możesz sobie dzwonić do woli. To pub.

- Dokąd teraz pójdziesz?

- Widzę w kącie sali prawdziwą pannę Morris. Chyba postawię jej dzin z sokiem pomarańczowym i opowiem o nas. Dzięki temu będę mogła odtąd swobodnie do ciebie telefonować. Przedtem to nie wchodziło w rachubę, ponieważ ona mnie zna. Ale teraz, kiedy hołdujemy zasadzie prawdomówności...

- Zasadzie prawdomówności?

- Tej samej, o której przed chwilą rozmawialiśmy z Candy.

- Jesteś nieznośna. O niczym jej nie powiedziałaś, prawda? To tylko gra, niebezpieczna zabawa.

- Mów ciszej, jeszcze cię usłyszą.

- Gdzie będziesz jutro?

- Zobaczymy się w poniedziałek wieczorem, tak jak ustaliliśmy. Teraz, kiedy już nie ma potrzeby niczego ukrywać, możesz przyjść do mnie nawet prosto z pracy.

- Błagam cię, przyznaj się, co powiedziałaś Candy.

- Będziesz musiał ją o to zapytać.

- Ale jeśli jej nic nie wyjawiałaś, to...

- Masz rację, wtedy zdradzisz się sam.  
 - Dee!  
 - Do zobaczenia w poniedziałek.  
 - Nie pozwolę, żebyś mnie szantażowała, aby wymóc na mnie spotkanie.

- Jak sobie życzysz. W każdym razie będę w domu, chyba że coś mi wypadnie. - Odwiesiła słuchawkę i zwróciła się do barmanki:

- Gdyby ten facet jeszcze raz zadzwonił, czy mogłabyś mu powiedzieć, że nigdy o mnie nie słyszałaś i że przez cały wieczór nie było tu nikogo o takim nazwisku?

- Jasne - odparła Celia.

Dee wróciła do domu. Fergal był w trakcie monologu i wyjaśniał właśnie, że przychodzi taka chwila w życiu człowieka, kiedy nie można się już dłużej bawić, lecz trzeba stawić czoło rzeczywistości.

- Dobry Boże! Fergal, powinieneś zostać filozofem! - oświadczyła z podziwem siostra.

- Czy wypijałaś coś u Celi Ryan?

- Tak, dwie duże brandy, droga mamo - odpowiedziała Dee.

- Ile to kosztowało? - Fergal, który musiał teraz oszczędzać na spłatę długu hipotecznego, interesował się wydatkami na przyjemności.

- Nie mam pojęcia. Właśnie uprzytomniłam sobie, że zapłaciłam tylko za małego drinka. - Nagle w jej oczach pojawiły się łzy.

- Czy nie wybrałabyś się ze mną na małą przechadzkę, Dee? Nie przeszkadzajmy w rozmowach o przygotowaniach do ślubu, które z pewnością pod naszą nieobecność osiągną punkt kulminacyjny - zaproponował doktor Burke, trzymając w dłoni swoją czarną laseczkę.

Szli w milczeniu. Minęli smażalnię frytek, pokonali most i dotarli do rozwidlenia szosy. Dopiero w drodze powrotnej nawiązała się pomiędzy nimi rozmowa.

- Nic mi nie będzie, tato - zapewniła.
- Oczywiście, wiem o tym. Jesteś dużą, dzielną dziewczynką, a któregoś dnia staniesz się samodzielnym prawnikiem - postrachem sądu okręgowego, prawda?
- Być może.
- Jestem tego pewien. A wszystkie inne problemy same się rozwiążą, zobaczysz.
- Wiesz o nim? - Dee była szczerze zdumiona.
- Mieszkamy w Irlandii, dziecko. Obaj jesteśmy lekarzami, choć on należy do tych ludzi... którzy nie wiadomo jakim cudem osiągają tak wysoką pozycję w swoim zawodzie.
- Od kogo się dowiedziałeś?
- Ktoś was widział razem i pomyślał, że powinienem o tym wiedzieć. Było to dość dawno temu.
- Ta sprawa jest już skończona.
- Może tak ci się tylko wydaje...
- Nie, to przesądzone: decyzja zapadła dzisiaj wieczorem.
- Dlaczego tak nagle?
- On jest kłamcą i niczym więcej. Zwodził nas obie. Dlaczego mężczyźni postępują w ten sposób?
- Ponieważ czują się zagubieni i chcą spróbować wszystkiego po trochu. Społeczeństwo im na to nie pozwala, dlatego muszą mówić nieprawdę. Na początku udaje im się postępować wbrew przyjętym normom bez uszczerbku dla własnej reputacji, a konieczność zachowania dyskrecji sprawia, że sytuacja staje się bardziej podniecająca.
- Nie sposób ująć tego lepiej. Nie mam tylko pojęcia, skąd ty tak dobrze możesz o tym wiedzieć.
- Och, sam kiedyś przez to przeszedłem.
- Tato, to do ciebie niepodobne. Nie wierzę ci.
- Zdarzyło się to przed wieloma laty. Byłaś wtedy zaledwie pędrakiem.
- Czy mama to odkryła?

- Nie sędzę. Mam nadzieję, że nie. W każdym razie nigdy nie wspomniała o tym ani słowem.

- A co się stało z dziewczyną?

- Och, miewa się dobrze. Nienawidziła mnie przez jakiś czas - to było najgorsze. Gdyby okazała wtedy chociaż odrobinę zrozumienia... Bodaj odrobinę.

- A z jakiego powodu miałyby to robić? - spytała Dee z oburzeniem.

- Ponieważ była młoda i czarująca, tak jak ty, i świat leżał u jej stóp, a ja miałem już unormowane życie, które wydawało mi się... trochę zbyt monotonne.

- Pewnie powinna podać ci rękę, jak równy gość, i powiedzieć: „Nie żywię do ciebie urazy, Johnny Burkę. Będę przechowywała wspomnienie o tobie niby najcenniejszy skarb” - zauważyła zjadliwie Dee.

- Coś w tym rodzaju - roześmiał się ojciec.

- Może masz rację. - Dee wzięła go pod ramię. - Przecież ty jesteś o wiele sympatyczniejszym mężczyzną od Sama Barry'ego. On nigdy ci nie dorówna. W pełni zasłużył na to, żeby się trochę z niego pośmiać.

- Ach, więc będziesz go przypiekać na wolnym ogniu - rzekł dobrodusznie ojciec. - Nigdy dotychczas mnie nie słuchałaś - nie ma powodu, żeby to się teraz miało zmienić.

Dee siedziała w swoim pokoju i wyglądała przez okno, skąd roztaczał się widok na miasteczko. Wydawało się jej, że widzi Nancy Morris siedzącą na murku obok smaźalni, lecz doszła do wniosku, że to nie może być ona. Nancy i cała porcja frytek?... Śmiechu warte.

## Mikey

Mikey twierdził zawsze, że trudno trafić na miłsze dziewczyny niż te pracujące w jego banku. Mężczyźni też byli sympatyczni, lecz pochłonięci swoimi karierami zawodowymi, rzadko znajdowali czas na rozmowy. Tylko jeden z nich, młody lalusz, który niewątpliwie miał szansę na dochrapanie się jakiegoś wysokiego stanowiska przed trzydziestką, zwrócił uwagę Mikeyowi, by poskromił swoje poczucie humoru, gdyż panie uważają jego dowcipy za prostackie. Mikey poczuł się bardzo urażony i przez cały dzień ani słowem do nikogo się odezwał. Jego milczenie zaniepokoiło Annę Kelly, kobietę o złotym sercu. Spytała go, czy dobrze się czuje. Mikey powtórzył jej słowa młodego urzędnika i Anna Kelly stwierdziła, że banki to miejsca, w których króluje nuda, i że być może młody człowiek miał rację - żarty są dobre wśród przyjaciół, lecz w murach tak poważnej instytucji pracownicy nie roześmialiby się nawet wtedy, gdyby przez rok ich łaskotać w najbardziej wrażliwe miejsca.

Mikey rozumiał i odtąd już nigdy nie pozwalał sobie na dowcipy w gmachu banku. Gdy spotkał któregoś z urzędników na ulicy, to co innego - mógł wtedy rzucić jakąś uwagę, ponieważ znajdowali się na neutralnym gruncie. Dziewczynom zwykł opowiadać o swojej rodzinie w Rathdoon, a mówiąc ściśle, o rodzinie Billy'ego i Mary. Bliźniacy są rudzi i piegowaci, Gretta nosi kucyki, a śmiech niemowlęcia o buzi krąglej jak bułeczka słychać na kilometr. Mikey wyznał Annie Kelly, że czasami w letnie wieczory, gdy jest jeszcze widno, bliźniacy nie kładą się spać o zwykłej porze, lecz siedzą przy oknie i czekają, aż zza zakrętu wyłoni się liliowy autobus i wysiądzie z niego wujek Mikey.

Dzieci kolekcjonowały znaczki oraz wszelkiego rodzaju odznaki. Mikey uczulił swoich znajomych, żeby je dla niego

zbierali, i dlatego nigdy nie przyjeżdżał do domu z pustymi rękami.

Jako jedyny portier w banku pochodził z prowincji. Wszyscy pozostali byli dublińczykami i podśmiewali się z niego, że dostał tę pracę po znajomości. Okazywali mu jednak wielką życzliwość i wspaniale gawędziło się z nimi przez cały dzień w przerwach pomiędzy otwieraniem petentom drzwi lub wywożeniem i wwożeniem na wózkach olbrzymich skrzyń z pieniędzmi. Do obowiązków portierów należało również dostarczanie listów i dokumentów do różnych instytucji mieszczących się na tej samej ulicy co bank. Nic więc dziwnego, że znali nazwiska większości klientów i na Boże Narodzenie otrzymywali od nich wartościowe prezenty.

Liliowy autobus zaczął kursować dokładnie w tym czasie, kiedy stał się Mikeyowi potrzebny. Ojciec ostatnio całkiem zniedołężniał i Mikey nie mógł przerzucić całego ciężaru opieki nad nim na barki Billy'ego i Mary. Bez Toma

1 jego minibusu, który podwoził Mikeya pod sam dom, cotygodniowa podróż byłaby ogromnie uciążliwa. Musiałby korzystać z zatłoczonego w piątkowe wieczory pociągu, docierającego jedynie do stacji położonej trzydzieści kilometrów od Rathdoon, a potem rozglądać się za dalszym transportem. Dojazd w tej sytuacji zająłby mu całą noc i cały dzień. Byłby szalenie wyczerpujący.

Ojciec czasami cieszył się na jego widok, ale bywało i tak, że go nie poznawał. Mikey przejmował obowiązki związane z karmieniem starca i rozczesywaniem jego splątanych włosów. Nastawiał magnetofon z ulubionymi marszami ojca i wrzucał brudną bieliznę do dużych stojących na podwórzu wiader, wypełnionych wodą z dodatkiem środka odkażającego. Zona Billy'ego, Mary, święta osoba, utrzymywała, że pranie odzieży teścia przestaje być problemem, kiedy się myśli o niej jako o niemowlęcych pieluszkach. Twierdziła, że należy ją tylko namoczyć w roztworze dezynfekcyjnym, potrzymać przez jakiś

czas w czystej wodzie i dopiero potem wyprać. I tak byli szczęściarzami, że mieli podwórze za domem, kran z bieżącą wodą i odpływ ścieków. Cóż mieliby w ich sytuacji powiedzieć ludzie, mieszkający w kamienicy?

Dwa razy w tygodniu przychodziła pielęgniarka. Ona też była dobrą kobietą. Buntowała Mikeya, żeby nie przyjeżdżał co tydzień. Uważała, że to zbyt wielkie poświęcenie z jego strony. On jednak nie mógł zostawić brata i bratowej samych w obliczu problemu. Uchylenie się od synowskiego obowiązku byłoby wobec nich nieuczciwe. „Oni dostaną po ojcu dom, a co ty będziesz miał?” - argumentowała kobieta. Mikey odparł, że to nie ma nic do rzeczy, poza tym zawsze jest miło znaleźć się wśród bliskich.

Bliźniacy oznajmili Mikeyowi, że podczas jego pobytu w domu nigdy nie ma kłótni. Był zdumiony.

- A dlaczego miałyby być kłótnie?

Dzieci wzruszyły ramionami. Obawiały się, że udzielając odpowiedzi na to pytanie, okażą się nielojalne wobec starszych.

- Nie możecie kłócić się z waszym biednym dziadkiem. Jest przecież bezradny jak niemowlę - tłumaczył Mikey.

Bliźniacy przytaknęli i temat został zakończony.

Dzieciaki uwielbiały, kiedy Mikey wracał do domu. Miał dla nich zawsze w zanadrzu zapas dowcipów - żadnych ryzykownych oczywiście, lecz tylko takich, które nadawałyby się do powtórzenia. Gretta czasami nawet je zapisywała, w obawie że ich nie spamięta i nie zdoła opowiedzieć w klasie. Mikey nigdy się nie powtarzał. Bratankowie uznali, że powinien występować w telewizji przed szeroką widownią. Mikey uwielbiał snuć o tym fantazje. Kiedyś łudził się, że zostanie poproszony o popis na scenie dla bankowców, lecz nikt mu tego nie zaproponował, a kiedy szepnął o tym miłej Annie Kelly, powiedziała, że trzeba być członkiem związku zawodowego, żeby otrzymać zaproszenie na widowisko, do występów zaś upoważnieni są jedynie członkowie Międzynarodowej

Organizacji Radiofonicznej. Był zadowolony, że się o tym dowiedział. Dzięki temu nie czuł się pominięty.

Miał wątpliwości co do liliowego autobusu, gdy po raz pierwszy przybył na wyznaczone miejsce w piątkowy wieczór. Tom Fitzgerald poprosił ich, żeby nie wymachiwali mu przed nosem pieniędzmi, gdyż z punktu widzenia prawa całe to przedsięwzięcie zalicza się do tak zwanej szarej strefy. Liliowy autobus posiadał aktualne ubezpieczenie oraz licencję na przewóz pasażerów, ale kierowca wołał nie kusić losu. Życzył sobie, żeby wszyscy wręczyli mu pieniądze po przybyciu do Rathdoon, gdzie było spokojnie i bezpiecznie. Nikt nie rozumiał wiele z tego wyводу, lecz wszyscy zgodzili się postępować zgodnie z zaleceniami. Mikey zastanawiał się, czy córka doktora Burke'a i syn pana Greena, Rupert, zechcą podróżować w towarzystwie portiera bankowego - syna ubogiego Joeya Burnsa, który gdy był w pełni władz umysłowych, nie robił nic innego, jak tylko wystawał pod pubem „U Ryana”. Dee i Rupert okazali się jednak bardzo przyzwoitymi ludźmi. Nie mieli w sobie ani odrobiny snobizmu. Podobnie zresztą jak pani Hickey, która też była prawdziwą damą, a pomimo to zawsze zdawała się zadowolona z obecności Mikeya. Nancy Morris nie zmieniła się od szkolnych czasów - pozostała nieprzystępna i wiecznie markotna. Nic dziwnego, że wciąż trwała w panińskim stanie. Podobnie jak Celia Ryan; Mikey nie pojmował, dlaczego tej dziewczyny nikt do tej pory nie poślubił. Zawsze robiła wrażenie, że jest nieobecna myślami, a przecież uchodziła za znakomitą pielęgniarkę. Mikey miał znajomego, który leżał kiedyś na jej oddziale i wprost nie mógł się dziewczyny nachwalić. Twierdził, że dobroć Celii jest legendarna wśród pacjentów.

Teraz, kiedy Mikey przewycięzył już początkową nieśmiałość, podróże do domu sprawiały mu przyjemność. Zawsze raczył swoich współpasażerów dowcipami, i choć nie byli tak oddaną publicznością jak Gretta, Phil czy Paddy, to jego



żarty wywoływały ich uśmiechy, a czasami nawet wybuchy wesołości.

Ilekcio zajmował miejsce obok Celi, opowiadał jej historie ze świata bankowości. Opisywał nowe maszyny do liczenia pieniędzy, mówił o dniach kontroli i o turystach, którzy doprowadzają go nieraz do szału. Francuscy i hiszpańscy studenci na przykład zwykli ustawiać się latem w kilometrowej kolejce, a każdy z nich chciał wymienić franki oraz pesety na tutejszą walutę w kwocie o wartości nie przekraczającej jednego funta. Celia nie miała zwyczaju relacjonować wydarzeń ze szpitalnego życia. Udzielała mu za to praktycznych rad dotyczących pielęgnacji ojca. Przekazywała je półgłosem, aby inni nie słyszeli o jednorazowych pieluszkach ani o zamocowaniach na rzepy do ubrań.

Dzisiejszego wieczoru obok Mikeya siedział młody Kennedy. Chłopaka wyraźnie coś gnębiło. Jego dwaj bracia, Bart i Eddie, byli najmiłszymi ludźmi pod słońcem. Keva bez wątpienia musiała spotkać jakaś niemiła przygoda. Sprawiał wrażenie, jak gdyby był świadkiem dnia sądu ostatecznego. Ilekcio został o coś zagadnięty, o mało nie wyskakiwał ze skóry. Na nic nie zdawały się próby opowiedzenia mu dobrego żartu - ani razu nie zdołał uchwycić puenty. Mikey postanowił nauczyć go kilku sztuczek, które Kev mógłby potem zademonstrować w pubie. Lecz on tylko wytrzeszczył na niego oczy i nie pojął ani jednego słowa.

W końcu Mikey zostawił go w spokoju. Młody człowiek utkwiał wzrok w szybie i niespokojnie wypatrywał czegoś za oknem, jak gdyby zza krzewów miały za chwilę wyskoczyć chochliki i wtargnąć do autobusu.

Mikey zapadł w drzemkę, o co podczas jazdy nie było trudno. Obie siedzące za nim dziewczyny już spały i pewnie śniły o swoich chłopakach. Mikeyowi przyśnił się ojciec. Znowu był krzepki i zdrowy. Otworzył w Rathdoon agencję importowo-eksportową, w której powierzył Mikeyowi stanowisko

dyrektora. Mikey mógł teraz zaoferować wspianą pracę wakacyjną swoim bratankom - mieli dostarczać pocztę mieszkańcom miasteczka. W jego snach często pojawiały się dzieci, lecz nigdy nie śniła mu się żona. Przegapił swoją szansę. W czasie odpowiednim na rozejrzenie się za jakąś towarzyszką życia był niedojrzały i zbyt nerwowy. A teraz, w wieku czterdziestu pięciu lat, nie zamierzał już zabiegać o ożenek i robić z siebie głupca, chodząc na tańce albo podrywając w pubach łatwe kobiety. Wystawiłby się tylko na pośmiewisko.

Gdy przejechali przez most i znaleźli się w zachodniej części kraju, zatrzymali się na dziesięciominutowy odpoczynek oraz na małe piwo dla przepłukania gardła. Celia dyskretnie wręczyła mu kopertę.

- To sposób na radzenie sobie z odleżynami. Wszystko jest tam napisane. Staraj się zapewnić ojcu jak najwięcej ruchu.

- Jesteś nadzwyczajna, Celio! Ile ci jestem winien?

- Oszalałeś, Mikey? Sądzisz, że mnie to coś kosztowało? Potraktuj to jako prezent od służby medycznej Dublina. - Roześmiali się. Mikey pomyślał, że Celia to naprawdę bardzo miła osoba.

Szkoda, że gdy był młody i w miarę atrakcyjny, nie znalazł sobie jakiejś równie sympatycznej dziewczyny. Miał teraz dobrze płatną pracę i byłby w stanie utrzymać rodzinę. Powody, dla których się nie ożenił, nie sprowadzały się jednak do spraw finansowych - chodziło o brak zainteresowania kimkolwiek. Nie mógł przecież kupić mieszkania i umeblować go tylko dla siebie. Wynajmowany przez niego pokój był jednak przestronny i wygodny, a Mikey nie odmawiał sobie żadnych luksusów. Posiadał duży, dobry telewizor i ogromne lustro na drzwiach szafy, w którym codziennie przed wyjściem sprawdzał swój wygląd. Przy łóżku stało radio, wyposażone w nocną lampkę i zegar z budzikiem. Ilekroć Mikey wybierał się dokądś z wizytą, a koledzy z Dublina często zapraszali go do swoich domów, przynosił zawsze duże pudła czekoladek fantazyjnie

przewiązane wstążką. Mógł sobie pozwolić na to, żeby zadbać o swoje dobre imię.

Cóż z tego, że urodził się jako syn biednego Joeya Burnsa oraz kobiety, która prała ludziom bieliznę i myła podłogi w cudzych domach? Fakt ten nie przeszkodził również jego bratu w zrobieniu kariery - Billy chodził po Rathdoon z wysoko podniesioną głową i nie czuł się gorszy od innych obywateli miasteczka. I czyż nie miał do tego prawa? Wystarczyło tylko spojrzeć, do czego doszedł - dorobił się własnego interesu, w którym zatrudniał pięć osób, i doprowadził do rozkwitu sklep uważany dotychczas za niepotrzebny. Połowa mieszkańców Rathdoon jadła w sobotnie wieczory kurczaki z frytkami albo ryby i hamburgery. Lokal był otwarty do późna, aby przyjąć wracające z pubu „U Ryana” tłumy. Billy na własny koszt wystawił przed sklepem dwa olbrzymie druciane kosze na śmiecie, czym też zjednał sobie powszechną sympatię.

Oprócz tego brat prowadził niewielką agencję ubezpieczeniową. Wszyscy zainteresowani chętnie korzystali z jej usług, gdyż dzięki temu formularze były wypełniane o wiele prędzej niż w domu. Miał też powiązania z firmą zajmującą się wykładaniem nawierzchni tarmakadamem. Kiedy ktoś chciał upiększyć miejsce przed swoim domem, Billy namawiał na to innych mieszkańców ulicy, a następnie sprowadzał robotnika z maszyną do smołowania. W ten sposób usługa stawała się dla wszystkich tańsza, a miasteczko,

w tym pokaźny odcinek głównej ulicy, wyglądało o wiele lepiej niż przedtem. Billy zasadził nawet drzewko w skrzyni i wejście do smaźalni wyglądało teraz jak z filmu. Miał głowę na karku, to pewne. W przeciwieństwie do brata nie uciekł do Dublina po śmierci matki, lecz pozostał na miejscu i poślubił Mary Moran - kobietę, z którą żadna inna nie mogła się równać. Mikey był o tym głęboko przekonany.

Z niecierpliwością oczekiwał dzisiaj, kiedy znajdzie się w domu. Wiózł bliźniakom w prezencie urodzinowym grę

komputerową - Kosmicznych Najeźdźców. Przez tydzień sam się nią zabawiał w swoim dublińskim pokoju, lecz ekspedient w sklepie zapewnił go, że można ją również podłączyć do mniejszego telewizora. Urodziny bliźniaków wypadły w poniedziałek i Mikey zamierzał podarować im upominek w niedzielę po południu. Postanowił, że zaciągnie zasłony w salonie, udając, że jest zainteresowany jakimś programem w telewizji, a następnie zrobi im niespodziankę. Dla Gretty miał ładną torebkę. Wprawdzie dziewczynka nie obchodziła teraz urodzin, lecz nie chciał, żeby czuła się pokrzywdzona. Niemowlęciu kupił żółtego królika, na wypadek gdyby dzieciak przejawiał oznaki niezadowolenia w wózku.

W piątkowe wieczory Mary nie pozwalała Mikeyowi zajmować się ojcem. Zwykle czekała na szwagra z gorącą kolacją. Kiedy miała za sobą wyjątkowo ruchliwy dzień, biegła na drugą stronę ulicy i przynosiła ze smażalni rybę z frytkami, gdy tylko liliowy autobus podjeżdżał pod dom. Nigdy nie zapomniała podziękować Mikeyowi za to, że poczuwa się do opieki nad staruszkiem. Opowiadała mu śmieszne anegdotki związane z dziećmi i zdawała relację z tego, co robiły podczas minionego tygodnia.

Mikey wysiadał jako drugi z kolei. Najpierw zostawiali córkę doktora Burke'a przy wejściu do klubu golfowego. Jej rodzice zwykle spędzali tam piątkowe wieczory i Dee do nich dołączała. A potem autobus dojeżdżał do końca ulicy i Mikey docierał do celu.

Zdjął z półki lekką jak piórko walizkę Nancy Morris i postawił ją przy drzwiach. Nancy i Kev Kennedy wysiadali tuż po nim. Kev nie miał przy sobie nic oprócz paczki, którą trzymał pod siedzeniem.

Mikey poradził wszystkim, żeby zachowywali się przyzwoicie. Jeśli nie będą w stanie, to niech przynajmniej kierują się zdrowym rozsądkiem, bo gdy i rozważa ich

zawiedzie, będą zmuszeni pomyśleć o niemowlęcym wózku. Po czym roześmiał się i uradowany zamknął za sobą drzwi.

W kuchni było ciemno. Na stole nie czekał na niego posiłek. Mary przepadła gdzieś bez śladu i Mikey nie dostrzegł nigdzie żadnej karteczki. Nie zaniepokoiła go nieobecność brata - zwykle był zajęty w smażalni lub załatwiał jakieś interesy w pubie „U Ryana”. Ale gdzie mogła się podziewać Mary?

Zajrzał do pokoi. Ojciec spał z otwartymi ustami. Przy jego łóżku stał fotel inwalidzki, a na krześle wielki nocnik. Umieszczenie go tam było przejawem optymizmu, gdyż starcowi nigdy nie udawało się załatwić potrzeb fizjologicznych jak należy.

W pomieszczeniu unosiła się woń środków dezynfekcyjnych pomieszana z przyjemnym zapachem olbrzymich bukietów kwiatów, które Mary wszędzie poustawiała. Zawsze twierdziła, że rozweselają staruszkę. Czasami widywała, jak sięga do nich ręką i delikatnie ich dotyka. Ojciec cicho chrapał. Na nocnej szafce paliło się światło, płonęła także lampka oliwna przy obrazie Najświętszego Serca Jezusa.

Mikey wszedł cicho na górę. Bliźniacy spali w swoich dzieciennych łóżeczkach. Wokół leżały porozrzucone ich ubrania, książki i zabawki. Phil był zwinięty w kłębek i miał zaciśnięte piąstki. Paddy leżał na boku i wydawał się spokojniejszy od brata. Gretta wyglądała zabawnie ze swoimi długimi i prostymi włosami rozrzuconymi na poduszce. Mikey widywał ją zwykle w warkoczach, które nosiła od czasu, gdy tylko nauczyła się je zaplatać. Uśmiechała się, jak gdyby śniła o czymś miłym. Była drobnym i niezdarnym dzieckiem, lecz jej uśmiech potrafił stopić serce jak wosk. Nawet wtedy, gdy spała.

Drzwi do sypialni Mary i Billy'ego były otwarte na oścież. Niemowlę, pulchne i delikatne jak maślana bułeczka, leżało w kołysce nie opodal łóżka nakrytego śliczną koronkową narzutą. Na ścianie wisiał obraz podświetlony od spodu niebieską lampką. Przedstawiał Najświętszą Panienkę wśród umajonych

kwieciami pól i nazywał się „Królowa Wiosny”. Mary powiedziała kiedyś Mikeyowi, że w dniu zaręczyn z Billym wygrała zawody karnawałowe, polegające na trafianiu obręczami do celu, i wybrała ten obraz w nagrodę, gdyż bardzo się jej spodobał.

Mikey postawił małą torbę podróżną w swoim pokoju, który był wyjątkowo schludnie utrzymany. Mary zawsze kładła na jego łóżku jasiek obleczony w czystą poszewkę o jasnych kolorach, jak gdyby do domu przybywał jakiś ważny gość. Mikey nieraz wspominał czasy, kiedy żyła matka. Dom był wtedy całkowicie pozbawiony szyku. Biedaczka nie miała wolnej chwili, żeby o jego wygląd zadbać.

Nieobecność Mary była zastanawiająca. Może pobiegła dla niego po rybę z frytkami? Usiadł w salonie i obejrzał w telewizji wiadomości. W końcu zaniepokoił się nie na żarty. Brat i jego żona nigdy nie zostawiali dzieci samych w domu, pomimo że mogły czuć się w nim całkowicie bezpiecznie. Już taki mieli zwyczaj. Z każdą chwilą niepokój Mikeya wzrastał. Poszedł do smażalni na drugą stronę ulicy, gdzie ku swojemu zdumieniu zastał Mary. Bratowa obsługiwała klientów, cztery osoby czekały na realizację zamówień, a za ladą uwijała się tylko jedna z młodych pracownic. Obie z Mary były straszliwie zagonione.

- O Jezu, Mikey, czy jest już aż tak późno? - Mary ucieszyła się na widok szwagra, a jednocześnie zupełnie straciła głowę.

- Może mógłbym stanąć za kontuarem i trochę wam pomóc? - Wiedział, co należy robić, gdyż włączał się czasami do pracy - szczególnie w letnie wieczory, kiedy panował wyjątkowo duży ruch. Ceny nie stanowiły problemu, gdyż ich wykaz znajdował się na ścianie.

- Och, Mikey, naprawdę? - spytała bratowa z nie ukrywaną wdzięcznością.

Zdjął marynarkę i sięgnął do szuflady po fartuch. Po upływie kilku chwil tłum klientów się przeredził i Mary była w stanie

na nowo złapać oddech. Najpierw zwróciła się do swojej pracownicy: '

- Treasa, pobiegnij do pubu „U Ryana” i uprzedź wszystkich, że dzisiaj wcześniej zamykamy. Jeśli ktoś chce coś kupić, niech przyjdzie w ciągu najbliższej pół godziny, bo inaczej spotka go przykra niespodzianka.

- Kogo mam zawiadomić, proszę pani? - dziewczyna robiła wrażenie zdezorientowanej.

- Słuszne pytanie: mówienie czegokolwiek pani Ryan mija się z celem. Może zastaniesz kogoś za barem, Barta Kennedy'ego lub jakąś inną odpowiedzialną osobę.

- Jest w domu Celia. Przyjechała autobusem. Pewnie już zabrała się do roboty - zasugerował Mikey.

- A zatem powiedz Celii.

Treasa wyskoczyła na ulicę, zadowolona, że może się na chwilę wymknąć z dusznego pomieszczenia.

- Gdzie są wszyscy? - spytał Mikey, rozglądając się wokół.

- Och, wiele się dzisiaj wydarzyło. Opowiem ci o tym, gdy wrócimy do domu. Musimy robić dobrą minę jeszcze przez pół godziny, dopóki się ze wszystkim nie uporamy.

Przez sklep przewinęło się kilku klientów, których Mikey obsłużył, a potem, zgodnie z przewidywaniami Mary, nastąpił napływ gości z pubu. Żartobliwie przekomarzali się, że zamykanie smażalni wcześniej od pubu jest występkiem przeciwko obowiązującemu w tym kraju prawu. Mary pogodnie kwitowała te uwagi; nie musiała przecież klientów o niczym powiadamiać, a wtedy poszliby spać z brzuchami pełnymi piwa, nie mając czym zneutralizować jego działania.

Sama nie chciała nic jeść i tylko Mikey zapakował wybrane dla siebie danie. Gdy spuścili olej, wyszorowali blaty i pozgarniali wszystkie resztki do czarnych plastikowych worków, wrócili do domu. Mary ogrzała talerz pod gorącą bieżącą wodą, a potem wyjęła sos pomidorowy, chleb i masło.

- Napijesz się herbaty czy wolisz trochę piwa? Usiedli, stawiając przed sobą po butelce guinnessa.

- Bill odszedł. Na zawsze.

Mikey wytrzeszczył na bratową oczy, a widelec zatrzymał się w pół drogi do jego ust.

- Odszedł dzisiaj przed południem. I nie wróci. Już nigdy.

- Ależ Mary, to niemożliwe. Pociągnęła z butelki i skrzywiła się.

- Najgorszy jest pierwszy łyk. Potem już lepiej smakuje. - Uśmiechnęła się blado.

Mikey z trudem przełknął ślinę.

- Pewnie trochę posprzeczaliście się ze sobą, to wszystko. Ludzie często się kłócą, ale potem zwykle się godzą.

- Nie było między nami żadnej kłótni ani nawet ostrzejszej wymiany zdań.

Mikey przypomniał sobie uwagę bliźniaków o spokoju, jaki panuje, gdy on jest w domu.

- Nieporozumienia czasami się zdarzają, ale potem wszystko się wyjaśnia.

- Powiedziałam prawdę: nie kłóciliśmy się. Przedtem, na początku lata, owszem, zdarzały się awantury. Billy był w tamtym czasie bardzo drażliwy. Wciąż miał do mnie nieuzasadnione pretensje i twierdził, że to ja jestem wiecznie poirytowana. Nawet dzieci zauważyły jego podłe nastroje.

- Co się właściwie stało?

- Sama nie wiem. Letni sezon był udany i interes dobrze prosperował. Bill często bywał zmęczony, lecz nie miał już napadów złego humoru. Niemowlę zachowywało się bardzo spokojnie, a dobrze wiesz, jak małe dzieci w pierwszych tygodniach życia potrafią zaleźć za skórę. Nie mieliśmy najmniejszego powodu do zmartwień. - Umilkła i zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń poza nim. Mikey milczał.

- Wystygnie ci ryba i frytki, Mikey. Możesz przecież jeść i słuchać.



- Nie mogę. , Wzięła od niego talerz i wstawiła do piekarnika.

- W takim razie zjesz później. Wszystko rozegrało się dzisiaj i pewnie aż do chwili obecnej tkwiłabym w nieświadomości, gdybym nie wróciła do domu. Całe Rathdoon wiedziało by przede mną.

- O czym, na miłość boską?

- Billy odszedł z Eileen Walsh, o której zwykliśmy mawiać, że marnuje się, pracując w smaźalni. Okazało się, że dziewczyna podzielała tę opinię i tylko czekała na okazję, żeby uciec z właścicielem lokalu. Plan był prosty. Trudno temu zaprzeczyć, prawda?

- Ależ to szaleństwo! Efekt wybujałej fantazji! Dokąd mieliby wyjechać i co by tam robili? Jak Billy mógłby zostawić ciebie, niemowlę i całą rodzinę?

- Zakochał się w niej. To wszystko wyjaśnia. Czyż to nie cudowne? We mnie nigdy nie był zakochany. Oczywiście darzył mnie uczuciem. Ale najwidoczniej to nie to samo.

Mikey wstał, lecz nie wiedział, co ze sobą zrobić, więc z powrotem usiadł. Mary kontynuowała swoją opowieść:

- Wybierałam się dzisiaj po sprawunki. Zawsze mam transport w piątki. Sporządziłam listę rzeczy potrzebnych do smaźalni, których nie otrzymujemy od dostawców. Zamierzałam kupić kilka drobiazgów - duże tacki i puszki z czerwoną farbą. Chcieliśmy pomalować futryny, żeby dobrze wyglądały pelargonie w oknach, czy dasz wiarę? Ale wracając do sprawy: znasz panią Casey, która dopiero co nauczyła się prowadzić samochód, prawda? Miała mnie podwieźć do miasta. Gdy tylko jednak znalazłyśmy się na szosie za klubem golfowym, silnik zaczął się dławić i wydawać z siebie rozpaczliwe dźwięki. No cóż, powiedziałam sobie, nic z moich zakupów. Ale pani Casey jest tak miłą kobietą, że trudno się na nią gniewać. Zapewniłam ją, że w gruncie rzeczy dobrze się stało. Sprawunki będę mogła zrobić za tydzień, a dzisiaj zdążę jeszcze upiec placek z jabłkami na przyjazd szwagra. Mikey poczuł ucisk w gardle.

- Powiedziała jej, żeby nie ruszała się z miejsca, i zapewniłam, że w drodze powrotnej zawiadomię Brennanów z warsztatu samochodowego, żeby po nią przyjechali.

Mary pociągnęła kolejny łyk.

- Był cudowny dzień. Z żywopłotów nzbierałam całe naręcze kwiatów, a kiedy wróciłam, zastałam w domu Billy'ego. Siedział przy stole zawalonym stosami papierów. Ucieszyłam się, gdyż planował dzisiaj całodniowy wyjazd. Powiedziała, że to wspaniale, że go widzę i że razem zjemy obiad - nie zdarzyło się to nam już od lat. Nagle na jednej z kartek, a po chwili i na drugiej, dostrzegłam nagłówki: „Kochana Mary”, a pod spodem zaledwie kilka linijek. Wciąż nie pojmowałam, że stało się coś złego. „Cóż to, piszesz do mnie miłosne listy? Po tylu latach małżeństwa?” - zażartowałam. Wtedy jeszcze sądziłam, że niespodziewanie wrócił do domu i chciał mnie o tym zawiadomić.

- Ależ to straszne, Mary - stwierdził Mikey, po raz pierwszy dopuszczając do siebie myśl, że relacja bratowej jest prawdziwa.

- A teraz najbardziej przykra część całej historii: Billy zaczął płakać. Łkał jak dziecko. O mało nie zemdlałam, widząc go w takim stanie. Podbiegłam do niego, żeby go uspokoić. Próbowałam go objąć, ale mnie odepchnął. Zawodził jak niemowlę podczas ząbkowania. Uciszyłam go przestrzegając, że obudzi ojca. Małego zostawiłam w sąsiednim pokoju, ale wasz ojciec mógł akurat drzemać i przerazić się podobnie jak ja. - Zamilkła na moment. - Wtedy powiedział mi o Eileen. I o tym, że dziewczyna spodziewa się dziecka.

Zapadła cisza. Zakłócało ją tylko tykanie zegara i ciche pochrapywanie starca w pokoju za kuchnią.

- Billy wyznał, że nie miał odwagi wyjawić mi prawdy. Zamierzał zostawić list. Powiedziała, że nie musi odchodzić, w każdym razie nie od razu. Może zostać, jeśli chce. Proponowałam, żebyśmy wspólnie zastanowili się nad

problemem. Oświadczył jednak, że odbyliśmy wystarczająco dużo rozmów i że kłamka już zapadła.

Mikey wyciągnął dużą dłoń i bezradnie poklepał Mary po ramieniu.

- Mówiliśmy jeszcze o tym i o owym, lecz obyło się bez kłótni i wrzasków. Nie nazwałam go draniem, a on nie powiedział, że nie zniesie mnie dłużej, gdyż jestem starą zrzędą.

- Któż śmiałyby się tak o tobie wyrazić! - zawołał Mikey z oburzeniem.

- Przyznał, że jestem najlepszą matką i żoną na świecie. Twierdził, że nie potrafi wprost wyrazić swojego przygnębienia z powodu zaistniałej sytuacji, ale ma złamane serce. Pokazał mi dokumenty: smaźlnia została przepisana na mnie, podobnie jak tysiąc funtów ulokowanych w towarzystwie budowlanym. Podał mi też nazwisko prawnika, który będzie pośredniczył w przekazywaniu korespondencji.

- Czy wiesz, dokąd Billy zamierzał wyjechać?

- Do Anglii, to oczywiste.

- Miał jakiś pomysł, jak zarobić na utrzymanie - swoje i tej dziwki?

- Ona nie jest dziwką. Nie martw się, twój brat nawet na Marsie potrafiłby zarobić pieniądze. Możesz być o niego spokojny.

Mikey zaniemówił.

- Najbardziej dręczącą go sprawą był problem waszego ojca.

- I tak nigdy nie poświęcał zbyt wiele czasu biednemu tacie.

- To prawda. Uznał jednak, że nie powinien obarczać mnie opieką nad starcem, który nie jest moim prawdziwym rodzicem. Byłam zdania, że to najmniej ważne. Chciałam wiedzieć, jak może opuścić po czternastu latach małżeństwa swoją żonę, w której zawsze miał przyjaciela. Przecież jeszcze w ubiegłym roku szaleliśmy za sobą. Na to odpowiedział mi, że jest zakochany. - I co zrobiłaś?

- A co mogłam zrobić? Podjął już decyzję o porzuceniu domu. Przygotował dla mnie listę spraw do załatwienia. W jednej z kopert znajdowała się kwota przeznaczona na moje lekcje jazdy. Chciał, żebym się dowiedziała, kto nauczył kierowania pojazdem panią Casey. W jego przekonaniu osoba, która zdołała tego dokonać, potrafi nauczyć samego diabła. Billy zostawił mi półciężarówkę. Poleciał, żebym zwróciła się o pomoc do Barta Kennedy'ego i zapłaciła mu przyzwoitą pensję. Ja miałam zadecydować o tym, czy Billy powinien pisywać do dzieci. Mnie także obarczył obowiązkiem wyjaśnienia im całej sytuacji. Najlepszym wyjściem, jego zdaniem, było poinformowanie ich, że na dłuższy okres wyjechał. Uważał, że z czasem przywykną do nieobecności ojca.

Mary wstała po jeszcze jedną butelkę piwa.

- Zabrał się do pakowania swoich rzeczy, a ja myślałam, że pięknie mi serce, kiedy bezładnie upychał starannie wyprasowane koszule. Z pośpiechu zapomniał nawet zabrać butów. Poprosiłam go, żeby się pożegnał z ojcem - starzec miał bardzo jasny umysł w ciągu kilku ostatnich dni i wszystkich nas rozpoznawał - ale Billy nie chciał tego zrobić. Powiedziałam mu, że może go już więcej nie zobaczyć, a on oświadczył w odpowiedzi, że nie zobaczy już nikogo z nas. Wtedy przeraziłam się nie na żarty. Zrozumiałam, że jego decyzja jest nieodwołalna. W tej sytuacji postanowiłam, że nie będę mu stawać na drodze. I pozwoliłam mu odejść - bez wrzasków, krzyków i błagalnych próśb.

- Pozwoliłaś mu odejść...

- Zostawiłam go samego, żeby spokojnie skończył się pakować. Nie musiał się kłopotać listem, skoro wszystko już zostało powiedziane. Postanowiłam, że pójde nazrywać jeszcze trochę kwiatów, i obiecałam, że przez godzinę lub dwie nie będę się tu pokazywać, dopóki nie odejdzie. Poprosiłam, żeby położył w widocznym miejscu dokumenty ubezpieczeniowe i adres prawnika, za którego pośrednictwem będę mogła w razie

konieczności przekazać mu wiadomość. Billy'emu spadł kamień z serca. Żałuj, że nie widziałeś jego twarzy. Najwyraźniej obawiał się wielkiej sceny. Zasugerował, że być może ja też będę zadowolona ze zmiany w moim życiu. Zaprzeczyłam. Powiedziałam, że będę tęsknić za nim przez wszystkie dni w roku, podobnie jak dzieci i jego ojciec w chwilach jasności umysłu. Nie chciałam, by się łudził, że wyświadcza nam przysługę. I wyszłam. Powlokłam się w tę samą stronę, z której przed chwilą wróciłam, a on w tym czasie skończył się pakować i porządkować pozostawione na stole dokumenty. Potem zjawiła się jego wybranka. Wrzucił do jej samochodu pudła i walizki, a ona pocałowała go przed samymi drzwiami naszego domu i odjechali.

- Po powrocie zastałam na stole papiery ułożone w schludne stosiki oraz liścik: „Dziękuję ci bardzo, Mary. Życzę szczęścia, Billy”. Teraz już wiesz o wszystkim. Niczego przed tobą nie zataiłam.

- A to nieczuły drań, największy i najbardziej samolubny...

- Daj spokój, Mikey, te słowa mi go nie przywrócą.

- Ale ja go tu z powrotem sprowadzę! Nie zostawi cię samej! Znajdę na to sposób!

- Nie zmusisz go do powrotu, jeśli nie będzie chciał. Może zjadłbyś teraz swoją rybę z frytkami, bo potem zrobi się twarda?

Mikey prawie nie spał tej nocy. Widniało, gdy zmorzył go sen. Niedługo potem bliźniaki wtargnęły do jego pokoju, a za nimi Gretta z filiżanką herbaty. Nieodmiennie używali owego sposobu: podawali mu do łóżka herbatę. Choć większość płynu znajdowała się na spodku i na schodach, pretekst był zawsze ten sam. Dzieci miały bogate plany na nadchodzący dzień. Obiecały, że zaczekają, aż nakarmi i przebierze dziadka - rutynowe zabiegi pielęgnacyjne stały się w tym domu częścią życia i były dla nich czymś tak naturalnym, jak zachody słońca czy mycie rąk przed posiłkami. Chciały mu pokazać nowe i wspańiałe automaty, które przywieziono do sklepu Brophy'ego.

Rozgrywka kosztowała aż dwadzieścia pensów. Każde z nich mogło sobie pozwolić tylko na jedną partię. Może wujek Mikey też miałby ochotę się do nich przyłączyć? Mamusia pozwoliła, żeby wybrali się po południu na piknik, skoro tata wyjechał na jakiś czas do Dublina - nie spodziewali się nikogo w sprawie ubezpieczenia i nie mieli obowiązku częstowania interesantów herbatą. Czy nie byłoby lepiej, żeby wujek już wstał? Może go ominąć tak wiele atrakcji!

Mikey czuł się odpowiedzialny za wydarzenia dnia. Wydawało mu się, że jest tylko postronnym obserwatorem i wcale w nich nie uczestniczy. Widział siebie, jak wolno karmi ojca łyżeczką, jak kroi kromki chleba, szykując kanapki na piknik, oraz jak się wspina po zboczu, zbierając jagody. Miał wrażenie, że odgrywa rolę w jakiejś sztuce.

Był rad, gdy już nadszedł wieczór i dzieci znalazły się w łóżkach - bliźniacy chętnie poszli spać, gdyż obiecał im nazajutrz najbardziej nieprawdopodobną niespodziankę w ich życiu. Ręczył, że będzie to coś, czego się zupełnie nie spodziewają. Zapewnił Grettę, że ona też może w niej uczestniczyć i że dla niej również przygotował drobny upominek.

- Zupełnie nie wiem, jakbym sobie bez ciebie poradziła, naprawdę - wyznała Mary.

- Dzień upłynął mi zupełnie niepostrzeżenie. - Mikey się ucieszył. Zaangażował dwie dziewczyny, żeby pomogły Treasie w smaźalni.

- To Eileen nie będzie już tutaj pracować? - zdziwiła się Treasa. Jej pytanie zabrzmiało szczerze. Najwyraźniej o niczym nie wiedziała.

- Nie, nie będzie. Wyjechała. Weźmiemy do pomocy dwie pracownice, które zatrudnialiśmy już w okresie letniego szczytu - oznajmił stanowczym tonem. - Wybieramy się na chwilę z żoną pana Billy'ego do pubu „U Ryana”. Gdyby były jakieś problemy, wiesz, gdzie nas szukać. Wierzę jednak, że tak

inteligentna osoba jak ty, Treaso, doskonale sobie w każdej sytuacji poradzi. Czyż nie znasz tu wszystkiego jak własnych pięciu palców?

Dziewczyna była zachwycona.

- Och, nie dam się nabrać na te pańskie dublińskie pochlebstwa, panie Burns.

- Może pójdziemy na chwilę do pubu? - zaproponował bratowej. Zamierzał zażartować i powiedzieć coś na temat spędzenia niezapomnianego wieczoru. Doszedł jednak do wniosku, że zachowałby się niestosownie. Podniosła na niego wzrok, zdziwiona i zadowolona, że wyraził takie życzenie.

- Obawiam się, że nie będziesz miał we mnie dobrego kompana.

- Uważam jednak, że powinniśmy się tam wybrać. Najgorszym rozwiązaniem byłoby chowanie się po kątach. Nie jesteś potworem o dwóch głowach! W końcu ty w niczym nie zawiniłaś.

- Nie zdołałam utrzymać przy sobie męża. A w opinii mieszkańców tej okolicy to wielka zbrodnia.

- Och, nie sądzę. Czyż ślęcząc co wieczór przy telewizorach, nie są świadkami o wiele gorszych rzeczy? Musiałabyś popełnić znacznie poważniejszy występki, żeby się narazić na utratę szacunku.

- Nie chcę, żeby łączono ciebie z tą sprawą, Mikey. Byłeś zawsze dla nas taki dobry, a tylko spójrz, co się stało: zostałeś uwikłany w skandal i za chwilę znajdziesz się w samym centrum plotek.

- Nie będzie żadnego skandalu ani plotek. Ale ty sama musisz temu zapobiec. - Usłyszał swoje własne słowa. Pomyślał, że zabrzmiały bardzo przekonująco i zdecydowanie. Mary musiała odebrać je tak samo.

- Okazałeś mi wielką pomoc, podejmując dzisiaj za mnie wszystkie decyzje. Jestem niczym jedna z tych bohaterek

filmowych, które zostają przywrócone do życia, lecz nie wiedzą, kim są.

- Czujesz się jak zombie.

- To zadziwiające, jak ty się na wszystkim znasz.

- Oglądam dużo filmów - wyjaśnił. - Po pracy nie mam nic innego do roboty.

W pubie panował tłok. Mikey zostawił Mary przy stoliku w kącie sali, a sam podszedł do baru. Celia uwijała się za kontuarem. Bart Kennedy pomagał jej obsługiwać gości. Mikey przypomniał sobie instrukcje brata w sprawie zaproponowania Bartowi przyzwoitej pensji i poczuł, jak wzbiera w nim złość. Jak Billy mógł postępować w tak wyrachowany sposób, od dawna zwodząc Mary i planując, że ją porzuci?

- Cóż to, zapomniałeś języka w gębie? To do ciebie niepodobne, Mikeyu Burns. - Celia stała przed nim. Widocznie zwróciła się do niego, chcąc przyjąć zamówienie, a on jej nie usłyszał.

- Przepraszam. - Z trudem zapanował nad gniewem, nim zdołał się odezwać.

- Czy coś się stało? - W głosie Celi zabrzmiała troska. Mikey przecząco pokręcił głową. Miał na końcu języka

mnóstwo krzepiących słów dla swojej bratowej, a teraz okazało się, że sam ich potrzebuje. Odzyskał mowę, lecz daleki był od żartobliwego nastroju.

Złożył zamówienie i po chwili wrócił do stolika z kuflem piwa dla siebie i z drinkiem dla Mary. Gdy przechodził obok towarzystwa Bidy Brady, Nancy Morris - ostatnia osoba, po której by się tego spodziewał - położyła mu rękę na ramieniu i usiłowała go zatrzymać. Chciała, żeby się do nich dosiadł i opowiedział kilka kawałów. A on zawsze myślał o niej, że się wywyższa, że myśli tylko o sobie i nigdy nie znajduje czasu dla innych. Jak to się można pomylić w ocenie ludzi.



- Nie teraz, Nancy - zbył ją i spostrzegł, że z zakłopotaniem odwraca twarz. Nie zamierzał niegrzecznie jej potraktować, ale prawdę mówiąc, wybrała bardzo nieodpowiedni moment.

- Proszę, napij się.

Bratowa siedziała ze spuszczoną głową i ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Spójrz na mnie, Mary Burns, spójrz i uśmiechnij się. Usłuchała prośby, podnosząc na niego zażawione oczy.

- Twój uśmiech jest cudowny, lecz daleko mu do uśmiechu twojej córki.

Zrobiła nagle jeden z grymasów Gretty, rozciągając usta od ucha do ucha, i oboje się zaśmiali.

- Tak jest o wiele lepiej - uznał Mikey. - A teraz zastanówmy się, co robić dalej.

Wyjęli notatnik i sporządzili listę spraw, jakie Mary będzie musiała w tym tygodniu załatwić: należało ustalić grono dostawców. Ich nazwiska pozapisywane na świstkach papieru były nabite na gwoździe w różnych miejscach w biurze. Billy Burns nie prowadził żadnych ksiąg, które uradowałyby serca urzędników podatkowych, lecz w jego działaniu musiała być jakaś metoda. Następnie sformułowali wyjaśnienie, jakiego miała udzielać wszystkim telefonującym w sprawie ubezpieczenia petentom: „Obowiązki pana Burnsa w zakresie wystawiania polis przejęło obecnie biuro...” - i tu wymienione było nazwisko prawnika. Postanowili, że Mary będzie przekazywać tę informację, dodając ze śmiechem, że mąż nigdy nie miał zwyczaju powiadamiania jej o swoich poczynaniach. Nie podejrzewali go o to, że uciekł z cudzymi pieniędzmi, i przypuszczali, że jego firma ubezpieczeniowa została już przekazana lub odsprzedana innemu agentowi. Prawnicy musieli o tym wiedzieć. Potem oboje zrobili wykaz osób, którym zamierzali zaproponować pracę w smażalni, i ustalili wysokość pensji, jakie powinni im płacić. Mikey jeszcze dwa razy chodził

po piwo dla siebie i po drinki dla Mary, zanim, porządnie zmęczeni, nie rozpatrzyli do końca wszystkich spraw.

- Jestem tak wykończona, że dzisiejszej nocy na pewno będę spała - rzekła Mary, zdradzając, że poprzednia noc była bezsenna.

- Ja chyba także zasnę; jestem trochę mniej przerażony niż wczoraj - przyznał Mikey.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Okazałeś mi wiele serca, ale jest jedna sprawa, o której w ogóle nie wspomniałeś.

- Jaka?

- Co będzie z tobą? Czy nadal będziesz przyjeżdżał na weekendy do domu?

- Jeśli tylko Bóg pozwoli.

- Zachowujesz się dzisiaj inaczej niż zwykle - nie dowcipkujesz i nie naśmiewasz się z ludzi. Rozmowa z tobą jest o wiele łatwiejsza. Aż trudno uwierzyć, że to naprawdę ty. Czy wiesz, co mam na myśli?

- Sądzę, że tak.

- Chciałabym cię zapytać, czy miałbyś ochotę przyjeżdżać do domu częściej niż raz w tygodniu, lecz nie wiem, jak to ująć. Jeśli powiem, żebyś wrócił na stałe, będzie to wyglądało tak, jak gdybym oczekiwała od ciebie, że się zajmiesz nami i weźmiesz na siebie wszystkie obowiązki. A nie o to mi chodzi. Jeśli natomiast tego nie zaproponuję, pomyślisz, że cię tutaj nie chcemy.

- Wszystko już sobie rozważyłem.

- I do jakiego doszedłeś wniosku? - Pochyliła się nad kuflem, którego brzeg był oblepiony pianką. Niecierpliwie czekała na odpowiedź.

- W głębi serca wciąż liczysz na to, że on wróci. Łudzisz się, że to tylko szalona wakacyjna przygoda i że po miesiącu wszystko pójdzie w niepamięć.

- Bardzo bym tego chciała. Nie sądzę jednak, żeby tak się stało - wyznała szczerze.

- Przypuśćmy, że wrócę do domu i osiadę tu na stałe, a pewnego pięknego dnia zjawi się Billy. W jakiej sytuacji się wtedy wszyscy znajdziemy?

- W takiej samej jak przedtem, nie sądzisz?

- Nie. Ja znowu będę musiał stąd uciekać. W jednym gnieździe będzie za mało miejsca dla nas wszystkich.

- Postanowiłeś nie wracać, jak widzę. A ja zawsze sądziłam, że masz do nas słabość. - W jej głosie zabrzmiał smutek.

- Zostanę tu na dobre, jeśli Billy nie pokaże się do Bożego Narodzenia, zgoda? Sądzę, że to będzie najlepsze rozwiązanie. - Zdawał się dumny ze swojego rozumowania.

- To twój dom - zauważyła łagodnym tonem. - Jesteś tu zawsze mile widziany, jak wpadające przez okno słońce.

- Mówisz tak, bo jesteś uprzejma. Ale mój brat, Billy, nie powiedział tego, kiedy się stąd wynosił na dobre. Kazał ci zaangażować do pracy Barta Kennedy'ego i zaproponować mu przyzwoitą pensję.

- On też to powiedział, tylko ja tego nie powtórzyłam. Nie chciałam, żebyś się czuł do czegoś zobowiązany. - Wydawała się zakłopotana.

- Jakich użył słów?

- Powiedział... Wyraził się jasno, że to miejsce jest również twoim domem.

- Chciałbym to usłyszeć.

- Dlaczego? Czy to ma jakieś znaczenie? Ostatnio nie potrafił jasno myśleć i niemal nie wiedział, co robi. Nie był w stanie wypowiadać się w sposób precyzyjny.

- A jednak chciałbym wiedzieć - poprosił uprzejmym, lecz stanowczym tonem Mikey. W niczym nie przypominał rozchichotanego, dowcipującego mężczyzny z ubiegłego tygodnia.

- Powiedział: „Mało prawdopodobne, żeby Mikey w jego wieku założył rodzinę. Jest bardzo dobry dla ojca, a nasze dzieci go kochają. Być może, jeśli znajdzie tu coś dla siebie, zostanie na dobre. Dom i tak w połowie do niego należy, ma więc pełne prawo, żeby w nim zamieszkać”. Mniej więcej taki był sens jego wypowiedzi.

Mówiąc to, nie patrzyła na Mikeya, a on utkwiał surowe spojrzenie w podstawce pod butelkę, gdzie znajdował się rebus.

- Czarujący młodszy braciszek.

- Będzie nim zawsze: twoim młodszym bratem, nie zapominaj o tym.

- Czy to by ci odpowiadało, Mary, gdybym tutaj został?

- Czy by mi odpowiadało? Ależ byłabym uszczęśliwiona. Gzy nie tego zawsze chciałam? Zdołalibyśmy się utrzymać z samej tylko smaźalni - wiesz, jak duże przynosi dochody - a gdybyśmy jeszcze w niej razem pracowali...

- A zatem przyjadę na Boże Narodzenie. Tak będzie najlepiej. Może, przy odrobinie szczęścia, do tego czasu wypowiedzą mi pracę i dostanę odprawę. Ci faceci z banku, moi kumple portierzy, są nieprawdopodobnie zorganizowani. Nigdy nie wiadomo, czy nie zdołają tego dla mnie załatwić.

- Czy Rathdoon nie wyda ci się nudne po Dublinie?

- Ależ nie, czyż nie spędzam tutaj i tak niemal połowy każdego tygodnia?

- Może znajdziesz sobie jakąś dziewczynę? - rzuciła niepewnie.

- Myślę, że w tej kwestii mój brat miał rację - jestem już na to za stary. - Uśmiechnął się w sposób naturalny, niewymuszony.

Do ich stolika podszedł Rupert Green.

- Nie widzieliście przypadkiem Judy Hickey? - spytał.

- Niestety, nie. Ale mogliśmy jej nie zauważyć - odpowiedziała Mary.

- Sprawdź w kącie, za filarem - wskazał Mikey. Dziewczęta towarzyszące Bidy Brady splotły ramiona

i śpiewały piosenkę „Żeglarz”. Matka Celi weszła z kijem do gry w golfa i wyglądała tak, jak gdyby chciała rozwalić komuś czaszkę. Wszyscy wpatrywali się w nią przerażeni. Okazało się jednak, że źle odgadli jej zamiar: pragnęła się tylko przyłączyć do chóru i po chwili w sali niepodzielnie królował jej głos.

- Spotkałem już wszystkich znajomych z liliowego autobusu, oprócz osoby, której szukam - narzekał Rupert. - Dee Burke przed chwilą wypadła stąd jak bomba, panna Morris sprawia wrażenie, że nie powinna pić dzisiaj więcej alkoholu, Kev kuli się ze strachu w kącie, a reszta obsady wisi przy barze.

- Czy mamy przekazać coś pani Hickey, jeśli tu przyjdzie?

- Och, sam ją znajdę. Mam dla niej pewną rewelacyjną informację.

Mary i Mikey starali się okazać zainteresowanie. Odszedł.

- Pewnie wiadomość dotyczy muchomora albo jakiegoś innego grzyba. Rupert i pani Hickey zawsze prowadzą ożywione dysputy o ziołach, kwiatkach czarnego bzu i tego typu sprawach - stwierdził Mikey. Mary roześmiała się i wsunęła torebkę pod pachę.

- Nie będziesz chciała innego mężczyzny? - spytał nieoczekiwanie. - Mam na myśli to, że wciąż jesteś młoda. Czy mieszkanie pod jednym dachem ze szwagrem nie okaże się dla ciebie krępujące?

- Na razie nie jestem w stanie o nikim myśleć. Sądzę, że to minie z czasem. Obecnie marzę jedynie o odrobinie spokoju dla siebie i dla dzieci oraz o tym, by mogły dorastać w dobrej atmosferze. Pragnę uważać to miejsce za mój dom, i tak jak powiedziałeś, nie brać pod uwagę ucieczki. To mi wystarczy.

Mikey przypomniał sobie swój niedawny sen: nie miał żony, lecz ciążyła na nim odpowiedzialność za dzieci, za których pośrednictwem przekazywał mieszkańcom miasteczka różne wiadomości. Teraz uświadomił sobie, że we śnie brakowało Billy'ego. Oczywiście mająk różnił się w pewnych szczegółach od rzeczywistości, lecz pokrywał się z nią w zasadniczych

kwestiach. Mikey był pewien, że dom w Rathdoon okaże się dla niego bezpieczną przystanią. Wiedział też, że jako mężczyzna nie będzie musiał spełniać żadnych oczekiwań i może pozostać sobą. Czuł, że pod tym dachem jest człowiekiem mile widzianym, jak wpadające przez okna słońce.

RS

## Judy

Tego popołudnia sklep odwiedziło czterech klientów. Judy ostatnio zaczęła notować liczbę kupujących w małym zeszycie. Po obiedzie przyszło dwóch studentów, którzy spędzili prawie pół godziny, przeglądając książki poświęcone ziołolecznictwu i sztuce robienia win domowym sposobem. Potem pewien starszy mężczyzna kupił bransoletkę zapobiegającą artretyzmowi. Wyjaśnił, że kiedy bandyci wtargnęli do jego domu, doszczętnie go ograbiając, przed wyjściem ściągnęli mu również miedziane kółko z ręki, sądząc, że jest cenne. Jako ostatnia przyszła kobieta o surowym wyrazie twarzy, która nabyła olej z wiesiołka i spytała, czy rozcieńczenie go olejem jadalnym lub zwykłą oliwką dla dzieci nie przedłuży jego działania.

Zamknięcie sklepu było kwestią tygodni. Judy szła dzisiaj z ciężkim sercem na przystanek liliowego autobusu. Czowała się zmęczona. Z coraz większym trudem odbywała dalekie podróże na zachód. Kusilo ją, żeby dać temu spokój. Marzyła o tym, żeby znaleźć się z powrotem w swoim małym dublińskim mieszkaniu, wziąć długą kąpiel przy jakiejś miłej radiowej muzyce, a potem włożyć szlafrok, miękkie kapcie, wygodnie się wyciągnąć na łóżku i leżeć dopóty, dopóki nie ustąpi ból w kończynach i narastający ucisk nad oczami. Jestem niezłą wizytówką dla mojego sklepu reklamującego zdrowie, uśmiechnęła się, zмирzając w stronę autobusu. Obolała bankrutka z trzeszczącymi w stawach kośćmi. Nic dziwnego, że ludzie prowadzą tak niezdrowy tryb życia, skoro widzą, do czego prowadzi przestrzeganie zasad higieny!

Miała nadzieję, że Mikey Burns nie będzie dzisiaj zbyt hałaśliwie opowiadał swoich niewybrednych dowcipów. Był przyzwoitym człowiekiem, lecz przebywanie w jego towarzystwie stawało się po pewnym czasie nie do zniesienia. Problem polegał na tym, że brak reakcji ze strony słuchaczy

błędnie brał za niezrozumienie puenty i powtarzał żart jeszcze raz, a każda wymuszona oznaka wesołości zachęcała go do opowiedzenia kilku następnych.

Judy przybyła dokładnie w tym samym czasie co Rupert. To dobrze, mogli siedzieć razem na tylnym fotelu. Rezerwowanie miejsca obok siebie byłoby nietaktem, a nie zniosłaby nagabywań Mikeya przez całą drogę do Rathdoon albo, co gorsza, wysłuchiwanie wywodów zawsze poważnej i nudnej Nancy Morris o tym, jak dostać za darmo mydło, kupując w środę pastę do zębów, czy o jakiejś innej nedorzecznej metodzie oszczędzania.

Rupert jest porządnym chłopcem - dokładnie tak by go określiła, gdyby ktoś ją o to zapytał. Dobry chłopak. Jego rodzice długo czekali na potomka i obecnie byli już ludźmi w podeszłym wieku. Matka miała sześćdziesiąt siedem lat, a ojciec w tym roku kończył siedemdziesiątkę. Rupert powiedział jednak Judy, że teraz, gdy starszy pan jest przykuty do łóżka i gaśnie w oczach, nie będzie żadnej uroczystości. Wyznał też, że powroty do domu stają się dla niego coraz trudniejsze. Zapamiętał ojca jako silnego mężczyznę o zdecydowanych poglądach i gdy co piątek wchodził do jego sypialni, nieodmiennie przeżywał szok. Za każdym razem na nowo musiał oswajać się z widokiem chudego staruszka o nieproporcjonalnie dużej czaszce, w której nie było nic z żywego człowieka oprócz ogromnych, niespokojnych oczu.

Judy знаła Ruperta już jako małego szkraba, ale dopiero podczas wspólnych podróży dowiedziała się o nim czegoś

więcej. Zawsze był grzecznym dzieckiem. „Dzień dobry, pani Hickey. Czy nie ma pani czegoś nowego do mojego zielnika?” Wszyscy protestanci są tacy, myślała, jak zwykle skłonna do uogólniania swoich życzliwych poglądów o ludziach. Zbierają suszone kwiaty, są zawsze uprzejmi, porządnie uczesani i nie zapominają nazwisk osób znanych im tylko z widzenia. Pani Green była tak dumna ze swojego syna, że za każdym razem



znajdowała pretekst, żeby wybrać się z nim na spacer do miasta. Państwo Greenowie przez dwadzieścia lat byli bezdzietnym małżeństwem. Matka Celi Ryan zwykła wszystkim opowiadać, że ofiarowała pani Green nowennę do świętej Anny - świętej, która jeszcze nigdy nie zawiodła - lecz z powodu wyznawania innej religii kobieta zwlekała z wypróbowaniem skuteczności modlitwy. W chwili kiedy ją odmówiła, choć nie była katoliczką, święta Anna zainterweniowała i tak oto Rupert przyszedł na świat.

Judy opowiedziała mu o tym w czasie jednej z podróży liliowym autobusem i młody człowiek uśmieł się serdecznie, aż po policzkach spływały mu łzy. „Chcę się czegoś więcej dowiedzieć o tej świętej. Myślę, że powinienem jej podziękować za to, że tutaj jestem, ale i wygarnąć jej ostro w gorszych chwilach” - powiedział wtedy.

Oryginalny sposób bycia Ruperta często śmieszył Judy. Młody człowiek był dokładnie w tym samym wieku co jej syn, Andrew, mieszkający w odległej, słonecznej Kalifornii. Z nim jednak nigdy nie mogła tak porozmawiać jak z Rupertem. Prawdę mówiąc, od wielu lat w ogóle nie miała do tego okazji. Takie były skutki obowiązującej ją umowy.

Judy zastanawiała się nieraz, czy rozpoznałaby swoje własne dziecko.

Czy gdyby pojechała do San Francisco, natychmiast zobaczyłaby Andrew i Jessikę spacerujących po Union Square? Czy też przeszliby obok niej, a ona w ogóle by o tym nie wiedziała? Oboje byli już dorosłymi ludźmi. Jedno miało dwadzieścia pięć, a drugie dwadzieścia trzy lata. Ale jeśli nie rozpoznałby się nawzajem, to jakież byłby sens noszenia dziecka w swoim łonie przez tak długi czas i wydawania go na świat? Załóżmy jednak, że nie rozpoznałby jej, ale jakiś wewnętrzny impuls kazałby im przystanąć i spojrzeć na tę stojącą w słońcu pięćdziesięciu-paroletnią kobietę? Co by zrobili? Czy jak na hollywoodzkich filmach rzuciliby się jej w ramiona z

okrzykiem: „Mamo, mamoo”? Czy też byliby zakłopotani i woleliby, żeby się wcale nie zjawiała? Mogli mieć własne wyobrażenie o swojej matce w Irlandii. O kobiecie, która okazała się dla nich nieodpowiednią opiekunką. Jack zapowiedział, że tak właśnie ją określi i bez wdawania się w szczegóły oświadczy dzieciom, że ich matka nie nadawała się do sprawowania nad nimi opieki. A kiedy oboje będą na tyle duzi, żeby poznać i zrozumieć fakty, przekaze im adres Judy, na wypadek gdyby chcieli do niej napisać. Będzie im wtedy mogła wszystko wytłumaczyć listownie. Jeśli się będzie czuła na siłach. Judy dotąd nie zdołała tego zrobić, ponieważ nie otrzymała od nich żadnego listu. Latami powtarzała w myślach ułożone zdania, zmieniała je i dodawała nowe, jak gdyby szykowała się na rozmowę wstępną przed przyjęciem do pracy lub do odpowiedzi w szkole.

Czas upływał. Oboje skończyli osiemnaście lat, dziewiętnaście i dwadzieścia. Byli wystarczająco dorośli, by zapytać o nieodpowiednią matkę. I dostatecznie duzi, żeby się o niej dowiedzieć. Żadna jednak prośba o wyjaśnienia nigdy nie nadeszła.

Po jakimś czasie Judy zaniechała również pisywania do brata Jacka. Był wspaniałomyślnym człowiekiem, który przyjął ich wszystkich do swojego domu na zachodnim wybrzeżu Ameryki, a jednocześnie zawsze starał się doprowadzić do scalenia rodziny. Nie informował jej o niczym szczególnym w swojej korespondencji oprócz tego, że dzieci zostały umieszczone w szkole i że wszystko układa się jak najlepiej.

Tego wieczoru Judy myślała o nich obojgu - o Andrew i o Jessice - o swoich opalonych na złoty brąz Kaliforni językach. Czy pozawierali związki małżeńskie? Prawdopodobnie tak. Kalifornijczycy młodo się żenią, a rozwodzą się jeszcze prędeej. Czy jest już babką? Bardzo możliwe. Wnuka nazwali Hank, Bud albo Junior. A może nadali mu jedno ze staroświeckich imion? Dlaczego wyobraża sobie, że ma wnuka? Przecież równie

dobrze może to być wnuczka - mała dziewczynka w przeciwslonecznym kapeluszu, podobna do Jessiki w czasie, kiedy ją stąd wywieźli. Od tamtej pory, to jest od dwudziestu lat, Judy zawsze miała w głowie kalifornijski zegar. Nigdy nie musiała się zastanawiać: „Ciekawa jestem, która tam teraz godzina”. Zawsze dokładnie ją znała. Gdy wyszła zza rogu, zmierzając w stronę liliowego autobusu, u nich była za kwadrans jedenasta przed południem. Judy nie orientowała się tylko w sprawach zasadniczych: czy mają własne rodziny, czy porobili kariery naukowe czy też zostali służącymi. Nie była nawet pewna, czy żyją.

Wsunęła się zgrabnie na tylne siedzenie obok Ruperta. Wyminęła Dee Burkę, która od pewnego czasu sprawiała wrażenie osoby wytraconej z równowagi, i aż dziw brał, że jeszcze się zupełnie nie załamała nerwowo. Przeszła także obok młodej dziwaczki, Nancy Morris. Skąd się wziął w rodzinie Morrisów taki odmieniec? Jej matka jest miłą kobietą, podobnie jak Deirdre, która wyjechała do Stanów i podczas wizyt w domu paplała o wszystkim bez chwili przerwy. Również zamieszkały w Cork brat uchodził za sympatycznego i pełnego życia młodego człowieka. Co wpłynęło na to, że Nancy Morris stała się tak nieznośnie skrupulatną, zrzedną i obraźliwą osobą?

Rupert miał na sobie nową marynarkę, co przepelniało go beżmierną dumą. Judy ten strój wydawał się dość ekscentryczny, musiała jednak przyznać, że nie ma wielkiego pojęcia o eleganckiej męskiej odzieży. Dee Burkę wpadła w zachwyty na widok nowego ubrania Ruperta i chłopak aż pokraśniał z zadowolenia.

- To prezent urodzinowy - szepnęła, gdy autobus już ruszył. - Później ci wszystko powiem.

Nie miała zamiaru tego wysłuchiwać. Rwało ją w stawach, a w skroniach czuła pulsujący ból. Poza tym panna Morris mogła tylko udawać, że nie słucha. Dzielił ją od nich zaledwie niecały metr. Judy czuła się dzisiaj staro. Miała o kilkadziesiąt lat

więcej od każdego z współpasażerów w autobusie, może z wyjątkiem Mikeya Burnsa, ale i jego znacznie przewyższała wiekiem. Była o dwadzieścia lat starsza od młodego małżeństwa, które założyło sklep ze zdrową żywnością i innymi artykułami niezbędnymi do prowadzenia higienicznego trybu życia - sklep, który za sześć tygodni mógł przestać istnieć. Chyba że wydarzyłby się cud, odkryliby eliksir młodości i sprzedawali go w kosztownych, lecz przyciągających uwagę klientów opakowaniach. Judy była za stara na to, żeby się tłuc regularnie przez cały kraj tam i z powrotem. Należał jej się odpoczynek i wiedziała, że już pora, aby gdzieś osiąść na stałe.

Pogrzebała w swojej dużej torbie i podała Rupertowi niewielkich rozmiarów paczkę.

- To zielona herbata - wyjaśniła. - Przyniosłam trochę na spróbowanie.

Zapaliły mu się oczy.

- Ta sama, którą dodajesz do naparu z mięty? - spytał. - Oczywiście odpowiednio przygotowanej?

- Tak. Do szklanki wrzuca się garść świeżych liści mięty oraz trochę cukru i wszystko zalewa się zieloną herbatą, najlepiej zaparzoną w srebrnym dzbanuszk.

Rupert był bardzo zadowolony.

- Od czasu powrotu z Maroka pijałem tylko herbatę w torebkach. Miała okropny smak. Mogłem jedynie powspominać boski aromat tamtej. Och, jestem ci ogromnie wdzięczny, Judy.

- Dałam ci tylko odrobinę - uprzedziła.

- Potraktujmy to jako próbkę. Jeśli nam zasmakuje, będziemy ją kupowali całymi kilogramami i doprowadzimy twój sklep do rozkwitu.

- Bardzo by mu się to przydało. - I Judy zwierzyła się Rupertowi ze swoich zmartwień, związanych z niewielkimi obrotami i niskim zyskiem, jaki osiągają. Starał się ją pocieszyć, zapewniając, że obecnie sprzedaż wszędzie wygląda tak samo.

Pracował w agencji pośrednictwa handlu nieruchomościami. W jego interesie też panował zastój. Nie było nabywców na domy, które w innych czasach zostałyby sprzedane od ręki. Wszędzie wokół likwidowano sklepy. Ale koniunktura ulegała okresowym zmianom. Ludzie, którzy się znali na tych sprawach, byli przeświadczeni, że wkrótce nastąpi ożywienie w gospodarce. Judy zauważyła cierpko, że tak zwani znawcy ekonomii mają udziały w rozlicznych przedsiębiorstwach i dzięki temu stać ich na tę pewność. Z problemem recesji musi się borykać reszta świata.

Judy i Rupert rozmawiali ze sobą jak starzy przyjaciele. Poprosiła go, żeby do niej przyszedł i doradził w wyborze sadzonek bzu lekarskiego, a także pomógł dobrać w odpowiednich proporcjach suszony rozmaryn i balsam cytrynowy do poduszczek zapachowych, jakie robiła. Rupert uważał, że przed świętami Bożego Narodzenia powinna ich sporządzić kilka tuzinów i sprzedać je dużym domom handlowym przy ulicy Grafton - byłyby znakomitymi upominkami pod choinkę. Obruszyła się. A co się stanie z jej własnym sklepem? Zależało jej przede wszystkim na tym, żeby ratować przed upadkiem miejsce swojej pracy, a nie wspomagać duże firmy, które i tak zarabiają masę pieniędzy.

Rupert opowiedział Judy o żonie pewnego polityka, która przyszła do agencji i zapytała o adres mieszkania niedawno nabytego przez jej męża. Wszyscy się domyślili, że próbuje coś zwęszyć i że zakup nieruchomości nie był ich wspólnym przedsięwzięciem. Próbowali ją zwodzić, udzielając niezbyt konkretnych i z każdą chwilą coraz bardziej wykrętnych odpowiedzi. W końcu rozsierdzona dama wypadła z biura jak burza. Pracownicy agencji wystosowali niezwykle taktowny list do polityka, powiadamiając go, że wprawdzie gniazdko na razie nie zostało ujawnione, lecz istnieje poważna groźba jego odkrycia.

- Biedna, głupia kobieta - stwierdziła Judy. - Powinna pozwolić mężowi na utrzymywanie nawet całego harem, jeśliby to miało go uszczęśliwić.

- Żadna osoba z charakterem nigdy nie zaakceptowałaby takiej sytuacji, a już z pewnością nie ty - zauważył pełen podziwu dla niej.

- Nie jestem tego taka pewna. Przed dwudziestu laty pozwoliłam odejść mężczyźnie z dwójką moich dzieci.

Rupertowi zaparło dech. Nigdy dotychczas Judy nie wspominała o tym zadziwiającym wydarzeniu, o którym w miasteczku krążyły różne sprzeczne wieści. Kiedy zapytał o to matkę, stwierdziła, że nikt nie zna szczegółów tej historii. Ojciec Ruperta, wówczas miejscowy prawnik, czuł się bardzo urażony, że nikt się z nim wtedy nie konsultował - był osobą najbardziej odpowiednią, by go zapoznać z tą sprawą. Jack Hickey sprowadził adwokata z Dublina i po rozmowach dotyczących sprawowania opieki rodzicielskiej dokumenty zostały podpisane, a mąż Judy wyjechał wraz z dwójką dzieci do Ameryki, skąd nigdy nie powrócił. „Ale przecież ktoś musi wiedzieć, dlaczego to zrobił” - naciskał Rupert. Matka powiedziała, że wyjaśnień jest więcej niż dni w roku.

Judy była zamężna tylko przez sześć lat. Od wyjazdu jej najbliższej rodziny minęło już lat dwadzieścia, ale pomimo to zatrzymała nazwisko Hickey. Ludzie mówili, że to na wypadek, gdyby wróciły dzieci. Upłynęło sporo czasu, odkąd przestała jeździć do oddalonego o trzydzieści kilometrów miasta i prosić w biurze podróży o listę amerykańskich turystów, a szczególnie o tę z wykazem nieletnich. Od dawna nie wyczekiwała też na autobus turystyczny, który czasami przejeżdżał przez Rathdoon, i nie rozglądała się po nim w poszukiwaniu dziewięcioletniego chłopca oraz siedmioletniej dziewczynki. To wszystko należało już do zamierzchłej przeszłości. Ale skoro tak, to dlaczego Judy wspomniała o tym teraz?

- Często o nich myślisz? - spytał delikatnie Rupert. Odpowiedziała w sposób tak naturalny, jak gdyby miała w zwyczaju codziennie rozprawać o swoich dzieciach. Wydawała się równie opanowana jak wtedy, kiedy rozmowa toczyła się na temat herbaty miętowej.

- I tak, i nie. W tej chwili nie mielibyśmy sobie prawdopodobnie nic do powiedzenia.

- Czym on się zajmuje? Chyba jeszcze nie przeszedł na emeryturę?

- Kto? Andrew? Jest zaledwie w twoim wieku. Mam nadzieję, że jeszcze nie został emerytem. - Wydawała się rozbawiona.

- Nie, myślę o twoim mężu. Nie wiem nawet, czy masz córki, czy synów. - Rupert czuł, że ładuje się z buciorami w jej życie.

- Urodziłam chłopca i dziewczynkę. Andrew i Jessikę.

- Ładne imiona - zauważył głupio Rupert.

- Prawda? Wybieraliśmy je przez lata. Nie mam zielonego pojęcia, czy Jack Hickey pracuje, czy też leży w rynsztoku, poszturchiwany pałkami przez rosłych amerykańskich policjantów. Nie wiem, czy kiedykolwiek pracował w Kalifornii, czy pozostał na utrzymaniu brata. Nigdy mnie to nie obchodziło. Szczerze mówiąc, ani razu przez te wszystkie lata o nim nie pomyślałam. Pewnie to zabrzmia śmiesznie, ale miałabym ogromne trudności z przypomnieniem sobie, jak wygląda. Nie zastanawiałam się też nad jego obecnym wiekiem. Prawdopodobnie utył. Pamiętam, że jego starszy brat, Charlie, uroczy człowiek, był gruby, a i rodzice na rodzinnym zdjęciu wydawali się dość tędzy.

Rupert przez chwilę nie odzywał się. Przeszedł go zimny dreszcz w zetknięciu z tak oczywistą obojętnością. Zrozumiałby nienawiść czy nawet rozgoryczenie. Mógłby wybaczyć powoli narastającą wściekłość, uprzedzenie. Ale Judy mówiła o swoim mężu tak, jak gdyby był jakąś mało znaczącą postacią, którą widziała kiedyś w telewizyjnych wiadomościach. Żyje czy umarł? A kogóż to może obchodzić?

- A dzieci... czy Andrew i Jessika utrzymują z tobą kontakt?

- Nie, to był jeden z warunków umowy.

Jeśli Rupert miał kiedyś poznać prawdę, to być może teraz nadarzała się jedyna po temu okazja. Lekko się pochylił i ukradkiem sprawdził, czy nikt ich nie słucha. Ale nie, Dee mocno spała z głową przekrzywioną pod dziwnym kątem. We śnie była też pogrążona niesympatyczna panna Morris. Inni znajdowali się poza zasięgiem rozmowy.

- To dość drastyczny warunek - zagadnął ostrożnie.

- Och, oni czuli się usprawiedliwieni. Nie zapominaj o tym, że niektórzy ludzie wciąż uważają za praworządne wieszanie koniokradów.

- Czy to ten występki, którego się dopuściłaś? - spytał z uśmiechem. - Ukradłaś konia?

- To byłoby zbyt proste. Nie, to nie to. Sądziłam, że dowiedziałeś się od ojca. Handlowałam narkotykami. Trudno wyobrazić sobie coś równie potwornego, prawda?

Oświadczyła to z miną figlarniej dziewczynki. Rupert nie mógł uwierzyć w jej słowa.

- Nie, przyznaj się, o co naprawdę poszło? - poprosił ze śmiechem.

- Powiedziałam już. Byłam lokalną dostawczynią narkotyków.

- Stwierdziła ten fakt bez zażenowania i bez dumy - jak gdyby podawała swoje panięskie nazwisko. Rupert nigdy nie czuł się równie zmieszany.

- Zaskoczyłaś mnie - przyznał, łudząc się, że zdoła ukryć zdumienie w swoim głosie. - Ale to było wieki temu.

- W latach sześćdziesiątych. To rzeczywiście dawne czasy. Jak widzisz, twoje pokolenie nie jest pierwszym, które zna narkotyki. Problemy te istniały już wtedy.

- Przecież wówczas zażywano je tylko w Ameryce

1 w Anglii, nie tak jak teraz.

- Tutaj również. Oczywiście nie powszechnie, nie dotyczyło to dzieci i nie była to heroina. Przeważnie lekkie środki



odurzające. Najczęściej brali je studenci oraz młodzi bywający za granicą ludzie. Możesz to nazwać głupotą, lecz do dzisiaj uważam ten proceder za całkowicie niegroźny.

- Czy to był haszysz?

- Tak, poza tym marihuana, amfetamina, trochę LSD.

- Rozprowadzałaś LSD? Tym też handlowałaś? - spytał po trosze z podziwem, po trosze z zaskoczeniem.

- Handlowałam tym, co aktualnie znajdowało się na rynku, Rupercie. Nieważne, co rozprowadzałam, lecz fakt, że się w ogóle tym zajmowałam i że zostałam na tym przyłapana.

- Po co, na Boga, to robiłaś?

- Przede wszystkim dla zabicia nudy, jak sądzę. Pieniądze z tego też były niezłe - nie olbrzymie, ale całkiem przyzwoite. Miałam przy tym mnóstwo dobrej zabawy i spotykałam świetnych ludzi, niepodobnych do sztywnego Jacka Hickeya. Byłam naprawdę bardzo głupia. Zasłużyłam sobie na to wszystko, co się stało. Często w ten sposób o tym myślę. - Umilkła zadumana.

Rupert nie odzywał się przez chwilę. A potem znowu ją zagadnął:

- Długo się tym zajmowałaś, zanim cię przyłapali?

- Przez jakieś półtora roku. Wszystko zaczęło się od przyjęcia, na którym coś paliliśmy. Jeden Bóg wie, co to było. Czułam się po tym wspaniale. Jack nie protestował, ale po powrocie do domu wrzeszczał, strasząc mnie tym, co zrobi, bądź czego nie zrobi, jeśli to się kiedykolwiek powtórzy.

- A sam odmówił zażycia środka odurzającego?

- Och, nie znasz Jacka. Z dobrą miną podawał skręta dalej, ale tylko zaciskał usta i udawał, że się zaciąga. Był trzeźwy i wściekły. Awanturował się przez tydzień, a potem postawił mi ultimatum: jeśli jeszcze kiedykolwiek tego tknę... zabierze dzieci do Ameryki i więcej ich nie zobaczę... żaden sąd w kraju... przekonam się, że będzie dokładnie tak, jak mówi. - Rupert słuchał zafascynowany, a Judy cichym głosem ciągnęła

dalej swoją opowieść: -Jack utrzymywał się z produkcji żywego inwentarza. Nie mieliśmy gospodarstwa rolnego z mlecznymi krowami, kurami i zasiewami zbóż, lecz rodzaj rancza - wypasające się na polach bydło, które kupował i odhodowane sprzedawał. Mieszkała wtedy z nami poczciwa stara niania, która jeszcze mną się opiekowała w dawnych dobrych czasach, i to ona zajmowała się Andrew oraz Jessiką. A ja wiecznie gdzieś się szwendałam. Zbierałam materiały do książki o ziołach zachodniej Irlandii, ale jeszcze chętniej Ignęłam do złego towarzystwa. Miałam swój własny samochód, którym jeździłam tu i tam, a dwukrotnie zrobiłam nawet wycieczkę do Dublina i do Londynu. Nic dziwnego, że moje kolejne wypadki, podczas których rozwoziłam ludziom towar, wydawały się zupełnie naturalne. Kiedy otrzymałam propozycję tej roboty, przystałam na nią bez namysłu.

- O takich historiach czyta się w książkach - westchnął z podziwem Rupert.

- Tak, w powieściach kryminalnych. Wszystko pamiętam, jak gdyby rozgrywało się wczoraj: rewizja na skutek donosu, mocno zmieszany pan Hickey i wysoki rangą funkcjonariusz, absolutnie pewien, że informacja była fałszywa, lecz prawo jest jedno dla wszystkich, więc najlepiej mieć to czym prędzej za sobą. Wielkie nieba! Co my tu mamy w samochodzie pani Hickey i w aktówce pani Hickey w sypialni? I z tyłu za książkami na półce pani Hickey? Odjęło mu mowę. Może pan Hickey mógłby udzielić jakichś wyjaśnień?

Rupert uświadomił sobie nagle, że Judy odgrywa tę scenę, jak gdyby była aktorką. Miał przed oczami postać inspektora, czy kimkolwiek była osoba prowadząca rewizję. Judy potrafiła wszystko przedstawić jak w teatrze, nie używając gestów ani nie modulując głosu dla podkreślenia słów, gdyż przez cały czas mówiła półszepem, żeby nie zbudzić innych pasażerów mknącego pogrążoną w mroku szosą autobusu.

- Trwało to całą wieczność. Przyjechali jacyś ludzie z Dublina, a także przedstawiciel z ministerstwa finansów, którego prawdopodobnie nawet Jack nie znał. I wtedy mój mąż oświadczył, że od pewnego czasu i tak myślał o sprzedaniu swojej posiadłości z powodu kłopotów z jej utrzymaniem. Stwierdził, że jeśli wybuchnie skandal i na niego padnie cień podejrzenia, cena nieruchomości stanie się drastycznie niska. Wszyscy mieli w sobie żyłkę biznesmenów, nawet policjanci, potrafili więc to zrozumieć.

- A potem były dokumenty. Jack zapowiedział, że wywiezie dzieci do swojego brata w Ameryce, i domagał się ode mnie, żebym podpisała złożone pod przysięgą oświadczenie, iż nie jestem odpowiednią osobą, aby nadal spełniać obowiązki rodzicielskie. Powiadomił mnie, że gdy sprzeda naszą posiadłość, policja wniesie przeciwko mnie oskarżenie, a wtedy on zrealizuje swoje plany i zabierze dzieci do Kalifornii. Błagał, żebym pomyślała o ich przyszłości.

- Ośmielił się coś podobnego ci zaproponować? - Rupertowi ten fakt nie mieścił się w głowie.

- Tak. W jego mniemaniu byłam kryminalistką, a posiadanie takiej matki nie dałoby dobrego startu w życiu żadnemu dziecku. Uważał, że lepiej będzie dzieciom beze mnie. Umowa została zawarta, życzliwi, mądrzy ludzie dostrzegli okoliczności łagodzące i ode mnie zależało, czy z nich skorzystam.

Na chwilę zapatrzyła się w okno.

- Nie przypuszczałam, że podejmuję decyzję na zawsze. Byłam przerażona. Sądziłam, że cała sprawa z czasem przycichnie. Wyraziłam zgodę. Jack znalazł nabywcę na naszą posiadłość - gangstera, jak okazało się później, który wyłudził od ludzi pieniądze i czmychnął ze zgromadzoną w ten sposób fortuną. Likwidator majątku czy też inna upoważniona do tego osoba sprzedała majątek zakonnikom, które postanowiły stworzyć na jego terenie centrum konferencyjne. A zatem teraz

już znasz historię dworu Doonów oraz wszystkich jego poprzednich złych mieszkańców.

Rupert nie miał pojęcia, że Judy Hickey była kiedyś właścicielką rezydencji, w której stróżówce obecnie mieszkała. Główny budynek zajmowany był teraz przez duchownych, przez siostry zakonne, a także przez osoby świeckie, przybywające tu, aby medytować w samotności. Czasami odbywały się tu konferencje o charakterze niereligijnym: dzięki nim społeczność zakonna dysponowała środkami na pokrycie kosztów utrzymania majątku. Zwykle były to bardzo spokojne imprezy, a ich delegaci nie mieli zbyt wygórowanych oczekiwań co do nocnych atrakcji miasteczka i zadowalali się pubem „U Ryana” oraz smażalnią Burnsów.

- Musiałam w ciągu miesiąca opuścić dwór Doonów - ciągnęła Judy. - Jack zastawił na mnie jednak pułapkę. W tamtych czasach nawet najmniejsza wzmianka w dokumentach o przestępstwie narkotykowym oznaczała zakaz wstępu do Stanów. Władze amerykańskie z zasady odmawiały takim osobom wizy. By jak najbardziej wydłużyć odległość dzielącą Andrew i Jessikę od ich szalonej matki, Jack zaaranżował to tak, abym została oskarżona o posiadanie narkotyków. Zarzut ten był niczym, nawet tutaj, w porównaniu do zarzutu ich rozprawiania - za co naprawdę powinnam odpowiadać - a przewidywana kara stosunkowo lekka. Ale fakt postawienia mnie przed sądem za to przewinienie, choć niezbyt ciężkie, zamykał mi drogę do Ameryki.

Znowu zapadła cisza.

- Nie uważasz, że to podłość z jego strony?

- Na pewno. Przypuszczam, że rozumował tak samo jak ci, którzy podpalali stosy w czasach inkwizycji... Zdawało im się, że wypędzając z ludzi szatana, postępują właściwie.

- Rozwiązanie niezwykle drastyczne, nawet jak na lata sześćdziesiąte, nie sądzisz?

- Przestań mówić o tych czasach, jak gdyby to była epoka kamienia łupanego. Nie zapominaj, że urodziłeś się w tych latach.

- Niewiele pamiętam z tamtego okresu mojego życia. - Rupert uśmiechnął się szeroko.

- Ty możesz nazwać to rozwiązaniem drastycznym, lecz dla Jacka liczyła się przede wszystkim jego skuteczność. Należał do mężczyzn, którzy zawsze muszą dopiąć celu -zadrwiła. - Obchodziło go tylko to, żeby postawić na swoim. „Załatwione” - oświadczył z dumą. Podobnie wyglądały nasze wzajemne stosunki. Ale niemożliwe, żebyś dotąd o tym wszystkim nie słyszał, Rupercie. Nie uważam siebie za osobę na tyle ważną, aby nieustannie mówiono o mnie w miasteczku, ale sądziłam, że dotarły do ciebie jakieś plotki.

- Nie znałem szczegółów tej sprawy. Wiedziałem, że twój mąż wyjechał razem z dziećmi. Próbowałem się nawet dowiedzieć, co było tego powodem, lecz nigdy mi nie powiedziano.

- To dlatego, że dorastałeś w tak wspaniałym domu. Twój rodzice są ludźmi zbyt dobrze wychowanymi, żeby rozmawiać o skomplikowanych problemach innych osób.

- Myślę, że moja mama też chętnie dowiedzialaby się czegoś bliższego na ten temat. I nie tylko ona. Zapytałem kiedyś Celię, dlaczego nie masz przy sobie dzieci, a ona odpowiedziała, że to skutek burzliwej sprzeczki małżeńskiej przed wielu laty - w czasach kiedy sędziowie byli jeszcze gorsi niż teraz. To wszystko. Nikt nie ma pojęcia o... środkach odurzających ani o innych tego typu sprawach.

- Sama nie wiem, czy powinnam się z tego powodu cieszyć, czy smucić - roześmiała się Judy. - Sądziłam zawsze, że ludzie mają jak najgorsze mniemanie o moich lekach ziołowych, a mnie w istocie biorą za znachorkę.

- Och, wszyscy uważają twoją pracę za bardzo pożyteczną. Musiałabyś się bardzo starać, żeby zmienić powszechną opinię o sobie.

- Jeszcze przez całe lata biedni policjanci przychodzili na kontrolę mojego ogrodu, gdzie hodowałam zioła. W końcu sporządziłam dla nich mapkę, powiedziałam, że mogą przychodzić ilekroć będą mieli na to ochotę, a gdy tylko stwierdzą, że coś jest nie w porządku, zawsze chętnie wszystko im wyjaśnię. Od czasu wyjazdu do Dublina zostałam skreślona z listy niebezpiecznych przestępców.

- Chcesz powiedzieć, że teraz, po dwudziestu latach, jesteś uważana w końcu za osobę praworządną?

- Sama nie wiem. Czasami spostrzegam ślad ciężkiego buta obok grządki rumianku. Znajduję się pod stałą obserwacją.

- Czy nienawidzisz za to Jacka Hickeya?

- Nie. Powiedziałam już, że nigdy o nim nie myślę. Pewnie trudno ci w to uwierzyć, zwłaszcza że nieustannie rozmyślałam o dzieciach, których właściwie wcale nie znam. Są dla mnie obcymi ludźmi.

- Masz rację. - Rupert najwyraźniej nie mógł tego pojąć.

- Tak samo wygląda sprawa z twoją matką. Chociaż nie daje tego po sobie poznać, myśli o tobie codziennie, kiedy jesteś w Dublinie. W niewytłumaczalny sposób wciąż tkwisz w jej świadomości.

- Och, nie sądzę.

- Wiem o tym. Spytałam ją kiedyś o to, żeby się upewnić, czy w moim nawyku myślenia o nich nie ma nic nienormalnego. Przyznała wtedy, że od czasu twojego wyjazdu z domu do szkoły i na uniwersytet, a także teraz, gdy pracujesz w agencji, zachowuje się podobnie - często przerywa pracę w ciągu dnia i zastanawia się, co w danym momencie robisz.

- O Boże!

- Chwile refleksji nie trwają długo - zaledwie kilka sekund. Przypuszczam, że ty nie masz zwyczaju odrywania się od pracy, aby czasami poświęcić odrobinę uwagi matce?

- Często myślę o rodzicach, szczególnie od momentu, kiedy stan zdrowia taty bardzo się pogorszył. Oczywiście i przedtem zwykłem ich wspominać - oświadczył, przyjmując z góry pozycję obronną.

- Bez urazy - posłużyłam się tylko przykładem. Nawet gdyby Andrew i Jessica mieszkali razem ze mną aż do czasu osiągnięcia pełnoletności, to teraz z pewnością już by ich tutaj nie było i nawet by o mnie nie pomyśleli. Taka jest kolej rzeczy.

- Chciałbym umieć rozmawiać z moją matką tak jak z tobą. Ona, co prawda, jest o wiele od ciebie starsza - dodał taktownie.

- Rzeczywiście. Mogłaby niemal być moją matką. Ale nie w tym problem... Ludzie nie umieją rozmawiać ze swoimi matkami - to byłoby wbrew prawom natury.

Uśmiechnęła się i wyjrzała przez okno, a kiedy Nancy Morris po raz pierwszy w życiu odezwała się sensownie, wyjaśniając, w jaki sposób rozluźnić mięśnie karku, Judy włączyła się do rozmowy. Obawiała się, że młody Rupert Green może mieć już dosyć rozważań o sensie życia i poglądów kobiety skrzywdzonej. Pozwoliła mu więc zasnąć w szykowej włoskiej marynarce i śnić o czymś miłym.

Zawsze miała dobry kontakt z młodymi ludźmi. Ktoś kiedyś wyraził ubolewanie, że nie została nauczycielką. Nie podzielała tej opinii. Znalazłaby się wtedy po drugiej stronie barykady. Grono przyjaciół Judy było rzeczywiście liczniej reprezentowane przez młodzież niż przez jej rówieśników. Bart Kennedy, na przykład. Potrafiła bez końca z nim rozmawiać, podczas gdy z jego ojcem zwykle wymieniała tylko zdawkowe słowa powitania. Inaczej przedstawiała się sprawa z Kevem Kennedym, siedzącym z przodu autobusu - trudno go było wciągnąć w pogawędkę. Judy rozejrzała się po autobusie i doszła do wniosku, że jeśli chodzi o młodych ludzi, darzy

szczerą sympatią Celię i Dee. Toma Fizge-ralda też uważała za świetnego faceta. Kłopot był tylko z Nancy Morris, bo ją trudno byłoby uznać za młodą osobę. Była starą kobietą pomimo swojego wieku, i nic nie wskazywało na to, żeby się miała zmienić.

Młodzi mieszkańcy Rathdoon zawsze okazywali Judy wielką pomoc przy uprawie małego skrawka ziemi, jaki Jack Hickey zostawił jej przed dwudziestoma laty. Uważali, że jest inna, i mówili jej o tym; nie miała w zwyczaju wydawania o nich sądów ani wyrażania opinii, że powinni się ożenić, ustatkować, więcej oszczędzać i mniej pić. I jeśli nawet sądzili, że jest lekko stuknięta, mimo to przychodzili jej pomagać w wysiewaniu, zbieraniu, suszeniu i pakowaniu ziół.

W domu nigdy nie czuła się samotna, w każdym razie nie bardziej niż w swoim dublińskim mieszkaniu. Zbyt wiele upłynęło lat. Nauczyła się zadowalać własnym towarzystwem, jadała posiłki o najdziwniejszych porach i jeśli miała ochotę, nawet o północy słuchała muzyki. W Dublinie korzystała ze słuchawek. Gdyby ją ktoś zobaczył, wzięłby ją za podstarzałą wariatkę. W kamienicy było wiele mieszkań. Nie mogła przecież budzić urzędników państwowych ani ludzi pracujących w olbrzymich biurach, nastawiając na cały regulator radio, którego odgłosy docierałyby do nich przez ściany. Tu, w małej stróżówce pozostawionej jej przez Jacka, nie było potrzeby nakładania słuchawek. Nikt nie mieszkał w pobliżu, a ptaki najwyraźniej lubiły koncerty i symfonie. Przylatywały i siadały na parkanie, żeby się im przysłuchiwać z bliska.

Gdy Tom podwiózł ją pod dom za pierwszym razem, powiedział, że zaczeka, dopóki nie zobaczy światła w oknach. Sprawił jej tym przyjemność. Był naprawdę poczciwy i chciał się upewnić, czy jest bezpieczna. Wydawał się taki, jak większość młodych ludzi w dzisiejszych czasach - przyzwoity i o wiele bardziej naturalny w sposobie bycia, niż napuszone bubki z okresu jej młodości. To samo można było powiedzieć o



Chrisie i Karen, którzy z wielkim zaangażowaniem prowadzili swój sklep zielarski. Na wzbogaceniu się nigdy im nie zależało. Nie myśleli o znalezieniu chodliwego towaru, który w krótkim czasie przyniósłby im duże zyski, ani nie znali żargonu rutynowanych biznesmenów.

A ponieważ byli idealistami i ich postępowanie cechowała szczerłość i prostota, zanosilo się na to, że wkrótce staną w obliczu bankructwa. Judy myślała o nich z ciężkim sercem. Może gdzieś w Kalifornii Jessica ze swoim mężem, jeśli oczywiście jest mężatką, też otworzyła sklep zielarski i ma kłopoty? Czyż nie byłoby wspaniale, gdyby jakaś sympatyczna starsza osoba przysłała jej z pomocą?

Judy miała prawo do dożywotniego użytkowania stróżówki, choć nie mogła jej sprzedać, nawet gdyby chciała. Pokój w Dublinie wynajmowała i nie miała żadnych oszczędności. Kiedyś uzbierała na przelot do Stanów i tak często dotykała książeczki oszczędnościowej, że napis na niej stał się prawie nieczytelny. Nosila ją zawsze w torebce i nieustannie sprawdzała, czy jest na miejscu, jak gdyby była biletem do Ameryki. Ale to już historia. Teraz Judy gorąco pragnęła, aby mieć swój udział w realizacji marzeń Chrisa i Karen. Ponieważ sklep był również jej marzeniem. Dałaby wiele za to, żeby mieć pieniądze na regularne dofinansowywanie młodego małżeństwa zamiast uszczuplania o swoją pensję ich i tak już bardzo ubogiej kasy.

Powiedziała Rupertowi, żeby nie marnował weekendu na pomaganie jej w ogrodzie. Przyjechał do domu po to, aby spędzić czas ze swoimi rodzicami. Równie dobrze mógł zostać w stolicy, jeśli nie miał zamiaru poświęcić go umierającemu ojcu i matce, którą wspierał na duchu swoją obecnością. Stanowczo obstawała przy swoim, mimo że ją zapewniał, iż lubi tę pracę i że dobrze mu zrobi trochę ruchu na świeżym powietrzu. Uznała, że do tego wszystkiego będzie wiele okazji później. Niech nie trwoni ostatnich miesięcy, a może nawet

tygodni życia swojego ojca, spędzając je na grzebaniu w ziemi i pielęgnowaniu roślin w ogrodzie obcej osoby.

- Nie jesteś obcą osobą, lecz przyjacielem, Judy - powiedział Rupert. I to także sprawiło jej przyjemność.

Był pogodny, słoneczny wrześnieowy dzień. Miasteczko tętniło życiem. Zdarzały się weekendy, kiedy Rathdoon opanowywało podniecenie, ale bywały i takie, że nawet przelatujące przez Patrick Street tornado nie byłoby w stanie nim wstrząsnąć. Judy dostrzegła Nancy Morris, która snuła się po ulicy, jak gdyby szukała jakiejś cennej zguby. Kev Kennedy wciąż wchodził i wychodził ze sklepu swojego ojca, a jego mina świadczyła o tym, że od rana mafia znowu siedzi mu na karku. Trudno było dzisiaj przejść przez ulicę, gdyż co chwila przemykał nią jakiś zmierzający w stronę miasta pojazd - między innymi rozklekotany samochód pani Casey z siedzącą obok niej matką Nancy Morris i auto z Mikeyem Burnsem za kierownicą, który skończywszy pomagać w smażalni, postanowił zawieźć dzieci swojego brata Billy'ego do lasu na jagody. Judy nigdy dotąd nie zauważyła, żeby Mikey był aż tak zajęty. W ciągu dnia widziała także jadącą dokądś Celię. Dziewczyna robiła wrażenie bardzo czymś zaabsorbowanej. Obok niej siedziała w wozie matka, a na tylnym siedzeniu piętrzył się stos nakrytych kocem bagaży. Tom Fitzgerald przyszedł na kilka godzin, żeby pomóc przy pracy w ogrodzie. Powiedział, że nie usłyszał dzisiaj ani jednego przykrego słowa od swoich braci i ich małżonek. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Nie chciał ryzykować przebywania w ich towarzystwie ani chwili dłużej, żeby czar nie prysnął. Dee Burkę z posępną miną odwoziła do miasta matkę, która paplała nieprzerwanie, najwyraźniej nie dostrzegając wyrazu pustki w oczach córki. I tylko pomyśleć, że zdaniem dublińczyków, na prowincji panuje niczym nie zmacony spokój. Judy postanowiła, że w któryś z weekendów zaprosi do siebie Karen i Chrisa, jeśli sklep utrzyma się jeszcze jakiś czas na rynku.

Przyszedł Red Kennedy, żeby pomóc swojemu bratu Bartowi.

- Czy dużo można na tym zarobić w Dublinie? - spytał, wyrывая Judy z rozmyślań. Patrzył na pudełeczka z nasionami.

- Niestety, niewiele. Utrzymanie sklepu jest bardzo kosztowne. Gdybym sama sprzedawała zioła gdzieś na poboczu drogi, pewnie zdołałabym się z zarobku utrzymać. Albo gdybym dostarczała je do dużych aptek czy do sieci wielkich domów handlowych. Ale na razie wciąż walczymy o przetrwanie.

Własne słowa uświadomiły jej bezsens prowadzonej działalności. Marnowała nie tylko swoje wysiłki, ale także tych wszystkich miłych młodych ludzi, jak Bart, Red, Mikey czy bratankowie Toma Fitzgeralda, pracujący w jej ogrodzie po zajęciach szkolnych. Czy korzystanie z ich pomocy w skazanym na niepowodzenie przedsięwzięciu było uczciwe? Nigdy nie robili tego dla pieniędzy. Ale czy ona postępuje wobec nich lojalnie? Pomyślała o Chrisie i Karen w Dublinie, pełnych niepokoju i zamartwiających się również z jej powodu. Czuli się zobowiązani do zapewnienia Judy miejsca pracy i środków do życia, wdzięczni za jej oddanie i wsparcie. Jak bardzo byłyby szczęśliwa, gdyby nadszedł list od amerykańskiego prawnika z informacją, że otrzymała spadek po zmarłym Jacku Hickeyu, który jej dzieci osobiście przywiozłyby do Irlandii! Często snuła fantazje o ich przybyciu, ale dzisiaj po raz pierwszy w jej marzeniach pojawiły się również pieniądze. Tak, przyjęłaby schedę po Jacku, nawet gdyby nie została dostarczona przez Andrew i Jessikę. Zrobiłaby wszystko, żeby pomóc Chrisowi i Karen.

Wkrótce ogłosiła przerwę w pracy. Jej sukces polegał na tym, że zawsze dziękowała za trud swoim pomocnikom, zanim zdążyli się zmęczyć.

Napełniła duże kieliszki winem z czarnego bzu; niektórzy mówili o nim, że jest lepsze i prędzej uderza do głowy niż wszystkie gatunki piw razem wzięte w pubie „U Ryana”. Bracia

Kennedy usiedli w słońcu i oparci o ścianę wypili alkohol, a potem poszli do domu.

W małej stróżówce panował półmrok. Judy wymyła się, splukała z siebie ziemię i ogarnął ją błogi nastrój. Wyciągnęła się wygodnie w fotelu pod oknem, ręce założyła pod głowę.

- Wyglądasz jak kot - powiedział Rupert, wchodząc do pokoju. Drzwi wejściowych nigdy nie zamykała - ani latem, ani zimą.

- To dobrze. Koty świetnie się potrafią zrelaksować - odparła.

- A ty? - chciał wiedzieć.

- Ja tak, ale nie moja psychika. Głowa mi pęka od zmartwień dotyczących spraw tak nieistotnych jak pieniądze. Nigdy przedtem się nimi nie kłopotalam.

- Przypuszczam, że przedtem było o nie łatwiej.

- Wyjaśniłam ci już, jak je zdobywałam w dawnych czasach, a potem nie miałam dużych potrzeb. Teraz jednak chciałabym zapobiec likwidacji sklepu, to wszystko.

Fotel bujany, w którym Rupert usiadł, zaskrzypiał, więc gość zerwał się na równe nogi i poszedł po oliwę.

Podziękowała mu, zauważając, że w domu jego rodziców również jest taki fotel - mógł więc tam w nim posiedzieć.

- Nie mieliśmy sobie zbyt wiele do powiedzenia, musiałem na chwilę uciec - wyznał Rupert.

- Ale tylko na chwilę - zastrzegła Judy.

- Chodzi o to, że ojciec próbował ze mną rozmawiać. Wypytywał mnie, co się dzieje na rynku nieruchomości, i o inne tego typu sprawy. - Twarz Ruperta była ściągnięta bólem.

- I co w tym złego? Czuje się na tyle dobrze, że ciekawi go wiele rzeczy. To miło, że okazuje zainteresowanie twoją pracą.

- Mama twierdzi, że on lubi, kiedy przyjeżdżam do domu. Ale moja obecność jest tam całkiem zbyteczna. I zupełnie nic nie znaczy.

- Tylko dlatego, że nie dbasz o to, żeby cokolwiek dla nich znaczyła. - Judy przestała się litować nad Rupertem. Wstała i przeciągnęła się.

- Posłuchaj, Rupercie Green, nie zajmę ci już ani minuty czasu, który się należy twojemu ojcu. Idę na spacer do lasu Jacka Hickeya.

Młody człowiek wydawał się dotknięty.

- Wracaj do domu, chłopcze. Proszę cię, zrób to. Pomyśl o tych wszystkich latach, kiedy będziesz ubolewał nad tym, że nie możesz już przy nim posiedzieć i porozmawiać o przeszłości. Zrób to także ze względu na swoją matkę. Spotkamy się później w pubie „U Ryana” i postawisz mi lampkę tej syntetycznej mikstury, którą nazywają tam schłodzonym winem.

Rupert rozpogodził się.

- Przyjdiesz? Będzie mi bardzo miło.

- Gdy twój ojciec zaśnie. I gdy już mu odpłacisz za jego miłość.

- Nie jestem potworem.

- Wiem. Ale pomyśl o tym, że on miał już prawie pięćdziesiątkę na karku, kiedy przyszedłeś na świat i budziłeś go wrzaskami po nocach. A potem nie chciałeś pójść w jego ślady. I zamiast tabliczki z napisem: „Green i syn” na drzwiach swojego biura musiał umieścić szyld: „Green i MacMahon”. Idź, posiedź przy ojcu i pogadaj z nim o czymkolwiek. Nawet jeśli rozmowa wyda ci się zbyt powierzchowna lub będzie dotyczyć mało istotnych spraw. Najważniejsze, żebyś przy nim był i spróbował...

- O której spotkamy się w pubie? - Nie potrafił ukryć entuzjazmu.

- Rupercie! Czy przestaniesz wreszcie? Przyjdę tam, kiedy będę miała na to ochotę, a ty masz się zjawić dopiero wtedy, gdy twój ojciec już mocno zaśnie i gdy poświęcisz trochę czasu swojej matce.

- Około dziewiątej, zgoda? - Za wszelką cenę starał się ustalić dokładniejszą porę.

- Zgoda - przystała zrezygnowana.

Wciągnęła wysokie gumyaki. Dużo wody upłynęło od czasu, kiedy ostatnim razem spacerowała po lesie. Do trzech zakonnice, które organizowały konferencje ekumeniczne i seminaria diecezjalne, dotarły niejasne informacje o tym, że pani Hickey ze stróżówki mieszkała kiedyś w dużym domu. Zawsze były dla Judy bardzo miłe i zachęcały ją do spacerów po terenie posesji. Prawdopodobnie z ulgą przyjęły fakt, że nosząca cygańskie chusty dziwaczka niezbyt często korzysta z tej możliwości i nigdy nie kręci się w pobliżu ich rezydencji. Podziękowała im za pozwolenie odbywania spacerów pośród starych drzew i możliwość zbierania ziół. Zapewniła, że sprawia jej to ogromną przyjemność. Czasami zostawiała im pod drzwiami olbrzymi bukiet leśnych dzwonków owinięty w mokre liście. Nigdy nie nachodziła zakonnice ani nie zabiegała o to, żeby ją gościły. Dla obu stron był to idealny układ.

Dzisiaj Judy wybrała się na spacer w określonym celu. Nie szwendała się po lesie pod wpływem nagłej zachcianki ani w poszukiwaniu określonych roślin. Nie, dzisiaj dokładnie wiedziała, dokąd zmierza.

Wciąż tam było, wśród porostłych bluszczem drzew. Zdziczałe, lecz ukryte przed wzrokiem najbardziej zawziętych poszukiwaczy dzięki staremu, zwalonemu drzewu. Obeszła leżący na ziemi pień i stanęła nad swoim marihuanowym poletkiem. Przyjrzała się konopiom indyjskim, które własnoręcznie zasadziła dwadzieścia dwa lata temu. Wiele z nich pousychało, wiele uległo zniszczeniu i nie miało ziaren. Niektóre jednak przetrwały i wymagały tylko niewielkich zabiegów pielęgnacyjnych.

Nie wątpiła w to, że znalezienie rynku zbytu na ten towar w Dublinie nie potrwa długo. Działalność musiała być jednak

prowadzona z dala od sklepu. Chris i Karen nie mogą poznać prawdy.

Judy była w swej decyzji niezachwiana, tak jak jej mąż w swym niezłomnym postanowieniu, że Andrew i Jessika nigdy nie dowiedzą się o uprawianym przez nią procederze.

Poczuła znajome, przyspieszone bicie serca. Pomyślała, że powrót do interesów po tylu latach będzie podniecający.

RS

## Kev

Kev myślał, że już nigdy nie pozbędzie się towarzystwa Pelikana. Facet był dzisiaj w dobrym nastroju, choć ostatnio to się nieczęsto zdarzało, i jak zwykle w takich wypadkach, przejawiał skłonności do rozwodzenia się na temat sobie tylko znanych osób. W jego opowieściach przewijały się tysiące bohaterów, z których żaden nigdy nie pojawiał się dwa razy. Kev słuchał w skupieniu o tym, jak to pewien gość wybrał się dokądś, gdzie już zastał innego mężczyznę, a Pelikan wymknął się stamtąd tylnymi drzwiami. Kev wołał nie ryzykować, że straci wątek. Mógł w każdej chwili zostać przyłapany na tym, iż nie uważa.

Jeśli Pelikan wzbudzał w Kevie strach, to inni napawali go prawdziwym przerażeniem. Pelikan nie należał jeszcze do najgorszych bandziorów, lecz Kev był gotów raczej zrezygnować z podróży liliowym autobusem, niż wyprowadzić z równowagi tego mężczyznę o haczykowatym nosie. Lepiej było z nim nie zadzierać. Być może Kev nie orientował się we wszystkim, co do tego nie miał jednak wątpliwości.

Na szczęście Pelikana zagadnął ktoś bardziej interesujący i Kev był wolny. Puścił się pędem w stronę autobusu, który stał za rogiem z niemal pełnym kompletem pasażerów. Okazało się, że Kevin nie przybył jako ostatni. Mikey Burns zacierał ręce. O Boże, byleby tylko darował sobie swoje dowcipy i sztuczki. Gdy milczał, był bardzo sympatycznym człowiekiem. Gorzej, gdy naśladował magików z telewizji. Nie robił tego dobrze i zawsze śmiał się w nieodpowiednim momencie. Kevinowi najbardziej odpowiadało w podróży towarzystwo Celi. Zwykle wymieniali kilka grzecznościowych uwag, a potem ona wyglądała przez okno, pozostawiając go własnym myślom. Rupert też był małomównym facetem i nigdy nie zadzierał nosa. Obaj bracia, Bart i Red, nie mogli się nadziwić, że Kev tak słabo zna panią Hickey. Obaj mieli fioła na jej punkcie. Tata zwykł mawiać, że



chodzą do niej, by pielęgnować lawendę, niezapominajki i zioła do jej czarcich naparów, a zaniedbują własne kartofle, choć uprawianie ich jest o wiele bardziej stosownym zajęciem dla mężczyzn. Pani Hickey byłaby miłą kobietą, gdyby nie jej niepokojący sposób patrzenia - zwracając się do kogoś, miała zwyczaj przeszywania go wzrokiem na wskroś. Nie uznawała także rozmów o niczym. Co prawda, Kev również nie był ich zwolennikiem, ale nie przepadał za tą ogorzałą twarzą i intensywnym, prześwietlającym niczym promieniem rentgenowskie spojrzeniem. Zawsze mu się zdawało, że pani Hickey wie odrobinę za dużo.

Kev pracował w służbie bezpieczeństwa. Miało to niewiele wspólnego z prawdziwymi siłami porządkowymi, upoważnionymi do kontrolowania ciężarówek na drodze i wyposażonymi w hełmy, pałki oraz owczarki alzackie. Zakres jego obowiązków był zbliżony do pracy portiera. Nazywano go jednak funkcjonariuszem ochrony mienia publicznego. Ilekroć któryś z urzędników telefonował na dół do recepcji, żeby zapytać, czy doręczono list, albo upewnić się, czy przybył już zapowiedziany gość, Kev podnosił słuchawkę, mówiąc: „Halo? Tu służba bezpieczeństwa”.

Kiedyś zadzwonił do niego ojciec z prośbą, żeby przywiózł kilka skrzynek reklamowanych w telewizji chipsów, za którymi szaleli wszyscy mieszkańcy miasteczka. Był szczerze ubawiony, gdy syn przedstawił się jako przedstawiciel służby bezpieczeństwa. Zapowiedział, że będzie telefonował codziennie dla samej przyjemności upajania się brzmieniem tych słów. Zaniepokojony Kev oświadczył, że ma obowiązek ograniczania prywatnych rozmów do minimum. Ale niepotrzebnie się martwił. Ojciec nie wydałby pieniędzy na słuchanie wciąż tego samego dowcipu.

Bart i Red nie wiedzieli, dlaczego brat przyjeżdża co tydzień do domu. Nie mieli nic przeciwko temu. Prawdę mówiąc, nie robiło im to żadnej różnicy. Ale dlaczego w każdy weekend? To

było najbardziej niezrozumiałe. Nie chodził na tańce w sobotnie wieczory. I nie miał własnej paczki, z którą przesiadywałyby w pubie „U Ryana”. Wpadał tam czasami na drinka, lecz nigdy długo nie zagrzał miejsca. Bracia Kennedy nieczęsto miewali okazję porozmawiać ze swoim ojcem, który nie wyjmował papierosa z ust i słuchał od rana dno nocy nastawionego na cały regulator radia. Uważali więc za mało prawdopodobne, żeby Kev szukał jego towarzystwa.

Kev wiedział, że jest dla nich zagadką. Podobnie jak dla Toma Fitzgeralda, który wyjaśnił wszystkim, że musi zawsze zabierać siedmiu pasażerów, aby pomimo tak niskich cen za przejazd kurs do Rathdoon był opłacalny. Tom utrzymywał też, że skoro zgodzili się korzystać z jego środka transportu przez dziesięć tygodni z rzędu, a z jakiegoś powodu rezygnowali z podróży, powinni przysłać kogoś na swoje miejsce - niekoniecznie osobę udającą się do samego Rathdoon, lecz do miejscowości leżącej po drodze. Umówił się z pasażerami, że jeśli nie zdołają znaleźć nikogo w zastępstwie, opłatę i tak będą musieli uiścić. Dzięki temu koszt przejazdu liliowym autobusem stawał się o połowę niższy niż każdym innym środkiem transportu, a poza tym wszyscy byli dowożeni pod same drzwi. Tuż przed dziesiątą Kev wysiadł przed sklepem, życząc dobrej nocy pannie Morris, która mieszkała po drugiej stronie ulicy. Czuł się bezpieczny w swoim rodzinnym miasteczku. Zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Tom często spoglądał na niego zdziwiony. Ojciec zwykle kiwał Kewowi na powitanie głową, nie odrywając się od odbiornika radiowego, i informował syna, że właśnie rozpoczynają się wieczorne wiadomości. Kev zawsze mógł liczyć w domu na kubek herbaty i kawałek kupnego ciasta. Bracia Kennedy nie mieli okazji poznać smaku innych wypieków. Ich matka zmarła przed wieloma laty i nawet Bart, który ją pamiętał, nigdy nie widział jej w dobrym zdrowiu. Po wysłuchaniu dziennika ojciec pytał syna, czy miał ciężki tydzień i ilu napastników wtargnęło z

łomami do strzeżonego przez niego gmachu. A potem zwykł oświadczać, że w Dublinie zdarza się więcej aktów przemocy niż w Chicago i że jego stopa nie postanie w tym mieście, chyba że będzie miał przy sobie uzbrojonego ochroniarza. Z początku Kev próbował się z nim spierać, w końcu jednak dał za wygraną. Tym bardziej że ostatnio zaczął ojcu przyznawać w duchu rację.

Nikt w pracy nie wiedział, co Kev robi w weekendy. Wszyscy podejrzewali, że jest pracującym zakonnikiem lub członkiem jakiejś charytatywnej i unikającej rozgłosu organizacji. Serdeczny starszy pan Dały - najmilszy ze wszystkich znanych Kevinowi ludzi - kręcił z podziwem głową w strażniczej czapce.

- Nie pojmuję, dlaczego wszyscy narzekają na młode pokolenie - zwykł mawiać. - Spójrzcie tylko na młodego Keva, który pracuje z nami w holu na dole. Rozdziela zupeł alkoholikom, modli się przed Najświętszym Sakramentem i uczy analfabetów czytania. Punktualnie o szóstej w każdy piątek wypada stąd jak strzała i aż do poniedziałku w ogóle o nim nie słyhać.

Ani panu Daly'emu, ani żadnej innej osobie Kev nigdy nie zasugerował nic, co by dało podstawę do wymyślenia tej niestworzonej historii. Gdy stwierdził jednak, że została dobrze przyjęta, postanowił nie wyprowadzać nikogo z błędu. Gdyby ktoś zaczął tu węszyć i zadawać pytania, lepiej, żeby pan Dały i inni sądzili, iż przebywa w zakonie świętego Szymona czy w Legionie Najświętszej Marii Panny. Po co mieli wiedzieć, że z regularnością zegara łapie w każdy piątkowy wieczór autobus w liliowym kolorze i pospiesznie opuszcza Dublin, zostawiając za sobą wszystkie niebezpieczeństwa miasta?

Gdyby Głupol czy Pelikan przyszli tutaj z jakiegoś powodu rozgniewani, nie dowiedzieliby się niczego. Nikt nie miał pojęcia, gdzie Kev spędza weekendy.

Zawsze był skryty, nawet jako dziecko. Pamiętał, jak Bart opowiadał zupełnie obcej klientce, że ich matka zmarła dwa

miesiące temu. Kev nigdy nie przekazałby takiej informacji kobiecie, która tylko kupuje batony czekoladowe i lody dla czekających w samochodzie dzieci. Choćby nie wiadomo jak była miła i pełna podziwu dla trzech chłopców, którzy muszą obsługiwać ludzi w sklepie, ponieważ ich ojciec stawia na podwórzu szopę na butle z gazem i brykiety. Kev się wtedy nie odezwał. Włożył piąstkę do buzi, gdyż był to wspaniały sposób, aby zachować milczenie. Tak, Bart i Red wszystko by ludziom wypaprali... Bart rozповідаł nawet o tym, jak to siedemnastoletni Kev usiłował namówić Deirdre Morris - dziewczynę o wiele sympatyczniejszą od swojej siostry - żeby poszła z nim na pola, przysięgając, że chce jej tylko pokazać gniazdo z piskletami.

Deirdre Morris wyśmiała tę propozycję, wepchnęła go w błoto i poszła do domu, szydząc: „Dobre sobie, gniazdo z piskletami - czy tak to się teraz nazywa?” Kev był wstrząśnięty, dowiedziawszy się o niedyskrecji brata. Jak mógł rozgłaszać wieści o jego haniebnym postępku, a co gorsza, o sromotnej klęsce? Bart uważał jednak, że to szalenie zabawna historia, i gdy zamężna już Deirdre przyjechała z Ameryki z dzieckiem o imieniu Shane, Bart nadal pękał ze śmiechu, wspominając tamto wydarzenie. Red był taki sam. Dzięki niemu pół okolicy znało wszystkie ich rodzinne sprawy, w tym plany założenia firmy wykładającej nawierzchnię tarmakadamem; uprzedził ich jednak Billy Burns, gdyż ojciec zbyt długo zwlekał z podjęciem decyzji. Kev nigdy o niczym nie rozповідаł. Lecz on miał o wiele więcej do ukrycia niż bracia.

Celia nadeszła tuż za nim i drzwi autobusu zostały zamknięte. Ruszyli w drogę. W pubie za rogiem dostrzegł Pelikana z kuflem w jednej ręce i ze zwiniętą gazetą w drugiej. Zrolowane czasopismo znakomicie nadawało się do bardziej ekspresyjnego wyrażania poglądów. Pelikan lubił podkreślać niektóre fragmenty swoich wypowiedzi.

Niestety, Mikey prezentował dzisiaj szczytową formę: demonstrował sztukę z zapalkami jako świetny trik do zabawiania gości w pubie. Biedak nie zdawał sobie sprawy z tego, że tylko pijacy zajmują się prestidigitatorstwem w pubach - pijacy, samotnicy lub szaleńcy, ale nie normalni ludzie, którzy przychodzą tam w towarzystwie przyjaciół. Mikey wyjaśniał właśnie, w którym miejscu należy obciążyć monetą pudełko. Kev wyrztał przez okno i dostrzegł światła domków jednorodzinnych na przedmieściach Dublina. Pan Dały powiedział kiedyś, że Kev pewnego dnia znajdzie sobie młodą kobietę, zgromadzą razem oszczędności na kupno domu w miejscu podobnym do tego i nikt o nich więcej nie usłyszy. Ludzie pokroju pana Dały'ego i Mikeya nie żyli w realnym świecie. Mikey kontynuował swój wywód, tłumacząc, w jaki sposób należy trzymać pudełko zapalek, aby umieszczona na nim dwupensówka zawsze spadała na tę stronę, na której została położona. Kev obrzucił go pustym spojrzeniem.

- Założę się, że Bart i Red byliby tą sztuką zachwyceni - mruknął Mikey. Kev był tego nawet pewien. Obaj mieli czas i spokojne głowy.

Kev nie przyznał się Mikeyowi, że sam w pewnym sensie też jest portierem. Należał, co prawda, do służby porządkowej, ale miał podobne obowiązki. Nigdy nie wyjawiał nikomu ze swoich współpasażerów, w jakim charakterze jest zatrudniony w dużym nowoczesnym biurze. A można tam było wykonywać każdą pracę, dosłownie każdą. W gmachu mieściły się biura urzędów państwowych, agencje turystyczne, przedstawicielstwa linii lotniczych i niezliczone spółki, w tym również jedno- i kilkusobowe.

W holu na ścianie wisiała tablica z kilometrową listą instytucji będących użytkownikami budynku. Ilekroć ktoś pytał Keva, czym się zajmuje, wyjaśniał tylko, gdzie jest jego miejsce pracy, i nic ponadto. Tak było bezpieczniej. Któregoś przedpołudnia, gdy stał na dole w swoim uniformie, dostrzegł w

wejściu Dee Burkę. Niosła jakieś dokumenty do mieszczącej się na piątym piętrze kancelarii. Pan Daly zaanonsował jej przybycie, a Kev schylił się gwałtownie, szukając czegoś na podłodze, żeby go nie zauważyła. Potem zastanawiał się, dlaczego to zrobił. Jakież znaczenie mógł mieć fakt, że panna Burkę zna charakter jego pracy? Z pewnością kupując papierosy w ich sklepie, nie przypuszczała, że najmłodszy z Kennedych jest prezesem dużej spółki w Dublinie. Nie miał też zamiaru udawać przed nią, że pracuje jako urzędnik w biurze. Dlaczego więc się ukrywał? Ponieważ tak było roztropniej. Przeworny kierowca zawsze omija wyboje na drodze. Kev nie miał żadnego konkretnego powodu, żeby się tak zachować, lecz wydawało mu się, że postąpił mądrze.

Skryta natura stała się w pewnym sensie przyczyną sytuacji, w jakiej się obecnie znalazł. Gdyby był innym typem człowieka, nigdy by się nie wpakował w tę kabałę.

Wszystko zaczęło się od dnia urodzin. Kończył wtedy dwadzieścia jeden lat. Był powszedni dzień. Ojciec przysłał mu banknot dziesięciofuntowy razem z kartką z wizerunkiem różowego kota. Bart i Red zapowiedzieli, że z tej okazji odbędzie się huczna biesiada „U Ryana” w przyszły piątek. Poza nimi nikt o tym nie wiedział. Kev nie powiedział o swoim jubileuszu panu Daly'emu, który pewnie by go uściskał i przyniósł ciasto. Nie zdradził się też przed lokatorami domu, gdzie wynajmował pokój. Nie byli w zażyłych stosunkach, lecz gdyby usłyszeli, że Kev kończy dwadzieścia jeden lat, czuliby się zobowiązani do uhonorowania go w jakiś sposób. Tak więc nikt w całym Dublinie nie miał pojęcia, że Kevin, najmłodszy syn właściciela sklepu, Michaela Kennedy'ego, oraz zmarłej Mary Rose Kennedy z Rathdoon, staje się dzisiaj pełnoletni. Sporo myślał o tym przez całe przedpołudnie i z jakiegoś powodu zaczął nadawać temu wydarzeniu zbyt dużą rangę. Innym dedykowano w radiu nagrania muzyczne; inni otrzymywali w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin

zamiast jednej całej tuziny kartek. Przypomnił sobie, że Dee Burkę przed kilkoma miesiącami wydała z tej okazji w hotelu bankiet, na który zostali zaproszeni również bracia Kevina. Bart oświadczył wtedy, że nie wyda pięciuset funtów na garnitur, lecz Red, doskonały tancerz, pożyczył od kogoś wieczorowe ubranie i doskonale się bawił. Zresztą oni dwaj też hucznie świętowali osiągnięcie pełnoletności. Bart zaprosił kolegów nad rzekę na barbecue, a w tamtych czasach żaden Tom, Dick ani Harry nie urządzał jeszcze tego typu przyjęć. Upiekli na różnie wołowinę, która z chlebem znakomicie smakowała, były też śpiewy i wiele innych atrakcji. A przed dwoma laty, kiedy to Red wkraczał w dorosły wiek, w domu zebrał się tłum gości, których częstowano alkoholem i ciastem, a potem wszyscy wpakowali się do ciężarówki i pojechali na tańce. Tylko święto Keva upływało bez echa.

Myśl o tym nie dawała mu spokoju. Zwolnił się u pana Dały'ego, wyjaśniając, że nie czuje się dobrze i chce przez pół godziny zażyć świeżego powietrza. Staruszek tak się tym przejął, że Keva natychmiast ogarnęły wyrzuty sumienia. W tamtym czasie nie znikał jeszcze regularnie w weekendy, a pan Dały nie myślał o nim jako o nie opiewanym i nie kanonizowanym świętym.

Przycupnął na placu załadunkowym, w miejscu gdzie podjeżdżały furgonetki dostarczające papier i gdzie gońcy parkowali swoje olbrzymie motocykle. Wyjął papierosa i pomyślał o rówieśnikach. Nie pojmował, dlaczego tak pilno mu było do opuszczenia budynku, jak gdyby dzięki temu miał się poczuć lepiej. Czterech mężczyzn pracowicie załadowywało półciężarówkę. Piąty, podparty na kuli, leniwie się rozglądał wokół. Bez wyraźnego pośpiechu, lecz w godnym pochwały tempie do pojazdu wnoszono urządzenia sanitarne: umywalki, muszle klozetowe i małe grzejniki na wodę.

Kev zaciągnął się papierosem. Widocznie gdzieś na piętrze wymieniano armaturę. Wyglądało to na duży kontrakt.

Chwileczkę. Kev nie widział, żeby któryś z mężczyzn przechodził przez stanowisko służby bezpieczeństwa, a każdy miał obowiązek meldować się w recepcji. Nawet jeśli zaraz potem był odsyłany na plac załadunkowy. Najpierw rejestracja - takie były zasady.

Małeńka iskierka zainteresowania w jego oczach wystarczyła, żeby zaalarmować opierającego się na lasce mężczyznę z kulawą nogą, który zaczął okazywać wyraźne zaniepokojenie.

- Nie zauważyłem go, bo nie ma czapki na głowie - szepnął kątem ust.

Rosły mężczyzna z nosem przywodzącym na myśl ptasi dziób natychmiast przerwał pracę, odłączył się od stojących w szeregu ludzi, którzy podawali sobie urządzenia, i ruszył w stronę Kevina. Młodemu człowiekowi żołądek podjechał do gardła. Poczul spływający wzdłuż przełyku lodowaty deszcz i uświadomił sobie, że tych pięciu robotników wynosi z budynku nowe sanitaria, których on był zobowiązany pilnować i które niebawem miały zostać rozproszone po domach w całym mieście. Z trudem przełknął ślinę.

Pelikan zbliżał się niespiesznym krokiem. Nie robił wrażenia, że stara się coś ukryć ani że jest zdenerwowany.

- Czy mogę zapalić? - zagadnął niewinnie Kevina. Za jego plecami, jak gdyby nigdy nic, w regularnym tempie kontynuowano ładowanie.

- Hm. Tak, proszę. - Kev podsunął mu pudełko.

- Co pan tutaj robi? - spytał Pelikan, mrużąc oczy.

Pytanie było bardzo grzeczne. Mógł je zadać w celu nawiązania rozmowy każdy przypadkowy spacerowicz w letni poranek, a nawet jeszcze dorzucić coś w rodzaju: „w tak piękny dzień”. Pelikan jednak nie dodał nic więcej. Razem z innymi czekał na reakcję Kevina. A Kev dobrze wiedział, że od tego, co teraz powie, będzie zależało, czy pytanie to nie okaże się najbardziej doniosłym ze wszystkich postawionych mu w życiu.



- Dzisiaj wypadają moje dwudzieste pierwsze urodziny - odparł. - Zirykowało mnie siedzenie w recepcji razem ze strażnikami, którzy o tym nie wiedzą. Pomyślałem więc, że uczczę to, wychodząc na papierosa.

Nikt nie miał wątpliwości, że powiedział prawdę. Nie potrzeba było wykrywacza kłamstw ani lat doświadczeń ze środkami na prawdomówność, żeby wiedzieć, że Kevin Kennedy dokładnie wyjaśnił powód swojej obecności na podwórzu. Z jakiegoś powodu Pelikan nabrał przekonania, że z młodym człowiekiem nie będzie kłopotów.

- W takim razie postawimy ci drinka w pubie w porze lunchu, gdy tylko uporamy się z robotą. Człowiek nie powinien swoich dwudziestych pierwszych urodzin obchodzić w samotności.

- Dokładnie o tym samym sobie myślałem - poparł go skwapliwie Kev, odwracając wzrok, żeby nie widzieć największej i najbardziej zuchwałej kradzieży w budynku, który miał obowiązek ochraniać. Najwyraźniej mężczyźni już się zwijali, gdyż wsiedli do furgonu i pozamykali drzwi.

- A zatem o pierwszej, zgoda? - Ogromny nos Pelikana wyglądał groźnie, niczym kosa, a jego oczy były jak dwie szparki.

- Trudno mi będzie wyrwać się stąd o tej porze. Mam zaledwie czterdziestopięciominutową przerwę, a przypuszczam, że zamierzacie opuścić ten rejon - stwierdził Kev z niewinną miną.

- Więc kiedy i gdzie chciałbyś się czegoś napić z okazji swoich urodzin? - W pytaniu tym nie było miejsca na dyskusję, lecz jedynie wąski margines tolerancji co do czasu i adresu spotkania.

- W takim razie około szóstej, w wybranym przez was lokalu, dobrze?

Kev był pełen dobrych chęci. Pelikan skinął głową. Wymienił pub w centrum miasta.

- Każdy z nas postawi ci kolejkę. A jak widzisz, jest nas pięciu.

- O Boże, będę zaszczycony. Jest was aż pięciu? Nie zauważyłem.

Pelikan z aprobatą pokiwał głową. Wrócił do furgonetki rozkołysanym krokiem i zajął miejsce obok kierowcy, który przypominał wyglądem mistrza wrestlingu.

- Do zobaczenia o szóstej! - zawołał wesoło, wychylając się z okna.

Kradzież nie została odkryta aż do wpół do piątej po południu. Większość biur na szóstej kondygnacji nie była jeszcze zajęta. Niektórzy z urzędników sądzili, że toalety są naprawiane, więc by z nich skorzystać, szli na inne piętra. Uderzono na alarm dopiero wtedy, kiedy jedna z sekretarek wyraziła zdumienie, że nowe sanitaria muszą być wymieniane zaledwie po trzech miesiącach użytkowania. Wszystkimi wstrząsnął fakt, że przestępstwo zostało popełnione w biały dzień. Wezwano strażników i powstał straszliwy zamęt. Kev miał kłopoty z wyrwaniem się przed szóstą z pracy. Był pewien na dziewięćdziesiąt procent, że nie zostanie złodziei w umówionym miejscu. Byliby głupcami, ryzykując pakowanie się w zasadzkę. Skąd mogli wiedzieć, że mają do czynienia z Kevem Kennedym, który nigdy nikomu o niczym nie mówi? Przy barze mogli przecież siedzieć i popijać piwo z sokiem sami policjanci w cywilnych ubraniach. Na wszelki wypadek postanowił jednak zajrzeć do wyznaczonego lokalu. A także w obawie, żeby żądni zemsty bandyci nie wrócili do biurowca. Przecież wiedzieli, gdzie mogą Keva znaleźć.

Wszyscy na niego już czekali.

- Spóźniłem się, bo w pracy było trochę zamieszania.

- Och, miałeś do tego pełne prawo - stwierdził wielkodusznie Pelikan. I przedstawił mu Głupola, Johna, Neda oraz Kuternogę Caseya.

- Jak brzmi twoje prawdziwe imię? - zwrócił się Kev do mężczyzny z chromą nogą.

- Kuternoga - odparł zdumiony kaleka.

Każdy z nich postawił mu piwo, a potem cała piątka wzniosła uroczyście kufle, życząc mu wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Przy czwartej kolejce Kev poczuł się fatalnie. Nigdy nie wypijał więcej niż trzy duże piwa „U Ryana”, a wszędzie indziej - dwa. „U Ryana” mógł sobie pozwolić na więcej - w ostateczności wróciłby do domu nawet na czworakach.

Głupol miał wygląd wrestlera. Kev zastanawiał się nad pochodzeniem jego przezwiska. Doszedł jednak do wniosku, że postąpi roztropniej, poskramiając własną ciekawość. To Głupol postawił ostatnią kolejkę i wręczył Kevinowi kopertę.

- Przykro nam patrzeć na nieszczęśnika, który nie ma nikogo, kto złożyłby mu życzenia urodzinowe. Przyjmij więc ten mały upominek od Pelikana, Kuternogi, Johna, Neda i ode mnie.

- Uśmiechnął się głupkowato, jak gdyby był hojnym wujkiem, niecierpliwie wyczekującym, kiedy siostrzeniec wyda okrzyk zachwytu na widok kolejki elektrycznej.

Kev uprzejmie zajrzał do koperty - w środku znajdował się plik dwudziestofuntowych banknotów. Sala zakołysała się nagle w przód i w tył, a potem powoli zaczęła wirować w lewą stronę. Przytrzymał się stołka przy barze.

- Nie mogę tego przyjąć, wcale mnie nie znacie.

- A ty nie znasz nas - rozpromienił się Głupol.

- A zatem jest tak, jak być powinno - zauważył Pelikan z aprobatą w głosie.

- I tak bym was nie rozpoznał, nawet bez... no, wiecie sami.

Obrzucił kopertę przerażonym wzrokiem, jak gdyby zawierała materiał wybuchowy. Banknotów było co najmniej sześć, a może i więcej. Nie miał ochoty ich liczyć.

- Tak jest lepiej. Dzięki temu ten dzień wryje się w pamięć każdego z nas. A może od tej pory będziemy się tutaj spotykać co tydzień o tej samej porze i postawisz nam czasem drinka,

jeśli dobrze zainwestujesz pieniądze? W ten sposób będziemy się mogli lepiej poznać. Co o tym myślisz?

Kev poczuł w ustach smak cytryny.

- Z największą przyjemnością... będę utrzymywał z wami kontakt... ale naprawdę to zbyt dużo. Czuję się okropnie.

- Zupełnie niepotrzebnie - uśmiechnął się Pelikan i odeszli.

Od tamtej pory spotykał się z nimi w każdy wtorek. Czasami jedynie wypijali wspólnie drinka. Czasami czekali na niego nie tylko po to. Kiedyś powierzyli mu funkcję kierowcy. Był pewien, że nie zapomni tego dnia do końca życia. Weszli do nowego bloku mieszkaniowego i starannie zwinęli nowiusieńkie dywany ze schodów. Po południu spodziewano się ekipy remontowej. Uprzedzili ją i przybyli wcześniej. Skoordynowanie działań było w tym wypadku najbardziej istotne. Kosztowne wełniane wykładziny zostały przywiezione rano i na ich usunięcie mieli zaledwie cztery godziny, a to oznaczało baczne obserwowanie mieszkań na wypadek pojawienia się nie w porę jakiegoś wścibskiego lokatora. Oczywiście akcja zakończyła się całkowitym sukcesem, tak jak wszystkie ich przedsięwzięcia. W tym dniu Kev wziął wolne, lecz kradzież ta pochłonęła lata jego życia. Czuł się tak, jak gdyby został stratowany przez tłum spacerowiczów wylęgający z Moran Park. Nie pojmował, jak tamci wszyscy mogli zachować tak niezmałcony spokój. Kuternoga Casey opowiadał o koniu, który przewrócił się na ostatniej przeszkodzie, John i Ned - miłośnicy psów - rozwodzili się o groźnych i fałszywych chartach, instynktownie pojmujących, kiedy należy zwolnić bieg. Pelikan snuł długie wywody o nieprzebranych rzeszach nikomu nie znanych ludzi, a Głupol, który na ogół nie miał zbyt wiele do powiedzenia, był w pełni odprężony i sprawiał wrażenie człowieka, który wyszedł w słoneczny dzień na brzeg po zażyciu morskiej kąpieli, żeby zapalić fajkę.

Nigdy nie powiedzieli Kevinowi, że musi się do nich przyłączyć ani nie stawiali mu żądań, które skłoniłyby go do

ucieczki na drugi kontynent. Najczęściej do jego zadań należało tak zwane „przepakowywanie” - na przykład przeniesienie do kontenerów całego ładunku kieliszków Waterforda, który banda przechwyciła z hotelu, zanim jeszcze rozpakowano skrzynki. Każdą sztukę trzeba było ostrożnie wyjąć, owinać w purpurową bibułkę i umieścić w ozdobnym pudełku mieszczącym sześć kieliszków - komplet. Kev stał się znawcą zastawy kryształowej i uznał, że najbardziej podobają mu się produkty firmy Colleen. Postanowił, że kiedy się ożeni, dwa tuziny kieliszków do brandy tej marki przeznaczy w domu na codzienny użytek, postawi taki nawet w łazience zamiast kubka do mycia zębów. Zaraz jednak uświadomił sobie, czym się aktualnie zajmuje, powrócił z obłoków na ziemię i czar prysnął. Rozejrzył się po garażu i podjął pakowanie towaru do ładnych, anonimowych, ozdobnych pudełek. Nie wiedział, dokąd są potem zawożone ani co się z nimi dalej dzieje. Nigdy o to nie pytał. Za to go lubili i darzyli bezgranicznym zaufaniem. Od pierwszego dnia na placu załadunkowym uznali, że jest jednym z nich. A teraz było już za późno na wyprowadzanie ich z błędu. Im dłużej to trwało, tym bardziej niedorzeczne stawały się wszelkie próby wyzwolenia się spod ich wpływu.

Czasami, w chwilach większego spokoju wewnętrznego, starał się zbagatelizować całą sprawę. Akcje szajki nie były wymierzone przeciwko indywidualnym osobom. Jej członkowie nigdy nie okradali cudzych mieszkań ani domów. To spółki musiały zadbać o ponowne nabycie kilometrów czerwonego wełnianego dywanu, skrzyń ze szkłem znanej firmy czy kompletnych wyposażenia węzłów sanitarnych. Nie krzywdzili starych kobiet ani młodych małżeństw, nigdy nie mieli przy sobie broni czy nawet pałek. Pod wieloma względami nie byli złymi facetami. Co prawda, nie chodzili do pracy w potocznym rozumieniu tego słowa i oszukiwali ludzi, nosząc podrobione identyfikatory oraz stwarzając pozory, że ich obecność w danym miejscu jest jak najbardziej legalna. Ich wizyty narażały też na

kłopoty wiele osób - choćby nieszczęsnego pana Daly'ego, który musiał się gęsto tłumaczyć i mimo że nikt mu tego otwarcie nie powiedział, wyczuwało się powszechne przekonanie, iż jest już do tej pracy za stary. A poza tym kradli. Robili to niemal w każdym tygodniu, a w tego typu działalności Kev Kennedy z Rathdoon w żadnym wypadku nie chciał być zamieszany. Albo, co gorsza, zostać na niej przyłapany. To byłoby nie do pomyślenia. W miasteczku nie ucichła jeszcze sprawa młodego kuzyna Fitzgeraldów, który przez jakiś czas pracował w ich sklepie tekstylnym i dostał trzy lata za napad na pocztę w Cork. W Rathdoon huczalo o tym miesiącami. Pani Fitzgerald, matka Toma, musiała wszystkim wyjaśniać, że chłopak nie jest ich kuzynem w pierwszej linii, lecz dalekim krewnym, i że chcieli mu dać w życiu dobry start, a on im się tak niechłubnie wywdzieczył. Aż strach pomyśleć, na co byłby narażony nieszczęsny tata. Nadzieje Reda na zdobycie żony również zostałyby zaprzepaszczone. A biedny Bart, który zawsze był bardzo przyzwoity i oddany - czy nie ciążyłoby na nim do końca życia piętno hańby brata?

Ale jak Kev miał się z tego wyzwolić? Nie mógł przecież mieszkać w tym samym mieście co Pelikan, Głupol i Kuternoga, jeśliby uznali, że ich zdradził. Na nic nie zdałyby się próby udawania przed nimi, że się wyniósł z Dublina. Byli o wszystkim bardzo dobrze poinformowani; na tym polegała ich praca - wiedzieli, kiedy ma nastąpić dostawa, o jakiej porze strażnik wychodzi na kawę, w jakim miesiącu portierzy biorą urlopy, którzy z dyrektorów są młodzi i nerwowi i kiedy w sklepach meblowych panuje zbyt duży ruch, by spostrzeżono, że towar jest załadowywany do prywatnego furgonu. Znali miejsca zamieszkania i pracy Kevi-na. Okłamywanie ich nie wchodziło w rachubę.

Zdołał się tylko wymigać od roboty w weekendy. Wtedy organizowali największe skoki, a on pragnął trzymać się od tego jak najdalej. Wyjaśnił im mgliście, że przebywa w tym czasie

poza miastem. W pierwszy weekend po spotkaniu z nimi wybierał się do domu, tak więc następne wyjazdy wydawały się naturalną kontynuacją dotychczasowego trybu życia. Nie przyznał się, że jeździ do Rathdoon. Wiedzieli jednak, że ich nie oszukuje. Kulawy Casey czekał na niego pod domem w pewien niedzielny wieczór i Kev przypuszczał, że była to rutynowa inspekcja. Przekonali się, że jest czysty. Także Pelikan, na którego wpadł przypadkiem na rogu, nie wątpił w to, że Kev wyjeżdża z Dublina na weekend, i nawet nie zadał sobie trudu, żeby to sprawdzić.

Ale jak miał się wykręcić od pracy dla nich w ciągu tygodnia? Ostatnio organizowali coraz większe skoki i Kev zaczynał odchodzić od zmysłów ze strachu. Kilka razy Głupol zwrócił mu uwagę, żeby nie był taki spięty, gdyż przypomina tchórzliwego oszusta w kiczowatym czarno-białym filmie. Ale Głupolowi, który w ogóle nie miał nerwów, dobrze było mówić. Innym opanowanie nie przychodziło tak łatwo. Na widok policjanta pod Kevinem uginały się kolana. A ilekroć stanął przy nim jakiś roślejszy mężczyzna, zrywał się na równe nogi. Najdziwniejsze było to, że nie dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu łamania zasad religii. Regularnie chodził do kościoła, a w czasie świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy przystępował do komunii. W przekonaniu Kevina Bóg wiedział, że jego postępowanie nie jest grzeszne. Nie uszkodził ciała bliźniego ani nie dopuścił się innego równie poważnego występku. Ubolewał nad tym, że nie potrafi w samotności rozmawiać z Bogiem, tak jak powinien, i nie umie formułować pytań płynących z głębi serca. A przecież tylko u Boga mógł szukać rady. Ludzie byli zdecydowani w poglądach na temat tego, co można, a co jest zakazane - szczególnie odnośnie do tego ostatniego. Nie mieliby wątpliwości, że jedynym słusznym rozwiązaniem dla Kevina Kennedy'ego jest niezwłoczne wyrwanie się spod wpływów gangu i zaprzestanie kryminalnej działalności.

Tylko centymetry dzieliły go teraz od miłej twarzy biednego Mikeya, który jest portierem w banku i może zostać zastrzelony podczas napadu. Kevinowi, pracownikowi służby bezpieczeństwa, taki los nie zagrażał. Został przecież najlepszym kumplem członków przestępczej bandy, która ograbiła z urzędzeń sanitarnych miejsce jego pracy. Mikey Burns uśmiechał się przez sen, śniąc być może o sztuczках z pudełkiem zapalek i monetą. A to był on, Kev Kennedy, który prowadził uciekający furgon, stał na czatach i przepakowywał skradziony towar. Gdy obserwował pograżająca się w mroku okolicę, poczuł do siebie odrazę. Był samotny, czuł się winny i dręczyły go straszliwe wyrzuty sumienia.

Ojciec zakomunikował mu po wysłuchaniu wiadomości, że Red zamierza przyprowadzić do domu podczas weekendu córkę pewnego farmera. Zapowiedział, że wszyscy mają być w butach, przyzwolicie się wyrażać, przełożyć masło na talerz i przelać mleko do dzbanka. Oświadczył też, że Bart równie dobrze może wstąpić do zakonu franciszkanów, chodzić w sandałach i nosić worek na jałmużnę, skoro i tak przeznacza swój udział w zyskach na działalność charytatywną. Jeśli nie wykopuje w ogrodzie naparstnicy, pietrasznika czy innych uprawianych przez panią Hickey ziół, to pomaga obsługiwać klientów ledwie trzymającej się na nogach pani Ryan, a od żadnej z nich nie bierze ani pensa zapłaty. Wyraził zdziwienie, że Bart nie poszedł jeszcze do sklepu Fitzgeraldów i nie spytał, czy nie potrzebują kogoś, kto by przez kilka dni w tygodniu pracował dla nich za darmo. Kev milczał, nie wiedząc, co powiedzieć. Dłubał w ciastku i myślał o tym, jak różni są ludzie. Oto Głupol, człowiek o twarzy tak samo miłej i szczerzej jak twarz Barta, organizował przerzut kuchenek mikrofalowych z jednej hurtowni do drugiej według planu bazującego na ludzkiej łatwowierności. Scenariusz przewidywał udział Neda - mężczyzny o najmniej rzucającym się w oczy wyglądzie - który z plikiem papierów miał wejść do magazynu i udawać, że coś



sprawdza. Bart Kennedy zaś, o wzbudzającej zaufanie powierzchowności, podobnie jak Głupol, pracował w ogrodzie Judy Hickey i pomagał matce Celi trzymać się prosto na nogach za barem „U Ryana”. „Boże, w jak dwóch skrajnie różnych światach się poruszam” - uświadomił sobie Kev, wzdrygając się na myśl o grożącym mu niebezpieczeństwie.

- Nie wybierasz się dzisiaj do pubu? - spytał ojciec.

- Nie, jestem zmęczony po całym tygodniu pracy i po długiej podróży. Pójdę na górę i położę się spać.

Ojciec pokręcił głową.

- Naprawdę ciekaw jestem, co cię sprowadza do domu. Przez cały czas prawie nic nie robisz i straciłeś zainteresowanie piłką nożną. Mógłbyś zostać dobrym piłkarzem, gdybyś się trochę przyłożył do treningu.

- Nigdy nie byłem w tym dobry. Mówisz tak, ponieważ chciałbyś, żeby twój syn grał w reprezentacji okręgu.

- A zatem po co przyjeżdżasz? Przed czym chcesz uciec?... - Nie zdążył dokończyć zdania, gdy kubek roztrzaskał się na posadzce w drobny mak. Twarz Kevina stała się kredowobiała.

- Przed czym miałbym uciekać? Co masz na myśli?

- Przemoc w mieście, wszelkie burdy, wałęsające się po ulicach bandy szubrawców, czy ja wiem, co jeszcze? Świetnie zarabiasz i zawsze jesteś dla mnie bardzo hojny, zostawiając kilka funtów... ale młody człowiek w twoim wieku powinien być żądny różnych rozrywek, nie sądzisz?

- Sam nie wiem, tato. Nigdy nie byłem w niczym naprawdę dobry - ani w grze w piłkę nożną, ani w umiejętności korzystania z rozrywek. - Głos Kevina zabrzmiał bardzo ponuro.

- Czyż nie masz przyzwoitej pracy w jednym z najokazalszych gmachów w kraju i nie zarabiasz na swoje utrzymanie? Nie mogę tego powiedzieć o dwóch twoich braciach. Wspaniałych mam z nich pomocników, szkoda gadać! Jeden chodzi po okolicy niczym Martin de Porres i okrywa swoim płaszczem wszystkich napotkanych biedaków, a drugi to

dandys z rudą czupryną - aż dziw bierze, że zostały mu jeszcze jakieś włosy na głowie, bo bez przerwy je czesze, i że lustra, w których się wiecznie przegląda, nie rozpadły się na kawałki. Ty jesteś najlepszy z moich synów, Kev. Nie zmarnuj swojego życia.

Kev Kennedy bez słowa poszedł na górę, położył się do łóżka i wsłuchiwał w ospały ruch za oknem - za małym oknem nad sklepem, które wychodziło na ulicę.

Okazało się, że dziewczyna Reda ma przyjść z wizytą nazajutrz. Wszyscy zabrali się do porządków, żeby doprowadzić do ładu pokój na zapleczu. Filiżanki zastąpiły kubki, na stole pojawił się czysty obrus, chleb został pokrajany na desce, a potem ułożony na talerzu, żeby nie było okruszyn. Bracia przynieśli ze sklepu szynkę, pomidory, butelkę sosu do sałatek, a Red ugotował na twardo trzy jajka.

- A to dopiero ucza! Dziewczyna natychmiast cię poślubi - orzekł Bart, gdy brat spoglądał w stronę działu z mrożoną żywnością, zastanawiając się, czy nie wziąć jeszcze tortu lodowego.

- Przestań się śmiać. Lepiej rozejrzyj się po pokoju, tak jak gdybyś go widział po raz pierwszy.

Red tym razem był wyjątkowo zdenerwowany. Panna miała na imię Majella, była jedynaczką i przywykła do znacznie lepszych manier, niż te, którymi trzej bracia Kennedy wraz z ojcem mogli się wykazać. Nawet gdyby się bardzo starali. Najwyraźniej jednak żaden z nich, z wyjątkiem Reda, nie miał zamiaru podejmować większych wysiłków - ojciec chciał jak najprędzej wrócić do sklepu, Bart śpieszył się do Judy Hickey, a Kev pragnął pójść nad rzekę, gdzie było miło, spokojnie i cicho, przede wszystkim zaś daleko od tego wszystkiego, co aktualnie działo się w dublińskim magazynie z kuchenkami mikrofalowymi.

Majella przybyła o piątej po południu. Podwiózł ją ojciec, który sam nie złożył wizyty, gdyż było na to o wiele za

wcześniej. Bracia dobili targu: Bart i Kev włożyli marynarki i krawaty oraz wyglansowali buty, a Red zgodził się w zamian pójść do Judy Hickey i przez dwie godziny popracować w jej ogrodzie, ponieważ w tym tygodniu pomoc była jej szczególnie potrzebna. Oni obiecali, że będą się przyzwoicie wyrażać, nie będą jeść palcami ani dłubać w zębach, a on, że nie wprawi ich w zakłopotanie cielecym wyrazem twarzy ani nie każe im oczarowywać Majelli historiami z ich życia. Jeśli rozlegnie się dzwonek sygnalizujący przybycie klientów, zajmą się ich obsługą według kryterium starszeństwa: najpierw pójdzie tata, potem Bart, a na końcu Kev, potem znowu tata i tak dalej. Red przyrzekł, że nie obarczy ich trudem zabawiania Majelli rozmową.

Była uroczą, dojrzałą i mocno stąpająca po ziemi dziewczyną. Gdy nadeszła pora, by zasiąść do stołu, mieli wrażenie, że jest już członkiem rodziny. Pochwaliła ich za to, że podali masło w maselnicy i mleko w dzbanku, a nie w słoiku. Ilekroć odwiedza swoich kuzynów, wszyscy naraz pakują brudne noże do masła; najwidoczniej potrzebują kobiety, która by ich ucywilizowała. Gdy mówiła o dobroczynnym wpływie kobiecej obecności, Red zrobił minę chorego cielaka i trzeba go było kopnąć pod stołem, żeby nie wypadł z roli. Majella oświadczyła, że sama pozmywa naczynia po posiłku, a im zostawi wycieranie. A gdy stwierdziła, że nie ma wystarczająco dużo ścierek, poprosiła Reda, żeby przyniósł ze sklepu paczkę papierowych ręczników.

- Życie tu jak w raj - powiedziała, uśmiechając się szeroko.  
- Czegóż lepszego można sobie życzyć niż sklep tuż za drzwiami?

Uporali się z robotą w mgnieniu oka. Pokój na zapleczu od lat nie wydał im się tak przytulny jak dzisiaj. Potem Majella oznajmiła, że oboje z Redem wybierają się na mały spacer po Rathdoon. O szóstej trzydzięci wyprowadziła z domu pod rękę zarumienionego z zachwyty chłopaka, by odbyć rundę

honorową po miasteczku, którego mieszkanką postanowiła zostać.

- Och, biedny Red. Tej to się już na pewno nie wywinie. Węzeł nieodwołalnie zostanie zawiązany - zaśmiał się dobrodusznie Bart, snując domysły na temat losu swojego brata.

- Nie pleć bzdur! Biedny Red, dobre sobie! Dziewczyna musiałaby być niespełna rozumu albo mieć odwagę lwa, żeby któregoś z was poślubić. - Stwierdzenie ojca zabrzmiało bardzo pesymistycznie.

- Chcesz powiedzieć, że ona jest obłąkana? - zainteresował się Kev. - Sądziłem, że to dziewczyna z klasą.

- Jest bardzo miła, i jak dla niego, o wiele za dobra, to oczywiste. Chodzi o to, czy w porę to sobie uświadomi. - Bart i Kev wymienili między sobą spojrzenia. Ojciec był najwyraźniej w rozterce: zachwycała go myśl o obecności w ich domu uroczej i pogodnej Majelli, a jednocześnie uczciwość nakazywała mu ostrzec dziewczynę, że poślubienie jego syna nie będzie najrozsądniejszą decyzją w jej życiu.

- Może pozwólmy jej samej się o tym przekonać? - zaproponował Bart, a ojciec przyjął jego sugestię z wyraźną ulgą.

Kev uświadomił sobie nagle, że Bart jest bardzo rozsądny. I wcale nie taki wielki z niego świętoszek, jak twierdzi ojciec. Ale stoi po drugiej stronie barykady i - w przeciwieństwie do Kevina - nie należy do środowiska przestępczego. Tak więc jakakolwiek rozmowa z nim na ten temat nie wchodzi w rachubę.

- Nie miałbyś ochoty na piwo „U Ryana”, zanim zejdzie się tam tłum gości? - zaproponował Bart. Kev był zadowolony.

- Tak, teraz rzeczywiście jest najlepsza pora - przyznał z namysłem. Ojciec wrócił już do sklepu i włączył radio w oczekiwaniu na dziennik.

Wyszli na ulicę, gdzie panował spokój. Ludzie siedzieli w domach przy herbacie. Z wielu okien dobiegał głos spikera czytającego wiadomości. Była szósta trzydzieści. Minęli

smażalnię Burnsów. Mikey zastępował dzisiaj Billy'ego w towarzystwie pogodnej, małej Treasy. Nigdzie nie było widać nowej pracownicy, Eileen, która zawsze wydawała się zbyt reprezentacyjna, aby życie miało jej upłynąć na wyjmowaniu z zamrażarki dorszy czy skrzydełek kurczaka. Dotarli do mostu. Bart przechylił się przez balustradę i spojrzał na rzekę. Gdy byli dziećmi, zwykli puszczać pod mostem patyki i zawsze zażarcie kłócili się o to, czyj patyk pojawił się do drugiej stronie pierwszy, dopóki Bart nie wpadł na pomysł wiązania na ich końcach kolorowych nitek. Od tamtej pory zdawały się upłynąć całe wieki.

- Co cię gryzie? - spytał Bart.

- Nie rozumiem, o co pytasz.

- Może nie należę do najbystrzejszych ludzi na świecie, ale nie jestem ślepy. Powiedz mi, o co chodzi, Kev. Nie chcesz? Nic się nie stanie, jeśli wyrzucisz to z siebie. Kto wie, może poczujesz się lepiej? Nie zamierzam cię o cokolwiek winić, ale jestem przekonany, że w Dublinie spotkało cię coś złego, nie myślę się, prawda?

- Tak, zgadłeś.

- Zanim Red nie zadurzył się po uszy i był jeszcze w stanie logicznie rozumować, wybrał się tutaj razem ze mną któregoś dnia na przechadzkę. Zastanawialiśmy się wspólnie, co cię gnębi.

Na myśl o swoich dwóch braciach, którzy byliby gotowi stawić czoło straszliwej bandzie Pelikana, Kev poczuł wzbierające łzy.

- A jak sądzisz, co mogło mi się przytrafić? - spytał zdenerwowany, badając, czy Bart podejrzewa, jak zły obrót przyjęły sprawy, czy też sądzi, że Kev wciąż jeszcze żyje w świecie przypominającym plac zabaw dla dzieci.

- Początkowo przypuszczałem, że jakaś dziewczyna wpędziła cię w kłopoty, ale to już ciągnie się zbyt długo. Potem sądziłem,

że masz długi - że przegrałeś w pokera lub na koniach - ale zdaje mi się, że gry hazardowe również cię nie interesują.

Na dużej, niewinnej twarzy Barta malowało się zaciekawienie. Kev wziął głęboki oddech. Wygląda na to, że brat zdoła znieść całą prawdę. Tylko jaki będzie jego następny krok? Czy spokojnie przyjmie historię, która zaczęła się w dniu jego, Kevina, dwudziestych pierwszych urodzin, to jest przed półtora rokiem, czy też pobiegnie na posterunek policji? Kev nie potrafił tego przewidzieć. Bart podniósł z ziemi suchą gałązkę i obwiązał ją nitką.

- Proszę, ta będzie twoja - zwrócił się do Kevina. - I tak cię pokonam.

Rzucili patyki za balustradę i przebiegli na drugą stronę mostu, aby obserwować ich dalszą drogę. Badył Kevina pojawił się pierwszy.

- Jak to się stało, że wygrałeś? - zdziwił się Bart. - Sądziłem, że wiem, jakiego kształtu patyk najszybciej płynie z prądem.

Kev postanowił zwierzyć się bratu, a gdy już zaczął, dalsza opowieść potoczyła się gładko: była to mieszanina imion i nazw artykułów handlowych - Kuternoga Casey i kuchenki mikrofalowe, Głupol i kryształ, Pelikan i wełniane dywany. Kev nie przypisywał sobie roli gwiazdora w relacjonowanych wydarzeniach. Przyznał, że jedynym przebłyskiem jego geniuszu są cotygodniowe powroty do domu liliowym autobusem, dzięki czemu nie zostaje zamieszany w najpoważniejsze przestępstwa, dokonywane w mieście podczas weekendów. Tkwi w tym po same uszy i nie ma już od tego odwrotu. Bart musi o tym wiedzieć - wszyscy znają tę prawdę z filmów. Gdyby on, Kev, powiedział Głupolowi, że chce się wycofać, niewątpliwie konsekwencje takiej decyzji byłyby dla niego straszliwe, choć nie potrafiłby ich dokładnie przewidzieć. Nie sądzi, żeby go pobili. Żarliwie zapewnił Barta, że nigdy nie stosują przemocy. Ale jest pewien, że ukaraliby go w inny sposób, nasyłając na niego policję albo przekazując informację

panu Daly'emu, że Kevin wziął łapówkę za ułatwienie kradzieży sanitariów. Świadomość, że się nigdy nie wyzwoli spod wpływu bandziorów, to istny koszmar.

W trakcie spowiedzi nie śmiał spojrzeć na brata. Lecz kiedy przypadkiem skierował na niego wzrok, odniósł wrażenie, że Bart się uśmiecha. Może nie pojmował wagi całej sprawy? W pewnym momencie Kev był prawie pewien, że brat się roześmiał i pośpiesznie zakrył dłonią twarz.

- Tak więc teraz sam rozumiesz, że ugrzęzłem w tym na dobre - zakończył.

- Nie sądzę - oświadczył wolno Bart.

- Życie wygląda tam inaczej niż tutaj. To nie są ludzie naszego pokroju.

- Z pewnością uważają cię za swojego człowieka, w przeciwnym razie nigdy by cię w to nie wciągnęli.

- Przecież powiedziałem ci, jak to się stało. Nie mam złodziejskiej natury i wystarcza mi pensja za uczciwie wykonywaną pracę. Nie jest zawrotna, ale i nie najgorsza. I kiepski ze mnie przestępca.

- Nie twierdzę, że jesteś typem złodzieja, jak oni, ale że łączącą was cechą jest skrytość. Polubili cię za to, że nie zwykłeś paplać o tym, kogo znasz ani co robisz. To utwierdziło ich w przekonaniu, że zachowasz w tajemnicy również znajomość z nimi.

- I zachowałem... aż do teraz.

- A zatem jeśli chcesz się od nich uwolnić, możesz to zrobić w prosty sposób. Zawiadom ich, że pracujesz teraz dla innego gangu. Nikt nie będzie żywił do ciebie urazy, uściśnięcie sobie dłonie, wypijecie jedną kolejkę i na tym koniec.

- Bart, ty nie masz pojęcia...

- Nadal uważają cię za twardziela, pomimo że kilka razy nie zdołałeś ukryć zdenerwowania. Nigdy się o nic nie dopytywałeś ani nie próbowałeś ustalić, co potem robią z towarem.

Prawdopodobnie biorą cię za dyskretnego kryminalistę i będą sądzić, że ktoś przedstawił ci lepszą ofertę.

- Nie przypuszczam, żeby mieli o mnie aż tak wysokie mniemanie.

- Muszą mieć, skoro pozwalają ci uczestniczyć we wszystkich skokach. Opuść ich w ten sam sposób, w jaki się do nich dołączyłeś - bez dyskusji i bez wyjaśnień, oprócz tego, jakie im się należy: że masz nową robotę na oku.

Kev osłupiał ze zdumienia: Bart mówiący o nowej robocie i o wyjaśnieniach należących się gangsterom! Koniec świata!

- Nie sądzę, żebym był w stanie przez to przebrnąć.

- Zdołałeś się do nich przyłączyć, a to było trudniejsze.

- Czy powinienem im oddać forszę?

- Co im oddać?

- Mój udział, skoro się wycofuję.

- Twój udział. Wciąż go masz?

- Oczywiście, nie wydałem ani pensa... na wypadek... rozumiesz... gdyby sprawa trafiła do sądu i musiałbym zwrócić te pieniądze.

- Gdzie one są?

- W pokoju na górze.

- W Dublinie?

- Nie, w naszym domu pod łóżkiem

- Chyba nie mówisz tego poważnie.

- A co miałem z nimi zrobić, Bart? Przywożę je ze sobą co tydzień, a potem zabieram z powrotem. Przechowuję je w małej paczce pomiędzy ubraniami.

- Ile ich jest?

- Obawiam się, że około czterech tysięcy dwustu funtów - odparł Kev ze spuszczonego wzrokiem.

Gdy wreszcie podniósł oczy, Bart się uśmiechał i patrzył na niego z dumą.

- Czy to nie bezpośrednia interwencja samego Boga? - spytał. Kev nigdy w ten sposób tej sprawy nie postrzegał. Pomimo całej



zawiłości jego relacji z Bogiem i bezosobowego charakteru ich wzajemnych stosunków nie mógł sobie wyobrazić, aby Stwórca był zachwycony, że tak olbrzymia suma znalazła się pod łóżkiem w Rathdoon.

- To rozwiązuje wszelkie nasze problemy - stwierdził Bart. - Kiedy Red zaczął się zalecać do Majelli, naszą radość zakłócał jedynie brak gotówki na rozbudowę domu. Obawialiśmy się, że stanie się teraz dla nas wszystkich za ciasny. Postanowiliśmy powiększyć go o dobudówkę z prefabrykatów. Czy pojmujesz, o czym mówię?

Kev przytaknął.

- Obaj z Redem obawialiśmy się jednak, że tkwisz po uszy w kłopotach finansowych, i dlatego woleliśmy nie zaciągać zbyt dużej pożyczki. A tymczasem okazało się, że jesteś milionerem. Teraz możemy przystąpić do realizacji naszych planów, a jeśli zechcesz nas trochę wspomóc...

- Chętnie to zrobię, ale czy, twoim zdaniem, nie powinienem zaproponować gangowi zwrotu moich udziałów, skoro postanowiłem się wycofać?

- Cóż z ciebie za kryminalista? - obruszył się Bart. - Domyśla się natychmiast, że mają do czynienia z głupcem, jeśli zaczniesz się tak bezsensownie zachowywać. Musisz sprawiać wrażenie człowieka, którego nie zadowolają dotychczasowe udziały. A chyba nie zamierzasz dawać im łapówki?

- Oczywiście że nie.

- Nie ma sposobu, żebyś mógł zrekompensować ludziom straty z powodu skradzionych dywanów, urządzeń sanitarnych czy mikrofalówek...

- Z mikrofalówkami nie mam nic wspólnego - skok był zaplanowany na ten weekend.

- A widzisz? - Bart czuł, że dowiódł swoich racji. - Na co zatem zamierzasz przeznaczyć te pieniądze? Czy rozbudowa rodzinnego domu nie jest dobrym celem?

Kev był szczerze zdumiony. Żadnych kazań, pretensji ani wyrzutów. Tylko brutalna, praktyczna rada, jak gdyby brat znał ludzi pokroju Pelikana czy Głupola. Po głębszym namyśle Kev doszedł do wniosku, że to najwłaściwszy sposób na załatwienie tej sprawy. Potem już nie musi się z nimi więcej spotykać.

- Dzisiaj przekażę ci całą tę kwotę, Bart - obiecał ochoczo.

- Co powiemy, jeśli ktoś nas zapyta, skąd ją mamy?

- Część pieniędzy zatrzymasz i umieścisz na swoim koncie. O niczym nikomu nie powiemy, tak jak zwykleś to robić przez całe swoje życie. W poniedziałek skontaktujemy się z ekipą budowlaną. Czyż może być coś bardziej naturalnego, niż to, że faceci z prowincji, tacy jak my, trzymają gotówkę w papierowych torbach pod łóżkiem? Budowlańcy będą zachwyceni - unikną płacenia VAT-u i innych podatków.

Kev był ogłuszony. Świętoszek Bart i szara strefa ekonomiczna!

- Wielkie dzięki za hojną dotację. Dzięki niej rozbudujemy dom, tak aby pomieścił w przyszłości całe stadko młodych Kennedych, które wyda na świat Majella.

Z mostu do wody wpadł kamień. Kev Kennedy nie drgnął nerwowo, a jego oczy nie rozszerzyły się ze strachu.

## Rupert

Zabrał ze sobą paczkę miętusów, ponieważ Judy Hickey powiedziała mu w zeszłym tygodniu, że śmierdzi czosnkiem. Lubi wszystkie dobre ziołowe zapachy, lecz nie ma ochoty przez trzy godziny siedzieć w minibusie obok gąbki nasiąkniętej wonią kuchni. Zabawna ta Judy - gdyby ją spotkał przypadkiem w Dublinie, nigdy by nie przypuszczał, że pochodzi z jego rodzinnej miejscowości. Nie była podobna do większości mieszkanek Rathdoon. Powiedział jej to kiedyś, a ona odparła, że to samo odnosi się do niego - czyż pasuje do tego miasteczka szczupły młodzieniec wyznania protestanckiego, o bladej twarzy i wygładzie młodego artysty?

Ale Judy się myliła. Wszystkie większe osiedla na zachodzie kraju zamieszkiwały całe rzesze protestantów, którzy stanowili ich integralną część - tak jak góry, budki telefoniczne czy małe, pełne uroku świątynie, niezbyt licznie zapełnione wiernymi, sąsiadujące z nowszymi i pękającymi w szwach kościołami katolickimi. Rupert uznał jednak, że nie ma sensu wyjaśnianie jej tego wszystkiego ani tłumaczenie, że ona sama z powodu swojej ciemnej karnacji, cygańskiej urody, miejsca zamieszkania - stróżówki na końcu podjazdu do dworu Doonów - a także uprawy ziół i prowadzenia sklepu ze zdrową żywnością w Dublinie jest o wiele bardziej niezwykła niż on. Powiedział kiedyś, że w innych czasach zostałaby niechybnie spalona na stosie. Judy zawyrokowała ponuro, że sądząc po tym, co się obecnie dzieje w kraju, może się to jeszcze wydarzyć, i dlatego nie powinien sobie z tego żartować.

Pachniał czosnkiem, ponieważ, jak w każdy piątek, był na bardzo dobrym lunchu. Zawsze wracał dopiero w niedzielę o późnej porze - nieodpowiedniej na obfite jedzenie. W piątki miał jedyną okazję, aby przed wyjazdem do Rathdoon delektować się posiłkiem w atmosferze odprężenia przed zbliżającym się weekendem. Oczywiście pozostawała jeszcze

reszta tygodnia, ale to już nie było to samo -zwykle dni pracy - a w piątki Rupert miał więcej czasu, czuł się swobodniejszy i ogarniał go radosny, pełen wyczekiwania nastrój. Bardzo niechętnie opuszczał Dublin. Nie znosił powrotów liliowym autobusem do swojego rodzinnego miasta.

Przez całe życie ani razu nie posprzeczał się z ojcem i, jeśli dobrze sobie przypominał, zaledwie trzy razy poróżnił się z matką. Zdarzyło się to jeszcze w czasach szkolnych, kiedy to trzykrotnie pisała do dyrektora szkoły, aby się upewnić, czy pościel uczniów jest wietrzona. Nie znał nikogo, komu tak dobrze jak jemu układałyby się stosunki z rodzicami. Wszyscy inni staczali z nimi zaciekle boje, przebaczali im, kochali ich lub nienawidzili, awanturowali się, drwili albo otaczali ich nadmierną opiekuńczością. Nikt nie zachowywał w relacjach z rodzicami grzecznego i uprzejmego dystansu, opartego wyłącznie na wdzięczności oraz poczuciu obowiązku. I nikt nie potrafił lepiej od niego, Ruperta, stłumić rozpierającej go złości.

Problem polegał na tym, że Rupert nie był rodzicom potrzebny, podobnie jak oni jemu, choć życzył im jak najlepiej. Po co więc ta gra pozorów, która tylko utrudnia sprawę? I to nie tylko Rupertowi, choć jemu przede wszystkim. W końcu oni swoje życie mają już za sobą, a jego jeszcze się naprawdę nie zaczęło i w obecnej sytuacji nie mogło zacząć.

Obeszło się bez kłótni nawet wtedy, kiedy Rupert postanowił rzucić studia prawnicze. Odbywał praktykę w jednej z dublińskich kancelarii, uczęszczał na wykłady w Stowarzyszeniu Prawników, a jednocześnie przygotowywał się do uzyskania stopnia naukowego w Trinity. Nie wymagało to nadludzkiego wysiłku i wiele osób podołało wszystkim tym obowiązkom, on jednak nie potrafił sprostać żadnemu z nich. To dziwne, lecz odpowiadała mu tylko praca biurowa - urzędnicza praktyka, której Dee Burkę tak nie znosiła. Ku swojemu zaskoczeniu, zawarł bardzo niewiele przyjaźni w Trinity. Sądził,

że na uczelni będzie czuł się podobnie jak w szkole, gdzie było miło i panowała ciepła, przyjazna atmosfera.

Kiedy się dowiedział, że zawałił pierwszy rok studiów, wrócił do domu z ciężkim sercem. Nie starał się usprawiedliwiać przed ojcem. Przeprosił go tylko, jak nieznanego, a ojciec przyjął jego przeprosiny, jak gdyby otrzymał je od dobrze wychowanego, lecz zupełnie obcego mężczyzny. Siedzieli naprzeciwko siebie przy stole, a matka przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

Rupert uznał swoją winę, twierdząc, że roztrwonił pieniądze ojca i że przyniósł mu wstyd. Ojciec starał się zbagatelizować sprawę: ależ skąd, ludzie często oblewają pierwsze egzaminy, nie ma powodu do alarmu, nawet najwięksi prawnicy utrzymują, że nigdy nie byli wzorowymi studentami - nie ma za co przeproszać, trzeba to złożyć na karb młodości i potrzeby nacieszenia się swobodą. W przyszłym roku musi poważniej zabrać się do pracy i więcej czasu spędzić nad książkami.

Do późnego wieczora Rupert tłumaczył rodzicom, że nie nadaje się do tego zawodu. Nie chce zostać prawnikiem. Nie sądzi, żeby podobało mu się prowadzenie kancelarii ojca - nie przepada przecież za praktykami w Dublinie. Lubi jedynie typowo urzędniczą, wykonywaną mechanicznie pracę. Nie zdołał zainteresować się teorią prawa ani procedurami wymiaru sprawiedliwości. Jest mu bardzo przykro, że sprawy przyjęły taki obrót. Woli jednak od razu wyjawić im całą prawdę, niż czekać, aż sami ją odkryją. Nie mogli odmówić mu słuszności. Spyтали go, co ma ochotę robić. Nie umiał odpowiedzieć. Dotychczas był pewien, że polubi Trinity i studia prawnicze, dlatego się jeszcze nad tym nie zastanawiał. Przyjemność sprawiało mu rozmyślanie o codziennym życiu ludzi i o domach, w jakich mieszkają. Ojciec pragnął się dowiedzieć, czy syn nie chciałby rozpocząć studiów architektonicznych. Rupert odparł z rozpaczą, że nie chce się dalej kształcić. Oświadczył, że myśli o podjęciu pracy. Rodzice nie mogli tego pojąć: sądzili, że

najpierw należy uzyskać dyplom wyższej uczelni, a dopiero potem ubiegać się o atrakcyjną posadę. Kiedy zdobył stanowisko młodszego agenta w biurze pośrednictwa handlu nieruchomościami, oświadczyli, że skoro ten zawód mu się podoba, są zadowoleni. Nie sprawiali wrażenia zawiedzionych. Wydawali się jak zwykle obojętni i obcy.

Ojciec zachował niewzruszony spokój również wtedy, kiedy zawiadamał Ruperta, że nadszedł czas, aby przyjąć drugiego prawnika do kancelarii i że zamierza złożyć ofertę pracy synowi Davida MacMahona, skoro Rupert jest całkowicie pewien, że nie chce kontynuować tradycji rodzinnych. Rupert zapewnił, że nie ma nic przeciwko temu. Dopiero gdy uświadomił sobie, że młody adwokat uzyska pozycję wspólnika ojca i że nazwa kancelarii zostanie zmieniona na „Green i MacMahon”, zapiekło go do żywego. Rodzice kilka razy pytali, czy nie myśli o przeniesieniu się na stałe do Rathdoon i o założeniu własnej agencji handlu nieruchomościami - tu też przecież wystawiano na sprzedaż wiele domów i garaży. „Nie zaszkodziłoby się z tym pośpieszyć i nie dać się uprzedzić Billy'emu Burnsowi” - zasugerowała matka, Rupert jednak oświadczył grzecznie, lecz stanowczo, że nic takiego go nie interesuje. Nie pozostawił im cienia wątpliwości, że jego życiowe plany są związane wyłącznie z Dublinem. Stało się to w dniu, kiedy matka zastanawiała się, czy nie pokryć domu nowym dachem - im dwojgu stary w zupełności by wystarczył, a dla kogo mieliby go wymieniać?... Rupert udzielił rzeczowej odpowiedzi, jak gdyby jej pytanie nie płynęło z głębi serca i nie było ostatnią, rozpaczliwą wymówką. Mówił o dachach i ich wpływie na wartość nieruchomości. Rozważał wszystkie za i przeciw, nie angażując się osobiście w plany rodziców, jak gdyby został w tej sprawie zagadnięty przez przypadkowego turystę.

Matka próbowała go kilka razy ostrożnie wypytać, czy nie poznał w Dublinie jakiejś sympatycznej dziewczyny. Wkrótce jednak zaniechała dociekań. Był zmuszony odpowiedzieć jej w

sposób stanowczy - ma zaledwie dwadzieścia pięć lat, a mężczyźni w tym wieku, zgodnie z powszechnymi oczekiwaniami, umawiają się z dziewczynami na randki. Nikt nie wiedział przecież, że to nie z nimi się spotyka, lecz z Jimmym.

Na samą myśl o Jimmym poczuł ucisk w gardle. Widzieli się dzisiaj na lunchu; ich wspólne piątkowe posiłki stały się czymś w rodzaju rytuału. Jimmy nie miał w piątek popołudniowych zajęć: chłopcy mieli kłopoty ze skupieniem się nad nauką, odbywały się więc tylko lekcje rysunków lub muzyki. Rupert zauważył z pewnym zaniepokojeniem, a jednocześnie z przyjemnością, że nastrój beztroski ogarnia w piątkowe popołudnia nie tylko dublińskich licealistów. W te dni niewiele działo się w agencji, ludzie wcześniej niż zwykle wychodzili na lunch, chcąc go spożyć w domu - nawet jeśli mieszkali na przedmieściach - a w biurze po ich powrocie, o ile w ogóle wracali do pracy, panował identyczny hałas jak w pobliskim pubie. Rupertowi odpowiadał ten stan rzeczy. Mógł zmitrężyć na posiłek ponad godzinę bez narażania się na wysłuchiwanie zbędnych pytań. Znaleźli odpowiadającą ich gustom restaurację (co nie było łatwe, zważywszy na różne upodobania kulinarne), gdzie mile upływał im czas.

To Jimmy nalegał, żeby Rupert jeździł co tydzień do domu i to on znalazł dla niego liliowy autobus. Żałował, że nie mogą razem spędzać weekendów, ale skoro starszy pan zawsze okazywał synowi wyrozumiałość, czyż Rupert nie jest zobowiązany regularnie go odwiedzać teraz, kiedy ojciec ma przed sobą zaledwie kilka miesięcy życia? Powinien też pomyśleć o matce, która czeka na niego przez cały tydzień. Ani razu nie pozwolił Rupertowi wykręcić się przeziębieniem. W tej kwestii był nieugięty.

Zresztą miał sprecyzowane poglądy we wszystkich sprawach - na tym polegał jego urok. Nad niczym się nie zastanawiał, nigdy nie nachodziły go wątpliwości i, wypowiadając się, nie

dobierał wyważonych słów. A jeśli czasami się pomylił, zawsze potrafił uznać swój błąd.

- Nie miałem racji co do faceta, który wymyślił linię odblaskową widoczną nocą na jezdni. Przypisywałem tę zasługę komuś zupełnie innemu. Nie mogłem palnąć większego głupstwa. - I odtąd stawał się wyznawcą nowego poglądu. Nie zmieniał tylko zdania na temat cotygodniowych powrotów Ruperta do domu.

Sam nie miał dokąd jeździć w piątki, gdyż jego rodzinny dom znajdował się tutaj, w Dublinie. Jimmy był najmłodszy z całej szóstki rodzeństwa, a jego dwie siostry i trzech bracia poszli drogą wybraną przez ojca, to znaczy zaangażowali się w kolportaż gazet. Jedni sprzedawali czasopisma na ruchliwych rogach ulic, inni mieli kioski i handlowali również lodami oraz kartkami urodzinowymi. Pomimo to ojciec Jim-my'ego czuł się zawiedziony i zwykł mawiać ponurym tonem: „Zawsze znajdzie się jeden przemądrzały młokos, któremu nic nie trafi do rozsądku”. Gdy Jimmy był młodszy, cieszył się specjalnymi względami u wszystkich członków rodziny, którzy zachęcali go do książek, a potem namawiali, żeby skończył uniwersytet i zajął się nauczaniem w jednej z ekskluzywnych szkół. Stroili sobie żarty z jego homoseksualnych skłonności, choć nigdy nie nazwali rzeczy po imieniu - nie mieli całkowitej pewności. Każdy człowiek z głową nabitą wiedzą, a za takiego go uważali, nosił się z pewną przesadą. Zarzucali mu, że ma nazbyt taneczne ruchy, pokpiwali z jego stroju, szukali - na próżno - kolczyka w jego uchu i, naśladowując sposób mówienia pederastów z telewizji, zwykli do niego mawiać: „Och, Jimmy, jesteś okropny”.

Widywał się jednak z nimi co tydzień. Wszyscy schodzili się do małego, ciasnego domu, rozmawiali o konkurencji na rynku i o tym, które z czasopism zostaną natychmiast wycofane ze sprzedaży przez cenzora, gdy tylko wpadną w ręce przedstawiciela rządu. Dyskutowali o poczytności poszczególnych dzienników i o nieopłacalności kolportażu tych



magazynów, które nie zdołają przetrwać na rynku. Opowiadali o długich i cienkich patykach, jakich używają do bicia po łapach dzieciaków usiłujących kraść komiksy. Jimmy włączał się zwykle do rozmów, zadając rodzeństwu pytania. Zawsze przynosił duże ciasto z kremem z eleganckich delikatesów, gdzie obaj z Rupertem często robili zakupy. Jego bracia dostaliby zbiorowego ataku serca, gdyby się dowiedzieli, ile kosztowało. Matka zwykła mawiać, że jest bardzo smaczne, choć w samym środku trochę zakalcowate. Jimmy zgarniał kawałek najbardziej nasączony cointreau lub calvadosem i zjadał go łyżeczką. Bracia zgodnie przyznawali, że to dość dobry wypiek, przypominający biszkopty w kremie z czasów ich dzieciństwa.

Wszystko było bardzo proste, kiedy miało się taką rodzinę. Całkowicie pochłonięci własnymi sprawami, o nic Jim-my'ego nie wypytywali. Gdyby zniknął na dobre z ich życia, wspominaliby go z czułością. Czasami Rupert żalił się na swój los, tak bardzo odmienny, nigdy jednak nie znajdował zrozumienia u Jimmy'ego.

- Jesteś trudną i nadwrażliwą osobą, Roopo - zwykł mawiać przyjaciel. - Nawet gdybyś miał rodzinę podobną do mojej, również czułbyś się zagrożony i udręczony.

Rupert odpowiadał śmiechem.

- Nie nazywaj mnie w ten sposób. To brzmi jak nazwa jakiegoś egzotycznego ptaka.

- Właśnie taki jesteś: przypominasz nastroszonego egzotycznego ptaka, dla którego niemal każde warunki klimatyczne okazują się nieodpowiednie!

Rupert poznał Jimmy'ego pewnego wspaniałego dnia w agencji. W oknie wystawowym umieszczono właśnie zdjęcie „uroczej i oryginalnej wiejskiej chaty”. Znajdowała się trochę zbyt daleko od centrum, w niezbyt modnej okolicy, i nawet w najbardziej optymistycznym opisie nie można jej było uznać za odpowiadającą najnowszym trendom.

Gdy Jimmy wszedł do biura, Rupert od razu zwrócił uwagę na tego drobnego mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym, w ciemnych okularach i o opadających na czoło blond włosach. Nieznajomy wydał mu się dziwnie bezbronny. Rupert nie mógł pojąć, dlaczego natychmiast do niego podszedł, choć panna Kennedy stała bliżej. W tamtym momencie nie był jeszcze nim zafascynowany. Pragnął jedynie dopilnować, żeby został obsłużony jak należy. Jimmy przyglądał się z uwagą zdjęciu chaty, a jego twarz rozjaśniał entuzjastyczny uśmiech.

Rupert opisał mu wszystkie wady i zalety wystawionej na sprzedaż nieruchomości. Wśród negatywów wymienił dach, dużą odległość do miasta oraz paskudne głązy w ogrodzie, dumnie nazywane alpinarium. Do pozytywów zaliczył wyjątkowo niską cenę, położenie budynku w odosobnionym i pełnym uroku miejscu oraz możliwość przerobienia przybudówki na niezależne mieszkanie, i to niedużym nakładem finansowym. Jimmy słuchał ze wzrastającym zainteresowaniem i chciał jak najprędzej obejrzeć dom. Rupert zawiózł go tam i gdy stali pośród porośniętego chwastami skalniaka, gdy wspięli się na mury przybudówki i stwierdzili, że jej dach jest w doskonałym stanie, wiedzieli, choć nic jeszcze nie zostało powiedziane, że planują wspólną przyszłość.

- Niezbyt dogodne miejsce, zważywszy na konieczność dojazdów do pracy - zauważył Rupert.

- Nie zależy mi na tym, żeby mieszkać blisko pracy. Szczerze mówiąc, chcę znaleźć sobie dom usytuowany jak najdalej od szkoły i wściebskich oczu, aby móc żyć w sposób nieskrępowany i zgodny z własnymi upodobaniami.

Ruperta ogarnęło niewytłumaczalne uczucie zaborczości.

- Jak sądzisz, czy będziesz skłonny wziąć lokatora, jeśli zdecydujesz się kupić tę chatę?

- Być może - odparł Jimmy opanowanym tonem. - Nie mam na razie żadnych planów.

Nabył tę nieruchomość. Dzięki czteroletnim oszczędnościom został uznany za wypłacalnego klienta. W agencji byli z Ruperta bardzo zadowoleni: chata zbyt długo figurowała już w ofertach. Kiedy negocjacje dobiegły końca, Rupert poczuł się bardzo samotny. Odtąd mały, uśmiechnięty Jimmy miał wieść własne życie w wystawionym na działanie wiatrów domu - zbuduje mur jako osłonę przed nimi, tak jak to wspólnie ustalili, i wyremontuje drugą część budynku, pobieli go, być może pomaluje drzwi na czerwono, posadzi pelargonie i znajdzie odpowiedniego lokatora. W ten sposób uzyska środki na spłatę długu hipotecznego. A Rupert nigdy więcej nie usłyszy o jego chacie. Ani o nim.

Jimmy zatelefonował w piątek.

- Czy możesz mi pomóc, Rupercie? Straciłem cały zapał, jaki towarzyszył mi w chwili zakupu tej nieruchomości. Nie mogę pojąć, dlaczego wydawała mi się aż tak wspaniała. Czy przyjedziesz, żeby mi o tym przypomnieć?

- Oczywiście - odparł powoli Rupert. - Zrobię to z największą przyjemnością.

Przez cały dzień był jak w transie. Prawie nie słyszał tego, co ludzie do niego mówią. Wszystko stało się teraz zupełnie jasne: jego zmieszanie, poczucie winy oraz nadzieja, że pewnego dnia zjawi się kobieta i pomoże mu zapomnieć o krótkotrwałych epizodach, które bardziej zatrzymały go, niż przynosiły satysfakcję. Przez cały czas jednak dobrze wiedział, że nigdy nie będzie żadnej kobiety, która wzbudzi w nim pożądanie. Ale czy prawidłowo odczytał sygnały? A jeśli Jimmy jest tylko miłym młodym człowiekiem, który nie miał na myśli nic więcej niż tylko wesołą pogawędkę z uprzejmym agentem handlu nieruchomościami? I opowie mu o swojej narzeczonej albo o jakiejś zameźnej damie, z którą zamierza się potajemnie spotykać? Pomimo wątpliwości Rupert pojechał. Ryzykował tylko, że straci pół godziny. Przecież w razie pomyłki już nigdy

nie musi zaglądać w tamte strony. Jimmy stał przy bramie. I czekał na niego.

Rupert wiedział, że wszystko ułoży się po jego myśli.

I wszystko układało się wspaniale od trzech lat. Wyremontowali obie części domu, wkładając w to tyle serca, że teraz nieruchomość rzeczywiście zasługiwała na entuzjastyczny opis w katalogu agencji. Tyle tylko, że nikt nie planował wystawiania jej na sprzedaż. Budynek z przybudówką mógł nawet sprawiać wrażenie dwóch odrębnych domów. Nigdy jednak nie zaistniała konieczność stwarzania pozorów. Ilekroć Jimmy zapraszał swoich bliskich, żeby przyjechali zobaczyć, jak mieszka, dziękowali mu, zapewniając, że go odwiedzą, i nigdy się nie zjawiali. Rupert nie nalegał, żeby jego rodzice - ludzie w podeszłym wieku - wybrali się do Dublina. Pokazał im tylko zdjęcia przedstawiające należącą do niego część domu. A także fotografie ogrodu. Obaj z Jimmym założyli ogromne alpinarium. Posiadali teraz rozległą wiedzę na temat roślin skalnych. Mieli przestronną kuchnię z blatami po obu stronach zlewozmywaka, dzięki czemu mogli jednocześnie kucharzyć, jeśli mieli na to ochotę. Każdego zarobionego pensa wydawali na dom. Wkrótce znaleźli sobie przyjaciół, którzy przyjeżdżali czasami na obiad, podziwiali efekty ich pracy lub udzielali rad, lecz przede wszystkim okazywali im podziw. Wszystko układało się doskonale i żyli w atmosferze niczym nie zmaconego szczęścia.

To był powód, dla którego Rupert tak niechętnie wyjeżdżał na weekendy. Przedtem w soboty zwykli spędzać najbardziej błogie chwile, robiąc razem zakupy i przygotowując posiłki - nie tylko dla Martina, Geoffa i innych przyjaciół homoseksualistów, lecz także dla miłego młodego małżeństwa, które mieszkało w sąsiedztwie i zajmowało się ich ogrodem, kiedy spędzali urlop w Maroku. Czuli się swobodnie w towarzystwie tych ludzi, a także w obecności kilku osób z agencji handlu nieruchomościami, którzy nie brali im za złe ich związku. Tylko w szkole Jimmy'ego i w rodzinnym mieście

Ruperta zachowanie pozorów było sprawą o zasadniczym znaczeniu.

Konieczność utrzymywania w tajemnicy w osiemdziesiątych latach bieżącego stulecia swoich homoseksualnych skłonności Jimmy uważał za nedorzecznosc. Gdyby tylko mógł, nie kryłby się z nimi. Ale to nie wchodziło w rachubę - rodzice chłopców sądziliby, że patrzy na nich pożądliwie.

- Nie interesuje mnie żaden z tych usmarowanych atramentem, brudnych i ciemnych jak tabaka w rogu dzieciaków. Tylko na tobie mi zależy, mój ty piękny, ciemnowłosy i ukochany Rupercie.

A Ruperta przepelniała radość i poczucie dumy, że Jimmy potrafi mu to wszystko otwarcie powiedzieć. Czasami sam też próbował zachowywać się spontanicznie, ale sprawiało mu to duże trudności. Judy Hickey wytknęła mu kiedyś, że jest trochę za sztywny i zawsze „zapięty na ostatni guzik”. Zastanawiał się nieraz, czy ona wie, że jest pederastą. Pewnie tak. Nigdy jednak nie miał okazji, żeby z nią o tym porozmawiać ani żeby zaprosić ją i pokazać alpinarium, które ogromnie by się jej spodobało.

Był zdecydowany niczego przed nią nie ukrywać - w końcu ona też kiedyś stała się główną bohaterką skandalu, gdy przed wieloma laty prowadziła swoje ciemne interesy. Byłaby zadowolona, wiedząc, że jeden z mieszkańców Rathdoon ma również swój wielki sekret. Nie potrafiłby się tylko przyznać, że prawdziwym powodem jego niechęci do opuszczania Dublina w piątki jest obawa, że Jimmy znajdzie sobie kogoś innego. Jeżeli już nie znalazł.

Podczas lunchu w ostatni piątek Rupert spytał przyjaciela, co będzie robił przez całą sobotę i nie otrzymał satysfakcjonującej odpowiedzi. Martin i Geoff zaprosili kilka osób na drinka, więc być może zajrzy do nich wieczorem. Sprawdzi klasówki i spróbuje naprawić od dawna szwankujący adapter stereo - wyjaśnienia były bardzo mgliste. A jeśli Jimmy zdążył już zapalać sympatią do kogoś innego? Na myśl o tym Ruperta

przeszedł zimny dreszcz, jak w chwili zetknięcia się dłoni z wyjętym z zamrażarki bochenkiem chleba. Nikomu nie wyjawiłby swoich obaw. Nie zdradziłby się z nimi przed żadną osobą na świecie.

Łatwo rozmawiało się z Judy. Powiedziała mu o swoich małych pachnących poduszczykach z ziołami, a on wspomniał o wrzawie, jaka powstała w związku z wykryciem gniazdka pewnej pary kochanków. Śmiali się z tego oboje, a potem z jakiegoś niezrozumiałego dla Ruperta powodu Judy zaczęła snuć wspomnienia ze swojego życia. Był oszołomiony, kiedy poznał jej historię - nie mieściło mu się w głowie, by młoda mężatka i matka dwojga dzieci mogła zajmować się w tamtych czasach handlem narkotykami. I dotychczas tylko w filmach o Dzikim Zachodzie spotkał się z wywieraniem nacisku na sądy, tak jak to miało miejsce w wypadku męża Judy. Rupert nie pojmował, jak kobieta mogła wyrazić zgodę na rozłąkę z własnymi dziećmi. Ale z jeszcze większym trudem wyobrażał ją sobie w roli dostawczynie LSD. Był pewien, że Jimmy oszaleje, kiedy usłyszy tę historię. Rupert mógł słuchać Judy bez końca, ona jednak uznała, że go nudzi, i włączyła się do rozmowy z lekko stukniętą Nancy Morris. Twierdziła, że matka codziennie o nim myśli. Musiała się mylić. Matka interesowała się tylko domem, ogrodem warzywnym i swoimi kurami, lecz przede wszystkim zamartwiała się o ojca. Była pewna obaw, że młody MacMahon nie okaże należytego szacunku starszemu partnerowi i założycielowi firmy. Matki prawie wcale nie obchodziło życie Ruperta w Dublinie, co było mu oczywiście na rękę, lecz jednocześnie świadczyło o tym, że rodzicielka nie poświęca mu zbyt wiele uwagi. Czy Judy nie jest przypadkiem fantastką? Prawdopodobnie, wbrew temu, co mówiła, łądzi się, że jej dzieci myślą o niej każdego dnia. Tak, to musi być to. Jego rodzice zajmowali w Rathdoon mały pobielany domek z obłożoną bujnie klematisem werandą. Jimmy zawsze uważał, że prawnik protestanckiego wyznania powinien mieszkać w

porośniętym dzikim winem dworze, który wzbudzałby respekt wśród chłopstwa. Twierdził, że tylko dwa domy w miasteczku prezentują się okazale. Jeden, starannie utrzymany, należy do doktora Burke'a, drugim jest zaniedbana plebania, która przypomina olbrzymi, porośnięty bluszczem głąz. W katolickim kościele co tydzień odbywała się msza. Rathdoon nie miała jednak swojego pastora. Kapłan dojeżdżał na jutrznię z oddalonego o ponad trzydzieści kilometrów miasta, a zaraz potem udawał się do sąsiedniej małej miejscowości. Jimmy zawsze słuchał tych opowieści zafascynowany, lecz Rupert nigdy nie zaproponował mu, że go zabierze do domu, aby poznał jego rodziców. Przyjaciel zapraszał go wielokrotnie do siebie. Rupert tylko raz złożył jego rodzinie wizytę, w czasie której czuł się zażenowany, choć nikt oprócz niego nie okazywał najmniejszych oznak skrepowania i wszyscy od razu zasypali go pytaniami dotyczącymi cen nieruchomości.

Matka czekała na niego tuż przy wejściu. Zawsze go to irytowało, a własne rozdrażnienie stawało się powodem jeszcze większej złości. To zrozumiałe, że uprzedzała go, zanim jeszcze zdążył zapukać albo zadzwonić. Nie chciała, żeby zakłócił ojcu sen. Rupert nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że matka czai się przy drzwiach, wypatrując przez matową szybę jego cienia. Powitał ją o wiele pogodniejszym tonem, niż wskazywałby na to nastrój, w jakim się znajdował, i wziął się w garść. Delikatna skóra szalowej marynarki muskała go po karku. To był prezent urodzinowy od Jimmy'ego. Otrzymał go nieco wcześniej, lecz przyjaciel chciał mu poprawić humor przed weekendem. Dee Burke miała rację: skórzana marynarka rzeczywiście kosztowała majątek. Ruperta ponownie zaczęła prześladować natrętna myśl: w jaki sposób Jimmy zdobył tyle pieniędzy, nawet jeśli ciuch był przeceniony? Zaraz jednak postanowił odrzucić wszelkie wątpliwości. Jimmy jest dobry i uczciwy. Rupert powziął stanowczą decyzję, że nie będzie się dręczył z powodu głupich podejrzeń. Dlaczego miałby wszystko zniszczyć? Jimmy spędza

wieczór w domu, poprawia klasówki lub ogląda telewizję i wcale nie krąży po barach, aby znaleźć sobie kogoś innego.

- Dzisiaj jest w dobrej formie i ma wyjątkowo jasny umysł - szepnęła uradowana matka.

- Co takiego?

- Mówię o twoim ojcu. Jest przytomny i jeszcze nie śpi. Dopytywał się kilkakrotnie, o której przyjedzie liliowy autobus. Za każdym razem, kiedy usłyszał odgłos silnika jakiegoś wozu skręcającego za róg, pytał: „Czy to nie autobus Ruperta?”

Rupert postawił swój podróżny neseser na podłodze w korytarzu.

- To wspaniale, mamó, naprawdę wspaniale - powiedział z ciężkim sercem i wszedł powoli po schodach na górę, aby zobaczyć się z człowiekiem, którego skóra niczym przezroczysta folia opinała czaszkę - z człowiekiem, z którym nigdy nie potrafił się porozumieć.

Sobota była słonecznym dniem, lecz w zaciemnionym pokoju ojca panował powodujący ból oczu półmrok. Matka robiła na dole przetwory owocowe. Jimmy twierdził, że katolicy nigdy nie smażą konfitur, gdyż nie zezwala im na to religia. Nikt nie potrafiłby wymyślić tylu kłamstw, ile naopowiadał mu Jimmy na temat Kościoła rzymskokatolickiego. Rodzice wychowali Ruperta w poszanowaniu innych wyznań i choć byli przekonani, że wyznawcy wiary katolickiej są zacofani, to pobożność katolików i tłumy na mszach wywierały na nich silne wrażenie. Pojechali nawet do Galway, żeby zobaczyć papieża. Jimmy twierdził, że jego rodzina podczas wizyty głowy Kościoła zarobiła majątek - wszyscy mieszkańcy Dublina kupili w tym czasie dwukrotnie więcej gazet niż zwykle, żeby nie przeoczyć żadnej informacji.

Być może w ich dublińskim domku Jimmy pije właśnie świeżo zaparzoną kawę i czyta „Irish Timesa”. Potem pewnie wyjdzie do ogrodu, żeby poprzესadzać rośliny: wrzesień jest odpowiednim miesiącem na zrealizowanie wszelkich



zaplanowanych zmian w rozmieszczeniu zieleni. Chociaż nie, Jimmy na pewno woli poczekać z tym do powrotu Ruperta. Może naprawia teraz usterkę w odbiorniku stereo. Byleby tylko z nudów nie pojechał do centrum. Byleby nie poznał nikogo nowego na lunchu, przy drinku i kanapce z łososiem.

- To bardzo szlachetne z twojej strony, że przyjeżdżasz tutaj co tydzień - oznajmiła niespodziewanie matka, jak gdyby wyczytała w jego oczach tęsknotę za prawdziwym domem. - Twojego ojca ogromnie cieszą rozmowy z tobą. Czy ty też to zauważyłeś?

Jimmy błagał go, żeby nie wszczynał kłótni z rodzicami - przecież nie po to jeździ na drugi koniec Irlandii. Nie potrafił zrozumieć, że w domu Ruperta nigdy nie było sprzeczek. Przekonywał go, żeby nie zachowywał się wobec rodziców oziębło, skoro już zadaje sobie tyle trudu, by ich odwiedzić. Głupotą byłoby zaprzepaszczenie całego wysiłku. Jeśli zdobywa się na synowski gest, powinien wykonać go jak należy.

- Tak, ostatnio stał się bardzo rozmowny - odparł Rupert.

- Czy to aby nie jest dla niego zbyt męczące?

- Ależ nie. Przez cały tydzień zastanawia się nad tym, jaki temat z tobą poruszyć. Czasami prosi mnie, żebym zanotowała jakąś myśl, a czasami tylko hasło. „Pragnę pomówić o tym z Rupertem” - oświadcza. Często zapomina, czego miała dotyczyć rozmowa, dlatego moje zapiski są bardzo przydatne.

Rupert ponuro skinął głową.

- Zamierzał na przykład zapytać cię o mieszkania, które sprzedajesz w blokach. Był szczególnie zainteresowany ich dzierżawą. Twierdził, że w czasie jego praktyki prawniczej nigdy nie zwrócono się do niego o poradę w sprawie dotyczącej uzyskania prawa własności z tytułu ich zasiedzenia. Kazał mi zrobić notatkę: „bloki i mieszkania”. W zeszłym tygodniu miałeś jednak okazję się przekonać, że mimo to nie mógł sobie przypomnieć, jaką kwestię chciał w związku z tą sprawą poruszyć.

- Rzeczywiście - przyznał Rupert, starając się okazać większe współczucie, niż faktycznie odczuwał.

- Ale dzisiaj wydaje się bardziej ożywiony i częściej ma przebłyski świadomości, nie sądzisz? - spytała niemal błagalnym tonem.

- Tak, to prawda. Mówił o waszym domu. Był ciekaw, jak byśmy go opisali w naszej ofercie agencyjnej. A moja odpowiedź nawet go rozbawiła.

Matka ucieszyła się.

- Nieczęsto mu się to teraz zdarza. To miło.

- Odpocznij trochę, mamo, kiedy tu jestem. Wybierz się do miasta, przecież to lubisz. Ja dopilnuję ojca i będę na miejscu, gdyby czegoś potrzebował.

- Zależy mi przede wszystkim na tym, żebyś ty mile spędził czas - powiedziała.

- Ależ mamo, przecież i tak nie mam nic innego do roboty. - Wzruszył ramionami. - Równie dobrze mogę zająć się ojcem, a ty będziesz miała kilka chwil wytchnienia. - Zamierzał być wspaniałomyślny, wiedział jednak, że jego propozycja została źle odebrana.

- Przyjechałeś na weekend do domu! - wykrzyknęła matka. - Zbyt cieszę mnie twoją obecnością, żebym miała z niej zrezygnować. Do miasta mogę się wybrać w każdy inny dzień tygodnia. Pani Morris lub Mary Burns, żona Billy'ego, zawsze chętnie posiedzi przy ojcu. Przede wszystkim pragnę się nacieszyć tobą.

- Oczywiście - przytaknął Rupert, zatrwożony własną bezdusnością. Jimmy nigdy w życiu nie wystąpiłby z podobną propozycją. Gdy wracał z pracy, wnosił życie do ich domu i napełniał go śmiechem. Jimmy. Och, Jimmy.

Zjedli lunch, z rodzaju tych, jakie tylko matka mogła zaserwować. Poprzedzały go nie kończące się przygotowania: szycowanie i opiekanie kromek chleba, smarowanie ich serem i krajanie pomidorów w plastry. A na dodatek posiłek zwykle

okazywał się ciężko strawny i mało wartościowy. Gdyby tylko matka pozwoliła Rupertowi zająć się kuchnią! Nigdy jednak jej o to nie poprosił. Pewnie zdradziłby się przyznając, że potrafi w kwadrans przygotować lekką i smaczną przekąskę. Jak zwykle, i tym razem sam był sobie winien.

Przez całe popołudnie ojciec wyęczał siły, aby prowadzić rozmowę, a Rupert przez całe popołudnie usiłował ją podtrzymać.

Czasami towarzyszyła im matka. Często wykonywała jakieś drobne robótki dla swojej siostry, która wyszła za pastora i ciągle potrzebowała czegoś na sprzedaż podczas parafialnych kwest. Ojciec za wszelką cenę starał się skupić myśli. Aby zadowolić swojego rozmówcę, zdobywał się nawet na wspomnienia z dawnych lat, kiedy przybył tutaj jako młody prawnik, a wszystko było inne i lepsze. Niegdyś ojciec ochoczo przeskakiwał z tematu na temat. Dzisiaj jednak był zdeterminowany, żeby za wszelką cenę okazać zainteresowanie sposobem zarobkowania swojego syna. Przez całe popołudnie Rupert krzyczał w głębi duszy: „Wszystko w porządku, ojcze. Możesz być spokojny. Jestem zadowolony ze swojego życia, jak najlepiej życzę tobie i matce, dlaczego musimy prowadzić te bezsensowne rozmowy? Nie mam nic więcej do powiedzenia”.

Słońce niemal całkiem zaszło, gdy Rupert uznał, że nie jest w stanie znieść tego ani chwili dłużej. Oświadczył, że obiecał zrobić coś dla Judy Hickey i musi niezwłocznie do niej pobiec.

- Dzielna kobieta z tej Judy - od dwudziestu lat chodzi po miasteczku z wysoko podniesioną głową - stwierdził ojciec zadziwiająco mocnym głosem.

- Dlaczego miałoby być inaczej? - Rupert przyjął postawę obronną. - W pełni odpokutowała za swoje winy i poniosła wyjątkowo surową karę.

- To prawda. A najbardziej imponujące jest to, że nie uciekła ani nie starała się ukryć przed ludźmi. Godnie zniosła

upokorzenie. Przeprowadziła się z dworu, w którym była panią, do stróżówki.

- I straciła dzieci - dodała matka Ruperta. - To musiało być dla niej najgorsze.

- Niedługo wróć. - Rupert poczuł, że znowu może oddychać, gdy znalazł się na świeżym powietrzu. Minął plac i skierował się do stróżówki przy dworze Doonów.

Judy leżała, zwinięta w kłębek jak kot. Nie ucieszyła się na jego widok. Niewiele brakowało, a odesłałaby go z powrotem do domu. Była taka sama jak Jimmy, brakowało jej tylko umiejętności perswazji. Jimmy na ogół starał się przemówić Rupertowi do rozsądku, Judy natomiast apelowała zwykle do jego poczucia obowiązku.

Najwyraźniej była zdecydowana obstawać przy swoim: wstała, przeciągnęła się i oznajmiła, że idzie na spacer do lasu swojego męża. Nazywała go lasem Jacka Hickeya. Oświadczyła, że Rupert powinien czepiać się każdego tematu, byleby tylko wykazać się wobec ojca dobrą wolą.

Ale o czym mógł mu powiedzieć? Chyba nie o tym, że jego serce ściska kolczasty drut zazdrości na myśl o niewierności kochanka. Nikt nie wyjawilby tego sekretu swojemu ojcu, nawet jeśli kochankiem byłaby osoba przeciwnej płci. Sytuacja Ruperta była bardzo niezręczna; nie mógł odsłaniać szczegółów ze swojego życia ani opowiadać o przepięknej gorczycy, która w czerwcu wybuchła kwieciami, tworząc ciemnoniebieską wyspę, przy której zrobili sobie nawzajem z przyjacielem zdjęcia. Uznał, że każda rozmowa na temat ogrodu bez wspomnienia o Jimmym jest trudna. Byli nierozłączni jak ich domy, jak wspólne gotowanie, wakacje i lektury, a także wszystko to, co, na miłość boską, robią inni ludzie.

Zirytowany na Judy, że tak obcesowo się z nim obeszła, wrócił do domu. Gdy mijał sklep Kennedych, dostrzegł roslą, ładną dziewczynę, która właśnie została wprowadzona do środka. Jeden z braci Kennedych, ten rudowłosy, gapił się na nią

z głupkowatym wyrazem twarzy. Najwidoczniej któryś z nich zabiegał o jej względy. Była bardzo atrakcyjna. O ile wszystko byłoby prostsze, gdyby i on mógł się zalecać do postawnej, miłej dziewczyny, która wniosłaby do jego spokojnego domu śmiech i życie.

Nagle pomyślał o Jimmym w domu swoich rodziców. Widział go, jak zatrzymuje się przy drzwiach, bierze w dłonie kwiat klematisu i przygląda mu się z podziwem. A potem proponuje matce Ruperta, żeby usiadła sobie wygodnie i pozwoliła się wyreńczyć w przygotowaniu posiłku, powierzając dla odmiany to zadanie swojemu dużemu, niegrzecznemu synowi i jemu, Jimmy'emu. Wyobraził go sobie, jak opowiada ojcu o swojej szkole, w której uczy chłopców -o czesnym, o dodatkowych opłatach i o okropnych koncertach szkolnych. Widział siebie i przyjaciela, jak idą potem na drinka do pubu „U Ryana”, a w piecyku dochodzi tymczasem zapiekanka. Tak, Jimmy bardziej by rozjaśnił ich dom niż jakakolwiek hoża dziewczyna z zamożnego gospodarstwa na przedmieściach.

- Właśnie się zastanawiałem, czy nie mógłbym przywieźć ze sobą w przyszły weekend przyjaciela - zwrócił się do matki, która natychmiast wpuściła go do domu, jak gdyby i tym razem czatowała przy drzwiach.

Potem wszystko było już łatwe. Matka wyraziła zadowolenie, że została zawiadomiona o wizycie z wyprzedzeniem, dzięki czemu będzie miała wystarczająco dużo czasu na wysprzątanie pokoju gościnnego. Już dawno powinna była to zrobić, ale jakoś nie miała do tego serca. Ojciec oświadczył, że chętnie pozna nauczyciela z tej szkoły. Kiedyś miał wielu znajomych, którzy do niej uczęszczali, i żaden z nich nie powiedział o niej jednego dobrego słowa, choć właśnie jej zawdzięczali swoje życiowe kariery.

Rupert niespodziewanie jednak wpadł w panikę. A jeśli Jimmy nie będzie chciał przyjechać?

- Mam nadzieję, że mój przyjaciel nie ma innych planów. Nie pomyślałem o tym, żeby go zapytać - wyjąkał.

- Dlaczego do niego nie zatelefonujesz? - zasugerowała matka. Jego matka. Podjęcie próby uzyskania międzymiastowego połączenia wydawało się Rupertowi równie bezcelowe, jak usiłowanie nawiązania kontaktu z inną planetą. Uważnie wykręcił numer, jednakże bez wielkiej nadziei na sukces.

- Mój Boże! Jak miło cię usłyszeć! - wykrzyknął Jimmy.

- Dzwonię z domu - oznajmił Rupert.

- Mam nadzieję, że stamtąd. Czasami nachodzą mnie wątpliwości, czy nie odwiedzasz beze mnie jakichś atrakcyjnych miejsc. Postanowiłem ci jednak zaufać - zabrzmiał ciepły śmiech Jimmy'ego.

Rupert przełknął ślinę.

- Jest tu teraz tak ładnie i zastanawiałem się... - Tak?

- Czy nie zechciałbyś spędzić tutaj następnego weekendu i zatrzymać się u nas?

- Z największą przyjemnością. Na chwilę zaległo milczenie.

- Przyjedziesz, Jimmy? Naprawdę?

- Oczywiście, myślałem już, że nigdy mi tego nie zaproponujesz.

## Celia

Przyjaciółka Celi, Emer, zwykła nazywać jej środek lokomocji tanecznym autobusem. W piątki wielu mieszkańców Dublina jeździło do swoich rodzinnych miejscowości na huczne potańcówki. Lepsza zabawa na prowincji niż w stolicy była, ich zdaniem, swoistą rewolucją w życiu kraju. Dodatkową korzyść stanowił fakt, że w ciągu tygodnia mogli się cieszyć swobodą w Dublinie, a jednocześnie nie tracili kontaktu z domem.

Celię bawiła myśl, że jej autobus jest uważany za środek transportu dla zakochanych. Opowiedziała kiedyś o nim Emer, gdy siedziały w pomieszczeniu socjalnym przy herbacie, i przyjaciółka aż westchnęła z zazdrości. Przejazdka przez cały kraj i perspektywa spędzenia weekendu w domu wydała jej się zachwycająca - bez prania, sprzątanania i prób wytłumaczenia trojgu nastoletnikom, że na ich rozliczne zachcianki brakuje pieniędzy, oraz ciągłego zapewniania od trzech lat pozostającego bez pracy męża, że im na wszystko wystarcza. Zameżna siostra Emer mieszkała w mieście oddalonym o trzydzieści kilometrów od Rathdoon. Czyż nie byłoby miło wybrać się do niej z wizytą raz na jakiś czas? Emer marzyłaby o tym.

Nadarzyła się taka okazja. Celia zwykle pracowała przez jeden weekend w miesiącu. W któryś piątek odstąpiła więc przyjaciółce swoje miejsce w autobusie. Wszystkim to odpowiadało, a Emer powiedziała potem, że jej najbliżsi wydawali się uszczęśliwieni, widząc ją znów w sobotę i niedzielę w domu - na nic nie narzekali, poczęstowali ją dobrą kawą i oświadczyli, że dotkliwie odczuwają jej nieobecność. Oczywiście Celia chodziła od czasu do czasu na potańcówki. Bawiła się na nich doskonale. Zwykle ściągano na nie najlepsze zespoły, z całej okolicy zjeżdżali się ludzie i panował duży tłok. Celia tańczyła z braćmi Keva Kennedy'ego - czasami z Redem,

lecz najczęściej z Bartem, najstarszym z rodzeństwa - człowiekiem porządnym i godnym zaufania. Nikt nie potrafił odgadnąć, co Bart myśli, lecz zawsze można było na niego liczyć. Nigdy nie trzeba go też było prosić o pomoc. Zawsze się zjawiał wszędzie w samą porę. Emer, wnioskuje z relacji przyjaciółki, przypuszczała, że jest dobrym kandydatem na męża. Celia nie podzielała tej opinii. Bart nie jest zainteresowany zakładaniem rodziny, a ona nie zamierza wzdychać do kolejnego mężczyzny, który okazałby się typem wiecznego kawalera. Dostatecznie dużo kłopotów sprawiło jej wybicie sobie z głowy pierwszego. Emer przyznała jej rację. Nie pojmuje, dlaczego, będąc mężatką, zachęca do zamąż pójścia inne kobiety. Zwykle małżeństwo okazuje się czymś zupełnie innym, niż miało być, i niewiele osób doznaje w nim zadowolenia.

Ale Celia tylko się z niej śmiała. Emer miała trzydzieści osiem lat i pomimo mocnych słów oraz cynicznych stwierdzeń zrobiłaby wszystko dla swojego przystojnego męża i długonogich pociech, które rosły w oczach i wciąż potrzebowały nowych ubrań. Celia nie zamierzała się wyrzec miłości i małżeństwa z powodu przestrogi Emer, gdyż pragnęła jednego i drugiego. Nie natychmiast i nie za każdą cenę, ale kiedyś, w odpowiednim czasie. I pomimo tego wszystkiego, na co napatrzyła się we własnej rodzinie.

Nie pamiętała dnia w domu bez awantur. Często odbywały się one na oczach całego miasteczka, ponieważ jego mieszkańcy już od jedenastej rano schodzili się do pubu. Nie mogli więc uniknąć wiecznego wysłuchiwanie krzyków oraz kłótni i niejednokrotnie byli świadkami, jak któreś z rodziców Celi wypadło z pomieszczenia za barem czerwone ze złości, obsługiwało klientów, po czym zaraz zniknęło, by dalej prowadzić na zapleczu swarliwą dyskusję. Celia często spotykała się z opinią, że dzieci wychowujące się w takich domach wyrastają na ludzi znerwicowanych i zamkniętych w



sobie. Nic takiego nie zdarzyło się w przypadku potomstwa Ryanów. Dzieci dorosły i wyjechały z domu, to wszystko. Każde z nich poszło własną drogą, gdy tylko było w stanie rozpocząć samodzielne życie. Najstarsza siostra przyłączyła się do grupy australijskich zakonnicek, które przyjechały do Irlandii, szukając nowych powołań. Najwidoczniej celem ich poszukiwań były bardzo młode nowicjuszeki, gdyż siostra Celi miała wtedy zaledwie szesnaście lat. Dziewczynce najbardziej nęcąca była możliwość dalszego kształcenia. Od czasu do czasu przysyłała do domu listy, opisując w nich różne osobliwe miejsca i wypowiadając się na zawile tematy. Potem odeszli z domu także chłopcy. Harry wyjechał do Detroit, a Dan do Cowley w Anglii. Rzadko pisywali. Za każdym razem wyrażali przekonanie, że bar w Irlandii musi być w obecnych czasach prawdziwą kopalnią złota. W korespondencji dawali wyraz chciwości - cesze zupełnie im obcej w dzieciństwie. Harry wyczytał gdzieś w gazecie, że Irlandia od czasu przystąpienia do Wspólnego Rynku przeżywa prawdziwy rozkwit, a Dan się dowiedział, że posiadanie państwowej licencji na prowadzenie lokalu z wyszynkiem na zachodzie Irlandii jest równoznaczne z otrzymaniem pozwolenia na drukowanie pieniędzy. Listy te raniły Celię. Bracia sugerowali w nich, że dzięki interesowi rodzinnemu im obu z matką doskonale się powodzi. Celia chętnie zrzekłaby się tego dobrobytu na ich korzyść. Kiedy się przekonała, jak naprawdę sprawy stoją, nie wiedziała, czy śmiać się, czy zapłakać.

Gdy przed pięciu laty umarł ojciec, ludzie byli pewni, że Kate Ryan poradzi sobie z prowadzeniem interesu. Przecież do tej pory i tak wszystko było wyłącznie na jej głowie. Nie należała do tych żon, które nie muszą się interesować działalnością rodzinnej firmy. Nie, biedna Kate sama borykała się z wszelkimi kłopotami, podczas gdy jej mąż pił za barem w gronie swoich kompanów.

I biedna Kate rzeczywiście przez jakiś czas nieźle sobie radziła. Latem zaangażowała młodego człowieka do mycia kieliszków i kufli, a w razie dużego ruchu zawsze mogła liczyć na pomoc Barta Kennedy'ego. Interes szedł dobrze. Nie brakowało klientów - na szczęście alkohol nigdy nie wychodził z mody i ludzie zawsze lubili się napić. Z wyjątkiem tygodnia Wielkiego Postu w pubie bywała stała klientela, a podczas weekendów lokal wprost pękał w szwach. Nie miał konkurencji, gdyż w tak małym miasteczku nikomu nie wydano by pozwolenia na otwarcie jeszcze jednego baru.

Rathdoon pod tym względem należało do wyjątków. Inne miejscowości miały i po trzy puby. Krążyły słuchy, że Billy Burns zamierzał kupić nieruchomość trzydzieści kilometrów dalej, uzyskać pozwolenie na prowadzenie lokalu, a potem przenieść go do swojej rodzinnej miejscowości, ale nic z tego nie wyszło.

Z jakiegoś powodu Celi nie dawała dzisiaj spokoju myśl o Billym Burnsie. Rano po przebudzeniu prześladowała ją natrętnie piosenka pasująca do niego jak ulał: „Gdzie się podziewałeś cały dzień, Billy, chłopcze, Billy, chłopcze?” Mikey jest naiwnym starym głupcem, Billy natomiast miał zawsze w sobie odrobinę za wiele sprytu. Opinia Celi nie była związana z jego planami otwarcia drugiego pubu. Prawdę mówiąc, gdyby to zrobił, pomógłby jej i matce rozwiązać wiele problemów. Miałyby szansę poddać się z godnością, jeśli ich interes został wyeliminowany na drodze uczciwej konkurencji. Bankructwo pubu z powodu pijaństwa jego właścicielki nie było natomiast honorową kapitulacją.

Jednakże nawet najmniejsza wzmianka na ten temat w rozmowie z matką mijała się z celem. To inni ludzie nadużywają w ostatnich czasach alkoholu, robią z siebie głupców i zaciągają olbrzymie długi. To mężczyźni z Rathdoon mają czerwone nosy i fioletowe żyłki od wódki na policzkach. To kobiety jeżdżą do oddalonego o trzydzieści kilometrów miasta po sprawunki,

które, zdaniem Kate Ryan, sprowadzają się do zakupu pół tuzina półlitrowek ukrytych pod nabytymi dla pozoru ścierkami. Kate Ryan potrafiła wymienić z nazwisk panie, które wpadają do pubu tylko na jednego drinka i niepostrzeżenie pociągają z piersiówek schowanych w torebkach, nie chcąc, żeby ktoś widział, że powtarzają kolejkę. Matka Celi jednak nigdy jakoś nie opowiadała o kobiecie, która nie musi się kryć z piciem, ponieważ ma własne półki z trunkami pod ręką przez dwanaście godzin na dobę podczas wykonywania dającej jej utrzymanie pracy.

Widok pijanej matki był po raz pierwszy dla Celi ogromnym wstrząsem. To ojciec zwykł zawsze zaglądać do kieliszka, a nie ona. Celia czuła się tak, jak gdyby nagle przestała odróżniać lewą stronę od prawej i biały kolor od czarnego. Słyszac bełkotliwe słowa i niezrozumiałe argumenty, zarumieniła się po koniuszki uszu i daleka była od spokoju, z jakim siostra Ryan zwykle radziła sobie na oddziale w każdej sytuacji. Na drugi dzień matka tłumaczyła się gęsto, używając zatrwających wymówek. Przyczyną jej złej kondycji był rzekomo pasztet z kurczaka, który zjadła - zamierzała napisać do fabryki i załączyć etykietkę ze słoika. Nieświeża żywność stała się nie tylko powodem jej całonocnych sensacji, ale również zaatakowała umysł i wpłynęła na zaburzenia pamięci - pani Ryan zaledwie mgliście przypominała sobie przebieg wczorajszych wydarzeń. Kiedy Celia dość grzecznie zauważyła, że oprócz zepsutego pasztetu drobiowego prawdopodobnie luki w pamięci wywołał również nadmiar alkoholu, matka wpadła w furję - zupełnie jak w czasach, kiedy żył ojciec. To nie alkohol. Czy ktoś widział, żeby wypila wczoraj bodaj jednego drinka? Celia wzruszyła ramionami. Sądziła, że historia więcej się nie powtórzy, i zaniechała robienia matce dalszych wyrzutów.

Trzy tygodnie później, kiedy przyjechała na weekend do domu, matka myliła dżin z wódką, zapominała o pobieraniu należności od klientów i, zajęta obsługą, nie widziała, że piwo

przelewa się z kufli. To właśnie wtedy Celia postanowiła zarezerwować sobie stałe miejsce w liliowym autobusie i wracać do domu w każdy wolny weekend. Od tamtej pory upłynął już rok, a stan matki coraz bardziej się pogarszał. Najstraszniejsze zaś było to, że za nic nie chciała się do tego przyznać. Nawet sama przed sobą.

W szpitalu Celia miała okazję poznać całe tuziny, a nawet setki ludzi starających się przyjść z pomocą tym, którzy nie byli w stanie sami sobie pomóc. Wiecznie wysłuchiwała opowieści o starcach, którzy odmawiają umieszczenia ich w przytułku i nieraz zapraszają ogień w kuchniach swoich domów, oraz o staruszkach, które łamią sobie kości w stawach biodrowych, gdyż nie chcą poprosić nikogo, żeby przeprowadził je przez jezdnię. Stykała się z wysuszonymi na wiór chorymi na anoreksję, którzy odmawiali przyjmowania pokarmów, i z palaczami o popielatych twarzach, którzy swoją chorobę wieńcową przypisywali przepracowaniu, wykonywaniu stresujących zawodów oraz spożywaniu zbyt obfitych posiłków o nadmiernej zawartości cholesterolu. Widywała kobiety wycieńczone z powodu kolejnych czternastu ciąż, matki uczniów, którzy przedawkowali, i żony, których mężowie mieli marskość wątroby pomimo niezliczonych rozmów o zabójczych skutkach prowadzącego do niechybnej śmierci nadużywania alkoholu. Celia zawsze starała się okazać tym ludziom współczucie i zrozumienie. W głębi duszy była jednak przekonana o tym, że nie dołożyli należytych starań. Gdyby sama miała córkę pogrążoną w skrajnej rozpacz, która straciła na wadze dwadzieścia cztery kilogramy, nie stałaby biernie z boku, lecz starała się jakoś zaradzić problemom dziewczyny. Gdyby jej ojciec był zniedołężniały, wzięłaby go do siebie. Dopiero teraz, kiedy sama znalazła się w podobnej sytuacji, zaczęła pojmować, że to nie jest takie proste. Nie zawsze ludzie chcą skorzystać z pomocy. Umysł jej matki przypominał na

przykład hermetycznie zamkniętą i opieczętowaną skrzynię w podziemiach banku.

Emer była w doskonałym humorze: wygrała sto funtów na organizowanej przez szpital loterii. Co tydzień każdy z członków personelu musiał wykupić przeznaczony na fundusz budownictwa kupon. Kosztował pięćdziesiąt pensów i nikt się nie mógł od jego nabycia uchylić. Co drugi tydzień nagroda wynosiła pięćdziesiąt funtów, a w pozostałe sto. Dzięki temu wszyscy byli zainteresowani uczestnictwem w zabawie, a ich drobny cotygodniowy wkład w fundusz budowlany zapewniony. Nawet jeśli ktoś wyjeżdżał na urlop, musiał zostawić pieniądze na wykupienie swojego udziału. Numer zwycięskiego losu był ogłaszany w piątek po południu, a po odbiór nagrody trzeba było się udać do działu płac. Emer postanowiła, że ani słówkiem nie piśnie o tym w domu. Dzieciaki domagałyby się nowych dzinsów i wyjazdu na wakacje, jak gdyby jedna stówka mogła na wszystko wystarczyć, chciałyby przez cały miesiąc chodzić codziennie do McDonalda i zażądałyby zakupu wideo. Mąż przeznaczyłby pieniądze na składkę w spółce budowlanej albo odłożyłby je na czarną godzinę - przecież mógł już na zawsze pozostać bez pracy. Nie, Emer uznała, że postąpi rozsądniej, zatrzymując je dla siebie albo przeznaczając na wspólną rozrywkę z Celią, gdy w przyszłym tygodniu obie będą miały wolne. Celia serdecznie się uśmieła.

- Pewnie, ludzie w końcu i tak zawsze robią to, na co mają ochotę - powiedziała. - Czy to nie twoje własne słowa?

Wiedziała, że pragnienia Emer są całkiem inne, wbrew jej deklaracjom o niezależności i oświadczeniom, że zostawi całą sumę sobie. W rzeczywistości aż się paliła do tego, żeby zakomunikować w domu radosną wieść. Celia była pewna, że przyjaciółka pośle po kurczaka z frytkami i będzie bez końca planowała, jakie przyjemności sprawi swoim bliskim: kupi dzinsy, zaoszczędzi część kwoty, żeby zadowolić zatroskanego męża, i obieca wpłacić pierwszą ratę na wideo. Tego Emer

chciała i dokładnie to zamierzała zrobić. Obie przyjaciółki o tym wiedziały.

Celia miała nadzieję, że jako mężatka również będzie pragnęła zadowolić swoich bliskich. Jakież, w przeciwnym razie, miałyby sens zakładanie rodziny?

Czuła się zmęczona. To był wyjątkowo długi dzień. W innych szpitalach pielęgniarki pełniły dwunastogodzinne dyżury: od ósmej rano do ósmej wieczór. Celia przypuszczała, że pracując w tym systemie, byłaby skłonna udusić niektórych pacjentów, większość odwiedzających i wszystkich członków personelu. Ośmiogodzinna zmiana wydawała jej się wystarczająco długa. Pewna młoda pacjentka wpadła w rozpacz, ponieważ podczas wizyty duszpasterskiej dowiedziała się, że pastor odprawił u niej w domu mszę. Sądził, że będzie zadowolona. Ona pomyślała jednak, że to oznacza jej koniec. Mąż kobiety zagroził duchownemu, że skręci mu kark, jeśli będzie denerwował jego żonę. Awantura stała się tak głośna, że chorzy przestali rozmawiać ze swoimi gośćmi i zaczęli się przysłuchiwać. Wezwano Celię. Zaciągnęła wokół łóżka zasłony, zrobiła chorej zastrzyk uspokajający i wyjaśniła lodowatym tonem, że diagnoza, którą postawiono pacjentce, jest zdecydowanie optymistyczna, i że ani przed nią, ani przed nikim nie zatajono żadnych faktów. Czyż może być coś bardziej naturalnego niż msza odprawiona w rodzinnym domu chorej, w intencji jej powrotu do zdrowia i z prośbą o pomyślny przebieg dalszej rekonwalescencji?

Patrząc znacząco na duchownego, wyraziła żal, że niektórzy ludzie nie potrafią niczego rozsądnie wyjaśnić bez uciekania się do ponurych stwierdzeń na temat sądu ostatecznego i nawet nie myślą o tym, że chorzy przypisują odprawiane w ich intencji msze ciężkiemu stanowi swego zdrowia. A potem, obrzucając pełnym nagany spojrzeniem męża, oświadczyła, że godziny odwiedzin mają służyć poprawie samopoczucia chorych, a nie wszczynaniu kłótni i rzucaniu głośnych gróźb. Tamci ludzie byli

od niej młodszy - może z wyjątkiem duchownego, ale i on nie miał jeszcze trzydziestki. Wszyscy potulnie przyjęli jej reprimendę, przeprosili ją, a potem siebie nawzajem. Z powrotem rozsunała zasłony i dopóty kręciła się po oddziale, dopóki nie uzyskała pewności, że wszyscy się uspokoili. Po odejściu męża i duchownego usiadła przy młodej kobiecie, wzięła ją za rękę i poprosiła, żeby nie była głuptasem. Pastorzyna na skinienie dłonią odprawiają msze po domach. W końcu na tym polega ich praca. Kto, jak nie oni, ma być przekonany o doniosłym znaczeniu modlitwy? Reszta świata odwołuje się do Boga i do religii, dopiero kiedy wszystko inne zawiedzie. Bóg jest obecny w życiu kleru przez cały czas. Celia najwidoczniej uderzyła we właściwą strunę, bo gdy opuszczała oddział, kobieta była roześmiana.

Żeby tylko równie łatwo poszło w domu.

Podczas poprzedniej wizyty Bart Kennedy się wygadał, że również pracował w pubie przez kilka wieczorów w tygodniu. Wiadomość ta zaniepokoiła Celię. Nigdy nie rozmawiała z Bartem o powodach jego obecności w barze. Nigdy też nie powiedział, że jej matka jest alkoholiczką, tylko że jest jej potrzebny ktoś do pomocy. Nigdy nie mówił, że pani Ryan obraziła jednego z klientów, ale że zdarzyło się drobne nieporozumienie, które prawdopodobnie zostało już wyjaśnione. Celia zaproponowała mu zapłatę, ale ze śmiechem oświadczył, że nie może jej przyjąć. Przychodzi jedynie trochę pomóc, a nie najmuje się na stałe do pracy. Za co miałby więc pobierać pensję? Zapewnił Celię, że wypija kufel piwa i czasami stawia kolejkę przyjacielowi. Była to śmieszna rekompensata za jego trudy i stan taki nie mógł trwać wiecznie. Emer zastanawiała się, czy Bart nie chce się wżenić w interes, lecz Celia uznała to przypuszczenie za absurd - nie należał do tego typu mężczyzn. Nie kryła się za tym żadna tajemnica, po prostu reprezentował typ starego kawalera. Trzeba pamiętać, że Celia w tych sprawach była nieomylna - jednemu z takich beznadziejnych

przypadków poświęciła pięć lat swojego życia. I teraz rozpoznawała je na kilometr.

Ale dość już tego: nie zamierza myśleć o tamtym facecie ani chwili dłużej. Tę sprawę ma za sobą i dobrze, że choć w Rathdoon nikt nie wie o jej poniżeniu. Do innego miasteczka pełna złudzeń jeździła za ukochanym w weekendy i, przeceniając wagę ich związku, starała się być na każde jego skinienie. Wydawało jej się, że przynajmniej jednego jest pewien: lubi z nią sypiać. Tak to nazywał, choć ze spaniem rzecz miała niewiele wspólnego. Ich wzajemnym stosunkom towarzyszył strach przed ich ujawnieniem, poczucie winy oraz umiarkowana doza przyjemności. Celia nie straciła tego mężczyzny dlatego, że była zbyt łatwa, ale dlatego, że nigdy do niej nie należał. Wiódł bardzo wygodne życie i nie chciał się go wyrzekać dla żony, domu i dzieci. Zamierzał zostać przy rodzicach i siostrze. A przecież świat pełen jest naiwnych dziewczyn i kobiet, wierzących w to, że znajdą klucz do odemknięcia furki jego niezależności. Celia, gdyby chciała, mogłaby napisać książkę na temat irlandzkiego kawalera. Nie miała jednak na to czasu. W tym tygodniu musiała znaleźć sposób na rozwiązanie rodzinnego problemu. W przeciwnym razie nie pozostanie jej nic innego, jak porzucenie szpitala i powrót na stałe do domu. Pozostawienie spraw ich własnemu losowi byłoby nieuczciwe wobec mieszkańców Rathdoon.

Była zadowolona, że Kev Kennedy przyszedł na chwilę przed nią i że to on zajął miejsce obok Mikeya. Nie była w na-

stroju do wysłuchiwanie jego dowcipów. Przy innych okazjach zawsze starała się poświęcić mu trochę uwagi, nim oddała się rozmyślanom. Dziś miała jednak zbyt wiele na głowie, a Mikeya tak łatwo urazić. Wsunęła się zgrabnie na siedzenie obok Toma. Przechylił się przez nią i zamknął drzwi.

- Jest dopiero za dwadzieścia siódma. Dobrze was wyszkoliłem - powiedział. Wszyscy się roześmiali i autobus ruszył, zmierzając w stronę domu.



Tom był zgodnym człowiekiem i miłym kompanem. Tylko wtedy, kiedy nie miał dobrego humoru, odpowiadał monosylabami. Milczenie w jego obecności nie było krępujące. Nigdy nie rozmawiał z pasażerami zajmującymi miejsca z tyłu, gdyż to go rozpraszało. Lubił natomiast, gdy osoba siedząca obok informowała go, czy nic nie nadjeżdża z lewej strony, kiedy włączał się do ruchu na głównej szosie. Wydawał się Celi o wiele sympatyczniejszy od reszty Fitzgeraldów ze sklepu z wyrobami lokalnego rzemiosła, trudno jednak oczekiwać, żeby wszyscy członkowie rodziny byli tacy sami. Wystarczyło spojrzeć na Billy'ego Burnsa, który dziesięć razy kupiłby i sprzedał swojego brata Mikeya. Albo na Nancy Morris. Celia uważała, że z dziewczyną jest coś nie tak. Miała nieruchomy wzrok, choć nigdy nie był on skupiony na żadnym konkretnym punkcie. Tego rodzaju spojrzenie Celia widywała czasami w szpitalu. Nancy była całkiem inna niż jej roześmiana siostra, zamieszkała w Ameryce, Deirdre. Siedzący z tyłu za Celią Kev też był niepodobny do swoich braci. A pewnie i ona nie miała wiele wspólnego ze swoim rodzeństwem. Zachmurzyła się na myśl o własnej rodzinie. Dlaczego nikt nawet nie kiwnie palcem, żeby jej pomóc? Jak do tego doszło? Mogła pisać bez końca: „Droga Maire, drogi Harry, drogi Danie! Przykro mi, że muszę Was o tym poinformować, lecz mama sięga po butelkę częściej, niż kiedykolwiek robił to ojciec. Co proponujecie? Czekam na wiadomości z Nowej Południowej Walii, z Cowley w hrabstwie Oxfordshire i z Detroit w stanie Michigan. Wasza kochająca siostra, Celia, Dublin”. W tym tkwiło sedno: Dublin. Nie musiała przecież daleko dojeżdżać, a co ważniejsze, była niezamężna. Gdyby posiadała własną rodzinę, nikt by od niej nie oczekiwał, że zajmie się matką, bez względu na to, w jak w bliskim jej sąsiedztwie by mieszkała. Skoro jednak ma zawód pielęgniarstwa, gra rolę anioła miłosierdzia i zarabia na życie, pomagając chorym... jest spisana na straty.

A co najgorsze, wiedziała, że żadne z nich jej nie zrozumie. Maire napisze z Woolowogga - zawsze odbywała kursy w jakichś przedziwnych miejscowościach - że błogosławieństwem jest dawać i służyć pomocą, lub coś równie wzniosłego. Harry doradzi jej z Detroit, żeby zrobiła to, co uzna za konieczne, ponieważ jako jedyna z rodzeństwa jest na miejscu. Doda też coś o dostatnim życiu Celi i zapewne ujmie to w sposób wyjątkowo drażliwy - przypominając o chwilowym nie zgłaszaniu roszczeń do swojego udziału w rodzinnym interesie. Dan również przyśle jej list, a może nawet zadzwoni z Anglii, i za wszelką cenę będzie starał się ją namówić, żeby wróciła na stałe do domu. Stwierdzi, że zawód pielęgniarstwa nie jest prawdziwą karierą, a decyzja o powrocie do domu tylko jej wyjdzie na dobre. Niewykluczone, że z typowym dla siebie brakiem taktu wyrazi nadzieję, iż kiedy Celia stanie się w oczach mieszkańców miasteczka jedyną właścicielką pubu, będzie mogła liczyć na kilka ofert matrymonialnych. Ma zaledwie dwadzieścia sześć lat. Dlaczego zamieszkała w trzech krajach rodzeństwo wątpi w jej szanse na ułożenie sobie życia? Jest ich najmłodszą siostrą. Dotąd pamięta wszystkich jako dużych, silnych i wesołych. Teraz jednak, widując się z nimi sporadycznie i czytując ich listy, musi stwierdzić, że są egocentrykami i zupełnie obcymi jej ludźmi. Dobrze wiedziała, że uważają ją za starą pannę.

- Czy twoja rodzina też doprowadza cię czasami do szaleństwa? - spytała Toma, gdy wyprzedzali ogromną i niebezpiecznie obciążoną ciężarówkę, pełni obaw, czy nie zostaną przygnieceni jej ładunkiem.

- Ależ oczywiście - odparł kierowca. - Myślę, że rodzina jest właśnie tym, co najbardziej działa ludziom na nerwy - nie obcy przechodnie na ulicy, nie bomby ani sytuacja ekonomiczna, lecz zawsze krewni.

- Sądzę, że także miłość albo jej brak - zasugerowała, nie odnosząc tego stwierdzenia do nikogo w szczególności. Lubiała

snuć abstrakcyjne rozważania. Podobnie jak Tom. To dlatego tak łatwo im się rozmawiało i nie obawiali się długich chwil milczenia.

- To prawda, lecz miłość jest również związana z pojęciem rodziny: mężczyzna kocha kobietę, pragnie się z nią ożenić i wpada w szal, gdy się dowiaduje, że ona go nie chce. Albo ktoś nienawidzi swojej żony, od dawna jej nie kocha i najchętniej wysłałby ją wahadłowcem w przestrzeń kosmiczną. To też się często zdarza.

Celia wybuchnęła śmiechem.

- O Boże! Znakomicie byś się nadawał do pracy w poradni rodzinnej!

- Wciąż nie mogę się nadziwić, że dotychczas nikt mi nie zaproponował tego zajęcia - zakpił. Milczeli przez następne osiemdziesiąt kilometrów.

Celia ucieszyła się, że może na chwilę wysiąść i rozprostować kości. Słyszała o autobusach rejsowych, które zatrzymują się przy pubach na długie, nieraz półtoragodzinne sesje. Pasażerów liliowego autobusu obowiązywały bardzo surowe reguły - mieli tylko czas na wizytę w toalecie i na szybkiego drinka. Nie zdążyliby nawet wypić kawy - zaparzenie jej trwało w pubach całe wieki, a „U Ryana” w Rathdoon w ogóle jej nie podawano.

- Na co masz ochotę, Celio? - Dee miała talent wyprzedzania wszystkich, jeśli chodzi o dotarcie do baru, i jeszcze większą umiejętność prędkiego otrzymywania zamówionych napojów. Celia poprosiła o butelkę guinnessa. Dee była taka sama, jak w czasach dzieciństwa, kiedy to dumna ze swojego nowego mundurka, weszła do baru „U Ryana”, żeby się w nim pokazać. Odwiedziła wtedy wiele różnych miejsc, a ludzie częstowali ją lemoniadą, dawali jej tabliczki czekolady, a nawet pieniądze. Życzyli jak najlepiej córce doktora, która wyjeżdżała do ekskluzywnej szkoły przy żeńskim klasztorze. Doktor Burke uczestniczył we wszystkich narodzinach i zgonach w Rathdoon. Nikt z mieszkańców nie zazdrościł mu dzieci ani tego, co mają.

Któż, jeśli nie on, bardziej zasługiwał na wszystko, co najlepsze?

Celia podsunęła Mikeyowi maść używaną w szpitalu do leczenia odleżyn. Zrobiła to dyskretnie, chcąc uniknąć posądzenia przez Dee o próbę ingerowania w metody leczenia doktora Burke'a, choć prawdopodobnie jego córce nigdy podobna myśl nie przyszłaby do głowy. Była wspaniałą dziewczyną o zaraźliwym śmiechu. I najwyraźniej miała anielską cierpliwość, skoro potrafiła z takim ożywieniem rozmawiać o nudnej pracy Nancy Morris i wysłuchiwać jej nie kończących się opowieści o różnych specjalistach. Jak udawało się Dee okazywać tak żywe zainteresowanie i spamiętać wszystkie nazwiska? Dziesięć minut minęło i ponownie znaleźli się w przytulnych ciemnościach autobusu.

Celia zauważyła, że Tom ma dzisiaj ze sobą kasety magnetofonowe. Nigdy przedtem nie widziała, żeby je zabierał.

- Masz tu bezprzewodowy odtwarzacz? - spytała z zainteresowaniem, gdy znowu byli na szosie.

- Pewnie się zastanawiasz, czy muszę tak bez przerwy pilnować mojego pojazdu - roześmiał się.

- Dlaczego nigdy nie nastawisz żadnej muzyki?

- Każdy ma inne upodobania. Nie chciałbym wam niczego narzucać.

- A zatem dlaczego nie zorganizujesz tego w sposób demokratyczny? - Celia przechyliła do tyłu głowę, odrzucając na plecy swoje ciemne, bujne włosy. - Najpierw ty wybierzesz jakieś nagranie, a potem każdy zaproponuje swój ulubiony utwór. Może nawet ktoś w przyszłym tygodniu zdecyduje się przynieść własną kasetę. Jak ci się podoba ten pomysł?

- Gdybym jeszcze kiedykolwiek w życiu został zmuszony do wysłuchiwania rytmów z Nasłville, czego już raz przez przypadek w życiu doświadczyłem, zboczyłbym z szosy w najzdradliwsze moczary.

- Wobec tego dajmy sobie z tym spokój - zaproponowała pojednawczo.

Kontynuowali podróż w milczeniu, pogrążeni w rozmyślaniach. Celia zastanawiała się, jaka pora dnia będzie najwłaściwsza na przeprowadzenie rozmowy z matką. Musi przecież istnieć jakiś moment w ciągu dnia, kiedy nieszczęsna kobieta nie cierpi z powodu kaca i nie znajduje się jeszcze w stanie upojenia alkoholowego. Musi być jakaś pora, być może późne przedpołudnie, kiedy Celia będzie mogła poprosić Barta, żeby dopilnował baru. Choć zwykle w soboty przed lunchem w pubie panuje niewielki ruch. Ewentualnie umieści na drzwiach wywieszkę: „Lokal nieczynny”. Ojciec Reilly zamykał plebanię, ilekroć chciał mieć godzinę dla siebie albo dla jakiegoś biedaka, któremu zdecydował się poświęcić czas. Tak, tak będzie najrozsądniej. Dostyc już wysługiwania się Bartem, który lubi w weekendy pomagać Judy w ogrodzie. Zamknięcie pubu na godzinę czy dwie nie stanowi problemu. Celia nie wiedziała tylko, w jaki sposób bez przykuwania matki łańcuchami do miejsca zdoła ją nakłonić do wysłuchania niemiłej prawdy, że jest niezdolna do prowadzenia własnego baru i powinna pójść na odwykówkę, póki jeszcze nie jest na to za późno. Sprawa zaszła za daleko, żeby uciekać się do składania fałszywych obietnic, zapewnień i prowadzenia całej tej gry. W zeszłym miesiącu Celia była świadkiem, jak chirurg poinformował czterdziestodwuletniego pacjenta, że stwierdził u niego zaawansowaną chorobę nowotworową i że pozostały mu niecałe dwa miesiące życia. Teraz czuła - podobnie jak wtedy - paniczny strach. Łudziła się podświadomie, że świat się skończy, zanim trzeba będzie wyjawić fakty. Wówczas, w szpitalu, sprawa przybrała niespodziewany obrót: wszyscy sądzili, że chory przeżyje głęboki wstrząs - stąd obecność Celii, która w razie potrzeby miała przyjść z pomocą. Pacjent zachował jednak ogromny spokój. „Czy to pewne?” - spytał tylko cichym głosem. Stali we trójkę jak ogłuszeni - Celia,

znakomity chirurg i anestezjolog. A potem mężczyzna powiedział: „Nigdy nie byłem w Ameryce. Wyobrażacie to sobie? Ani razu w życiu nie udało mi się tam pojechać. Czy to nie zabawne w dzisiejszych czasach?” Niejednokrotnie jeszcze powracał do tego tematu, nim umarł. Sprawa ta zdawała się niepokoić go znacznie bardziej niż sama śmierć i osierocenie żony oraz trojga małych dzieci.

Może matka powie coś równie nieoczekiwanego? I oświadczy na przykład, że od dawna się zastanawiała, na czym polega jej problem, a potem zgłosi się z własnej woli do zakładu odwykowego. „Przestań marzyć, Alicjo z krainy czarów - upomniała się surowo w myślach Celia. - Jesteś już dorosła. Zamykanie oczu na rzeczywistość i snucie fantazji nie ma sensu, bo cud się nie wydarzy”.

- Spójrz na tamtą obwieszoną szmatkami gałąź - powiedział nagle Tom. - Przypuszczam, że to święte źródło, drzewo życzeń lub coś w tym rodzaju.

- Może powinniśmy wszyscy wysiąść i zawiązać na niej własne gałganki - zasugerowała Celia. Konary rzeczywiście były ozdobione wstążkami i świętymi obrazkami. - Tyle razy tędy przejeżdżamy, a nigdy nie zwróciłam na to miejsce uwagi - dodała, oglądając się przez ramię. Wyglądało na to, że Dee Burkę płacze. Trzęsła jej się broda jak dziecku i zdawało się, że dziewczyna usiłuje powstrzymać łzy. Nancy Morris, jak zwykle, tokowała o czymś nieprzerwanie. A zatem to nie mogło być nic poważnego.

- Ja też nigdy przedtem go nie widziałem. Może to miejsce kultu jakiegoś świętego. Znasz historię świętej Filomeny, która została wykreślona z rejestru świętych? Czyżby to jej oddawano tutaj cześć?

- Zastanawiam się, czym sobie na to zasłużyła - rzekła Celia.

- Nie wiem. Może odkryła swój prawdziwy charakter? -Tom odsłonił zęby w uśmiechu. - Pamiętam, jak bardzo ta sprawa poruszyła moją siostrę, Phil. Uznała to za atak na wiarę.

- Nic dziwnego. Przecież to jej patronka. A skoro już mowa o twojej siostrze: co u niej słycać? Dawno jej nie widziałam.

- Wszystko w porządku, dziękuję - odparł krótko. Celia wróciła do poprzedniego tematu:

- Zastanawiam się, czy to miejsce kultu chrześcijan, czy pogan?

- Sadzę, że jednych i drugich. - Znowu udzielił lakonicznej odpowiedzi.

Celia pomyślała o drzewie. Czy nie byłoby wspaniale udać się tam i pomodlić do świętego, patrona matek alkoholiczek, zostawić mu ofiarę i po powrocie do domu stwierdzić, że prośby zostały wysłuchane? Bart Kennedy obsługiwałby goście za barem, a matka czekałaby ze spakowaną walizką i pełnym nadziei wyrazem twarzy.

- Do zobaczenia podczas weekendu - pożegnał ją Tom, uśmiechając się przyjaźnie.

Skinęła głową. Wyraźnie był w markotnym nastroju. Zazwyczaj nie przeszkadzały jej długie chwile milczenia, a nawet bardzo je lubiła. Dzisiaj jednak miała ochotę z kimś porozmawiać. Brakowało jej Emer. Z przyjaciółką można było pogadać o wszystkim, wiedząc, że rozważy problem i nie będzie przy każdej okazji do niego wracać ani o nic się dopytywać. Emer zawsze służyła radą, lecz nie była zła, jeśli ktoś z niej nie skorzystał. „Każdy robi w końcu to, na co ma ochotę” - zwykła mawiać. Nie wiedziała jednak, jak przekonać ludzi, aby postępowali właściwie. Albo żeby wybierali najlepsze rozwiązania. Celia niejednokrotnie się z nią o to spierała. Dlaczego nie ma zwyczaju zakładania drucianych siatek na usta nadmiernie otyłym dzieciom, które mają chorobliwy apetyt? Dlaczego nie wprowadza się dla nałogowych palaczy kart medycznych, wydawanych tylko osobom o zdrowych płucach bez śladów rozedmy, które by upoważniały do nabycia jednej paczki papierosów dziennie? Przecież coś takiego ocaliłoby im życie, czyż nie tak? - sugerowała Celia. Emer wzruszała

ramionami. Uważała, że to by działało jedynie na krótką metę: dzieciaki tylko czekałyby na usunięcie zabezpieczenia, a palacze i tak zdobyliby gdzieś papierosy albo paliliby niedopałki. Dlaczego w takim razie obowiązuje zakaz handlu narkotykami? I u Quinswortha nie sprzedaje się na kilogramy heroiny? Gdyby tak było, zniknęliby pośrednicy, a ludzie dla zdobycia narkotyku nie musieliby się uciekać do kradzieży i prostytucji.

Emer twierdziła, że z narkotykami to co innego - są naprawdę trucizną o śmiertcionośnych właściwościach. Przecież strychniny i arseniku też nie można po prostu kupić w sklepie.

A co z alkoholem, który również zabija? Obie widziały wystarczająco wiele zniszczonych wątrób, żeby o tym nie wiedzieć. I obie niejednokrotnie były świadkami powolnego umierania alkoholików. Emer zauważyła, że skoro Celia jest tak zdecydowanie przeciwna picciu, to nie powinna prowadzić pubu, lecz założyć klub dla abstynentów. Potem zwykle wypijały po butelce guinnessa i zmieniały temat rozmowy. Obecność przyjaciółki działała na Celię bardzo kojąco. Nic dziwnego, że jej przystojny mąż oraz trójka podchowanych dzieci nigdy nie mogli się doczekać na jej powrót z pracy. Nie była nikim nadzwyczajnym. Zdarzały się jej, tak jak wszystkim, gorsze chwile i upadki. I właśnie dlatego rozmowy z nią tak bardzo podnosiły na duchu.

- Dobranoc - powiedziała Celia i zaraz dodała: - Dziękujemy za przywiezienie nas tutaj. - Nie chciała zachować się szorstko wobec Toma tylko dlatego, że nie mógł zastąpić jej Emer. To byłoby nieuczciwe w stosunku do niego.

- Na zachodzie choćby o głodzie, powiedziałby Mikey - roześmiał się Tom.

- Nie zachęcaj go. Słyszeliśmy już dzisiaj wystarczająco dużo jego żartów.

Od progu pubu powitał Celię głośny gwar i okrzyki matki za barem. Wiedziała, że czeka ją długie i trudne półtorej godziny. Postawiła torbę na podłodze w kuchni, powiesiła marynarkę,



podeszła cicho do Barta Kennedy'ego, który bez słowa poklepał ją po ramieniu, i zaczęła napełniać kufle. Matka awanturowała się przez dwie godziny, dopóki bar w końcu nie został zamknięty. Siedziała przy jednym ze stolików i miotała przekleństwa, podczas gdy Celia opróżniała kolejne popielniczki i wycierała blaty. Nie będzie protekcjonalnie traktowana w swoim własnym pubie, wykrzykiwała matka. Nie pozwoli na to, żeby Celia szarogęsła się w lokalu, jak gdyby była jego właścicielką. Nie jest nią i nigdy nie będzie. Chyba zdaje sobie z tego sprawę. Pani Ryan sporządziła testament w kancelarii pana Greena w obecności sympatycznego młodego pana MacMahona. Zgodnie z ostatnią wolą pub po jej śmierci zostanie sprzedany, pieniądze zaś podzielone na cztery równe części i przekazane Maire, Harry'emu, Danowi i Celii. Celia nie odezwała się ani słowem. Pozmywała kufle, splukując je najpierw pod gorącą wodą, a potem pod zimną, i postawiła do góry nogami, żeby obciekły na plastikowej siatce: w ten sposób powietrze miało do nich ze wszystkich stron dostęp i wysychały bez zacieków.

Na stoliku matki stała butelka brandy, której Celia nie próbowała nawet tknąć. Przeszła obok i zamknęła drzwi. Bar był przygotowany na przyjęcie gości. Ścisnęło ją w gardle na myśl o czekającej ją rano rozmowie i o tym, że na drzwiach pubu po raz pierwszy od dnia pogrzebu ojca pojawi się wywieszka z napisem: „Lokal nieczynny”.

- Czy nie masz nawet tyle ogłady, żeby powiedzieć swojej matce dobranoc?

- Dobranoc, mamó - pożegnała ją Celia i znużona powlokła się wąskimi schodami na górę do małej białej sypialni z żelaznym łóżkiem. Przez chwilę leżała, nie mogąc zasnąć. Dostatecznie długo, żeby usłyszeć ciężkie kroki matki na schodach i odgłos otwierania komody na podeście. Matka musiała wiedzieć, że to tam jest: było zawsze, od trzydziestu ośmiu lat, przez całe jej życie małżeńskie.

Panował bardzo słoneczny, zbyt słoneczny dzień. Celia raptownie się przebudziła. Zastony były rozsunięte, a przy niej stała matka z herbatą.

- Pomyślałam, że będziesz miała ochotę wypić ją w łóżku po całym tygodniu pracy. Tym bardziej że pewnie wczoraj do późna zmywałaś naczynia. - Głos matki brzmiał dość pewnie i nie drżała jej ręka, gdy podawała córce filiżankę na spodku.

Celia usiadła i przetarła oczy.

- Byłaś razem ze mną, kiedy zmywałam - zauważyła.

- Oczywiście, wiem o tym. - Matka się zaczerwieniła. Niczego nie pamiętała. - Niemniej dziękuję ci bardzo... za zorganizowanie tego wszystkiego.

Celia wprawdzie nie poczuła zapachu alkoholu, wiedziała jednak, że matka już się czymś dzisiaj leczyła, być może wódką. Tylko dlatego rozmowa z nią była w ogóle możliwa. Zadbana też o swój wygląd - uczesała się i włożyła sukienkę z białym kołnierzykiem. Z wyjątkiem oczu, które były straszliwie przekrwione, prezentowała się całkiem nieźle.

Być może nadeszła stosowna chwila. Celia spuściła nogi z łóżka i upiła solidny łyk herbaty.

- Dziękuję, mamó. Chciałabym z tobą porozmawiać... Potem trudno będzie znaleźć odpowiedni moment...

- Nastawiłam na dole czajnik. Za minutę do ciebie wrócę.

I odeszła. Nie było żadnego czajnika. Celia wstała i ubrała się prędko. Zamiast dzinsów włożyła spódnicę z szerokim paskiem i bluzkę. Strój ten przypominał uniform pielęgniarski i nadawał jej poważniejszy wygląd. Nie zastała matki w kuchni. Gdzie się mogła podziewać? Od strony bocznego wejścia dobiegały jakieś odgłosy. Matka, uzbrojona w wiadro i szczotkę ryżową, kłęcząc szorowała schody.

- Wczoraj wieczorem zauważyłam, że jest tu bardzo brudno. Nie możemy przecież dopuścić, żeby to miejsce popadło w ruinę. - Była spocona i zadyszana. Celia nie starała się jej wyręczyć. Wróciła do kuchni i zaparzyła sobie jeszcze jedną

filizankę herbaty. W końcu matka musiała się przecież tu zjawić.

- Teraz jest o wiele lepiej - stwierdziła pani Ryan po powrocie.

- To dobrze.

- Widziałam przed chwilą Nancy Morris, tę napuszoną damę, która wita się tylko wtedy, kiedy tak jest jej wygodniej. Udawałam, że nic nie słyszę. Jej matka nie jest zachwycona, że Nancy przyjeżdża co tydzień.

- Nie wątpię w to - rzekła Celia. Pani Ryan prędko się zmytygowała.

- Och, ty to zupełnie co innego. Wspaniale, że wracasz do domu. To dla mnie ogromna pomoc.

- Cieszę się, że tak uważasz dzisiaj rano. Wczoraj przemawiałaś do mnie zgoła innym tonem.

- Och, nie możesz brać mi tego za złe. W piątki panuje tutaj straszliwy tłok, a klienci zasypują człowieka ze wszystkich stron zamówieniami. Być może sprawiałam wrażenie, że jestem u kresu wytrzymałości, ale czyż nie podziękowałam ci rano za pozmywanie naczyń i nie przyniosłam herbaty do łóżka? - Mówiła teraz niemal błagalnym tonem, jak dziecko proszące o pochwałę.

Celia odebrała matce szczotkę i wiadro, a potem, łagodnie do niej przemawiając, podprowadziła ją do stołu. Nie chciała dopuścić do tego, żeby matka wyskoczyła z kuchni jak z procy.

- To prawda, że przyniosłaś mi do łóżka herbatę. Wiem też, że w głębi duszy jesteś wdzięczna za pomoc. Nie o to jednak chodzi, mamó, lecz o coś zupełnie innego. Nie pamiętasz nic, co wydarzyło się wczoraj po godzinie dziewiątej wieczorem. I w tym tkwi problem.

- O czym ty mówisz?

- Kiedy tu weszłam przed dziesiątą, byłaś już całkiem wstawiona. Wyklócałaś się z jednym z klientów, że dał ci zamiast dziesięciu funtów banknot pięciofuntowy. Oświadczyłaś

młodej Bidy Brady, że jutro nie życzysz tu sobie jej rozwrzeszczanej bandy - na szczęście Bart załagodził sprawę. Potem wylała całą butelkę soku cytrynowego i nie pozwoliła nikomu go zetrzeć - blat lepił się przez cały wieczór. Nie mogła znaleźć puszek z chrupkami ziemniaczanymi, lecz oświadczyła, że masz to w nosie, gdyż golfiści, którzy o nie prosili, cuchną niczym dziecięce bździny. Tak, mam, to twoje własne słowa.

Matka spojrzała na nią zza stołu. Nic nie wskazywało na to, że zamierza wstać albo uciec. Zatrzymała na córce spokojny wzrok.

- Nie mam pojęcia, dlaczego mi o tym wszystkim mówisz.

- Ponieważ to wszystko się wydarzyło, mam - powiedziała Celia z naciskiem. - Uwierz mi, to, a także wiele gorszych rzeczy podczas ubiegłych wieczorów.

- Co zamierzasz dzięki tej rozmowie osiągnąć?

- Nie wiem. Jestem tylko pewna, że to samo znowu się dzisiaj wieczorem powtórzy. Nie potrafisz dać sobie z tym rady, mam. Widzę, że już wypijała drinka. Mówię to dla twojego dobra.

- Nie bądź śmieszna. - Pani Ryan miała zamiar wstać, lecz Celia ją przytrzymała, mocno chwytając za nadgarstek.

- Jeszcze do nikogo nie napisałam. Nie chciałam alarmować rodzeństwa. Sądziłam, że to minie. Myślałam, że twoje zachowanie jest spowodowane zbyt dużym napięciem w czasie weekendów. Mam, uwierz mi, ty naprawdę masz problem. I musisz się postarać jakoś temu zaradzić.

- Do kogo chcesz napisać?

- Do rodzeństwa.

- Zamierzasz opowiadać te brednie całemu światu?

Celia

- Nie, jeśli spróbujesz sobie pomóc. Notorycznie się upijasz, mam. Całkowicie straciłaś nad sobą kontrolę. Oto co będziesz musiała zrobić...

- Niczego nie muszę robić. Być może wypijam czasami o jednego drinka za dużo. Postaram się pilnować, zgoda. Czy

teraz czujesz się usatysfakcjonowana? Przesłuchanie skończone? Czy możemy zająć się zwykłymi sprawami?

- Proszę cię, mamę, posłuchaj. Czy mam sprowadzić tu Barta, żeby ci opowiedział, jak się zachowujesz? Każdy przyzna, że na zbyt wiele sobie pozwalasz... Billy Burns, pani Casey, każdy.

- Zawsze byłaś bardzo pruderyjna w sprawach picia alkoholu, Celio, nawet wtedy kiedy jeszcze żył twój ojciec. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, że pracując w barze, trzeba być miłym i czasami wypić drinka z klientami. W przeciwieństwie do mnie nie nadajesz się do tej pracy. Jesteś zbyt poważna i źle nastawiona do ludzi. To zawsze był twój błąd.

Umieszczanie wywieszki: „Lokal nieczynny” na drzwiach miało się z celem. Celia wiedziała, że do matki nic więcej nie dotrze. Największym ustępstwem z jej strony było przyznanie się do wypijania podczas szczególnych okazji o kilka kropli za dużo. Kategorycznie zaprzeczała jednak, aby miały miejsce jakiegokolwiek sceny i nie pamiętała żadnych rozmów.

W porze lunchu zaczęli się schodzić pierwsi goście. Celia obserwowała matkę, która wychyliła whisky dla uczczenia zaręczyn syna doktora Burke'a. Celia wolałaby, żeby lekarz powiedział: „Ma pani przekrwione i podkrążone oczy, pani Ryan. Niech pani rzuci picie ze względu na swoje zdrowie”. Celia żałowała, że ojciec O'Reilly nie przyszedł do nich z duszpasterską wizytą i nie kazał matce dla dobra jej duszy udać się na leczenie, a potem złożyć śluby wstrzeźliwości. Być może w dzisiejszych czasach medycy i duchowni nie mieszają się w niczyje osobiste sprawy.

Automat telefoniczny znajdował się na samym końcu sali - w spokojnym i osłoniętym miejscu. Nic dziwnego, że połowa mieszkańców Rathdoon wołała dzwonić stąd, niż prowadzić rozmowy w zasięgu słuchu ciekawskich pracowników poczty.

Emer szykowałą właśnie lunch. Za pięciusetką wygraną wszyscy poszli wczoraj do kina i zamierzali to dzisiaj powtórzyć. Wypożyczane filmy były bardzo złej jakości pod

każdym względem, i nawet dzieciaki zrozumiały, że zakup wideo nie wchodzi w rachubę.

- Co mam z nią zrobić? - spytała Celia.

- Czy nie chce się przyznać sama przed sobą?

- Nie. Opisałam jej dzisiaj wszystko szczegółowo: to, co mówiła, co rozlała lub stłukła, i kogo obraziła. Nie uwierzyła w ani jedno moje słowo.

- I nie masz nikogo, kto by cię poparł?

- Nikogo. Bart ująłby to za łagodnie, a każda inna osoba byłaby zbyt zakłopotana.

- Sądzę, że musisz jeszcze poczekać.

- Nie mogę już dłużej. Ona też nie ma ani chwili do stracenia. To straszne. Musi być jakieś wyjście. W jaki sposób można otworzyć ludziom oczy? I czy nie ma metody, żeby to zrobić szybko?

- Słyszałam o pewnym człowieku, który zgodził się na leczenie w chwili, kiedy zobaczył siebie na kasecie wideo z wesela córki. Nie miał pojęcia, że jest z nim aż tak źle, dopóki...

- O to mi chodziło. Dzięki, Emer.

- Co takiego? Zamierzasz sfilmować swoją matkę? Bądź rozsądna.

- O wszystkim ci opowiem w poniedziałek. - Celia się rozłączyła.

Pani Fitzgerald zaprosiła ją do środka. Tak. Tom jest w domu. Właśnie piją herbatę - czy Celia nie chciałaby się do nich przyłączyć? Celia wyczuła, że rozmawiali o czymś ważnym i że nie powinna im przeszkadzać. Obiecała, że zajmie Tomowi tylko minutę. Tak, miał mały przenośny magnetofon oraz puste kasety. Czy chce przegrać coś z radia? Nie? Nieważne. Urządzenie jest łatwe w obsłudze. Tak, Tom może się bez niego obejść do niedzieli. Był zdziwiony, ale o nic więcej nie zapytał.

Za kontuarem panował tak wielki bałagan, że mały magnetofon nie rzucał się w oczy.

Celia posłużyła się nim rozsądnie, pół godziny z jednej strony baru, a następnie pół z drugiej.

Wzięła go nawet na chwilę do ręki i podsunęła matce niemal pod nos, gdy rozpoczęły się solowe śpiewy i pani Ryan wrzaskliwie interpretowała piosenkę, której prawie wcale nie znała.

Gdy Celia rejestrowała obraźliwe słowa skierowane pod adresem Barta Kennedy'ego oraz stek przekleństw, do baru wszedł Tom Fitzgerald i zobaczył magnetofon.

- Czy to uczciwe? - spytał.

- Zależy, jak na to patrzeć - odcięła się zdenerwowana i zaraz dodała znużonym głosem:

- Ona po prostu nie wie, rozumiesz? Z niczego nie zdaje sobie sprawy.

- Sadzę, że jej się to nie spodoba.

- Jestem o tym przekonana.

- Kiedy zamierzasz...

- Jutro rano puszcze jej tę kasete.

- Zajrzę tu wobec tego w porze lunchu i pomogę ci przyjść do siebie po burzy - obiecał. Miał urzekający uśmiech.

Przez kilka pierwszych chwil matka zdołała zachować kamienną twarz. Zachnęła się, słysząc stek wyzwisk, i uznała, że kasetę jest sfabrykowana, ale gdy rozległy się pijackie pochwały wygłaszane pod adresem zmarłego męża, w jej oczach pojawiły się łzy.

Siedziała z założonymi na piersiach rękami, niczym wylekniiony urzędnik, czekający na decyzję o zwolnieniu.

Z małego aparatu płynął jej głos - kazała się uciszyć towarzystwu Bidy Brady i domagała się, by pozwolili jej zaśpiewać. Spod zamkniętych powiek spłynęły łzy, gdy rozległy się pozbawione melodii, pijackie zawrozczenia. Celia wstała, zamierzając wyłączyć magnetofon.

- Zostaw - powstrzymała ją matka. Zaległa długa chwila ciszy.

- Tak, teraz już rozumiem - przyznała pani Ryan.

- Jeśli chcesz, możemy wszystkim powiedzieć, że dostałaś zapalenia płuc albo że pojechałaś odwiedzić Dana w Cowley. W ten sposób ukryjemy prawdziwy powód twojej nieobecności.

- Nie ma sensu niczego ukrywać. To oznaczałoby dalsze życie w kłamstwie, czyż nie tak? Lepiej nazywać rzeczy po imieniu. - Jej twarz była bardzo blada.

- Jeśli naprawdę tak myślisz, to już jesteś na dobrej drodze, mamó - powiedziała Celia i, przechylając się nad małym magnetofonem, wzięła matkę za rękę.

Tom

Pamiętał dzień, kiedy przemałował beżowy autobus na liliowo. Ogromną radość sprawiło mu wycelowanie na karoserię farby w sprayu i patrzenie, jak pojazd na jego oczach się zmienia. Matka była zdegustowana. Kolor świadczył o niewybrednym smaku i zbyt przyciągał uwagę - a to według wyznawanych przez nią zasad stanowiło największą zbrodnię. To, co dobre, pozostaje zwykle nie zauważone; zło jest jaskrawe i krzykliwe, niczym ten mały autobus o niesamowitej, fioletoworóżowej barwie. Ojciec Toma tylko wzruszył ramionami. Spytał matkę, czego oczekiwała. Jego ton świadczył o tym, że odpowiedź na to pytanie może go jedynie zaskoczyć. Prawie nigdy nie zwracał się bezpośrednio do syna; zwykł mówić o Tomie tak, jak gdyby był on nieobecny. „Ten chłopak myśli, jak sądzę, że pieniądze rosną na drzewach... ten chłopak uważa, że powinniśmy przygarnąć włóczęgów, którzy zamieszkaliby w naszym ogrodzie... ten chłopak czuje, że praca jest czymś poniżej jego godności”. Czasami Tom odpowiadał na uwagi ojca, czasami puszczał je mimo uszu. Jego reakcja była bez znaczenia. Ojciec miał ugruntowaną opinię o nim: „Ten chłopak jest utracjuszem; lewicującym, długowłosym wykolejńcem”. Mógł się po synu co najwyżej spodziewać, że następnym razem przemałuje swój wehikuł na purpurowo.



Tom nie zamierzał jednak niczego zmieniać. Był zadowolony z uzyskanego efektu. Pewnego dnia, gdy umycie autobusu nie poprawiło jego wyglądu, uległ kapryswi. Kolor liliowy wydał mu się zachwycający: ożywił i niemal personifikował pojazd. To właśnie wtedy Tom postanowił zająć się przewozem pasażerów. Jego działalność nie była w pełni legalna, ale w razie wypadku drogowego spółka ubezpieczeniowa miałaby ogromne trudności z udowodnieniem, że nie odwoził na weekend do domu siedmiorga swoich przyjaciół. Nikt nie widział przechodzących z rąk do rąk pieniędzy, Tom nie sprzedawał w drzwiach biletów, jak zwykli to robić kierowcy rejsowych linii, i za każdym razem jego pasażerami byli ci sami ludzie. Interes nie zaliczał się do najbardziej dochodowych - Tomowi wystarczyło zaledwie na pokrycie kosztów paliwa i zakup papierosów. Dzięki liliowemu autobusowi mógł jednak palić, ile chciał, i przyjeżdżać regularnie do Rathdoon, na czym mu bardzo zależało.

Tom wiedział wszystko o życiu swoich pasażerów w rodzinnym miasteczku, ale nie miał pojęcia, czym się zajmują w stolicy. Początkowo chciał zebrać od nich adresy, żeby co tydzień w niedzielę o dziesiątej zawozić każdego pod sam dom, zamiast wysadzać wszystkich w centrum miasta. Coś jednak podpowiedziało mu, że jego pasażerowie wolą zachować anonimowość i nie życzą sobie, żeby inni widzieli ich skromne sublokatorskie pokoje czy miejsca pracy. Kilka razy Tom zauważył niepozornego blondyna w ciemnych okularach, który siedział w samochodzie zaparkowanym w pobliżu miejsca, gdzie autobus rozpoczynał i kończył swój kurs - spostrzegł mężczyznę tylko dlatego, że miał rentgen w oczach. Czasami widywał, jak Dee Burkę wślizguje się do dużej limuzyny wprost w ramiona znacznie starszego od siebie mężczyzny, o którym nikt w Rathdoon, z Dee włącznie, nigdy nie wspominał. Tom przypuszczał więc, że są to potajemne spotkania. Wyteżona obserwacja i domysły nie pomogły mu jednak znaleźć

odpowiedzi na pytanie, czego się boi młody Kev Kennedy. Kiedyś Tom uważał go za sympatycznego chłopaka, który jako jedyny z całej rodziny miał odwagę wstać od kuchennego stołu, zostawić ojca, kromki chleba, plastry szynki i nastawione od świtu do nocy radio. Ale od jakiegoś roku młody mężczyzna był jednym kłębkim nerwów.

Celia mieszkała w domu pielęgniarek. Dziewczyny zajmowały go w szóstkę i najwyraźniej uważały to za ogromny sukces. Miały dwa telewizory, pralkę i w pomieszczeniu gospodarczym deskę do prasowania. Celia twierdziła, że nigdy nie padło między nimi jedno przykre słowo i że dopóki są niezamężne, takie życie bardzo im odpowiada. Nancy Morris dzieliła mieszkanie z ładną i pełną życia Mairead Hely; jak ta dziewczyna wytrzymała z Nancy, pozostawało dla Toma tajemnicą. Gdy spotkał kiedyś Mairead na przyjęciu, powiedziała mu, że najnowszą sztuczką jej współlokatorki jest czatowanie na promocję żywności w dużych domach towarowych - wpadała do nich tuż przed zamknięciem i tryumfalnie wracała do domu z zupą w papierowych kubkach lub z kawałkami sera nadzianymi na wykałaczki, oświadczając: „Oto moja kolacja”. Mairead wyznała Tomowi tamtego wieczoru, a było to trzy miesiące temu, że zbiera się na odwagę, aby poprosić Nancy o poszukanie sobie innego mieszkania. Pocciwy Mikey był tak sympatycznym człowiekiem, że Tom chętnie odwoziłby go pod sam dom. Kiedy mu to jednak zaproponował, znajomy roześmiał się tylko i poszedł na przystanek miejskiego autobusu, jak zwykle tryskając trudnym do zniesienia humorem. Judy Hickey udawała się w tym samym kierunku co Mikey, i Tom nieraz widywał ich razem, gdy włączał się do ruchu, zmierzając w stronę domu.

Nikt nie wiedział, gdzie mieszka. Był tego pewien. Dawno temu posiadał umiejętność udzielania wymijających odpowiedzi. Robił to z tak dużą wprawą, że ludzie, choć może nie czuli się w pełni usatysfakcjonowani, nigdy nie ośmielali się ponownie go o

to samo zagadnąć. Zapytany przez pannę Morris o wysokość miesięcznego czynszu, oświadczył, że trudno to obliczyć. A kiedy Rupert chciał się dowiedzieć, w jakiej części miasta mieszka, Tom zauważył, że kto jak kto, ale Rupert musi wiedzieć, która dzielnica jest aktualnie najmodniejsza. Powiedział też, że lubi przyglądać się ludziom w kolejkach przed kinem i snuć domysły na temat, gdzie mieszkają. Pasjonowałoby go to jeszcze bardziej, gdyby pracował w agencji handlu nieruchomościami. Rupert przyznał mu rację i opowiedział ze śmiechem o niezwykłych wymaganiach wielu przychodzących do jego biura klientów. Nigdy więcej nie spytał Toma o jego dubliński adres i najwyraźniej nie czuł się zawiedziony, że nie uzyskał konkretnej odpowiedzi.

Dee Burkę powiedziała Tomowi, że jej brat żyje w grzechu - czy to nie okropne, że chłopakom nikt nie bierze za złe tego, co w przypadku dziewczyn byłoby nie do pomyślenia?

- Czy ty aby też nie żyjesz w grzechu? - spytała go niespodziewanie.

- Sam nie wiem - odparł. - Nie jestem pewien, co się kryje pod tym pojęciem. Nigdy nie wytłumaczyli mi tego należycie w szkole. A jak to wyglądało u was? - Dee przyznała ponuro, że im wyjaśniali to nieustannie. Do tego stopnia, że gdy nadszedł czas opuszczenia szkolnych murów, wszystkim robiło się niedobrze na samą wzmiankę o grzechu, a co dopiero mówić o jego popełnieniu. Prawdopodobnie to właśnie było zamysłem nauczycieli. I tak oto Dee nie dowiedziała się nic nowego o życiu Toma. W Rathdoon mówiono o nim, że jako jedyny z braci Fitzgeraldów nie przyłączył się do rodzinnej firmy i nie zamierza budować imperium, a w Dublinie poświęca się jakimś zajęciom artystycznym. Kiedy zebrały się trzy osoby i padało jego imię, każda z nich miała inną teorię na temat jego zajęcia w stolicy. Niewiedza była w małych miasteczkach źródłem plotek. Dee spotykała się ze starszym od siebie facetem, Rupert miał przyjaciela, Kev siedział po uszy w karcianych długach lub w

innych kłopotach, a w rodzinnej miejscowości nikt niczego o nich nie wiedział. Ani o Tomie. Tylko jedna osoba знаła powód jego zamieszkania i sposób zarabiania na życie w Dublinie - matka.

Przez całe wieki nikt by się tego nie domyślił. Pani Fitzgerald wyrażała swoją dezaprobatę i wzdychała nad ubraniami Toma oraz nad kolorem jego autobusu. Zdecydowanie wolałaby, żeby jeździł mniej rzucającym się w oczy pojazdem i ubierał się w sposób bardziej stonowany i konserwatywny - w ciemnopopielate spodnie i brązowe marynarki, jakie zwykli nosić jego bracia. I żeby wkładał garnitur na niedzielną mszę, a także białą koszulę i krawat. Kiedy ojciec pomstował na młode pokolenie i na tego chłopaka w szczególności, matka nie stawiała w obronie syna. Postronny obserwator mógłby sądzić, że podziela opinię męża. Kto by przypuszczał, że Tom jest jej kołem ratunkowym?

Peg Fitzgerald zaliczała się do ładnych kobiet. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat wciąż bardzo o siebie dbała i każdy kosmyk jej włosów był zawsze na swoim miejscu. Nosiła wełniane garsonki w fioletowym lub ciemnozielonym kolorze oraz dopasowane barwą do stroju kosztowne broszki. Latem zwykła chodzić w lnianych kostiumach o podobnych odcieniach, dlatego od lat wyglądała wciąż tak samo. Trzy razy w roku fundowała sobie trwałą w dużym mieście, a przed południem w każdy piątek jej życia Sheila O'Reilly, bratanica pastora, myła i układała jej włosy. W Rathdoon Sheili nie groziło przepracowanie. Wyglądało jednak na to, że dziewczyna się tym nie przejmuje. Była zawsze pogodna i gdy nikt nie czekał w kolejce do uczesania, robiła na drutach, zapewniając sobie w ten sposób dodatkowe dochody. Żałowała, że nie ma więcej stałych klientek, takich jak pani Fitzgerald, które co tydzień o ustalonej porze chciałyby mieć świeżą i wciąż tę samą fryzurę.

Peg Fitzgerald pracowała codziennie w sklepie. Dobudowany sklep z wyrobami rzemieślniczymi był jej pomysłem i okazał się bardzo dochodowy. Za każdym razem, gdy w miasteczku zatrzymywał się autobus z turystami, w domu rzemieślników Fitzgeraldów rozlegał się przy kasie głośny elektroniczny dzwonek. Oferowano tam na sprzedaż szale, zwoje tweedów i ceramikę - szeroki asortyment wyrobów, zaspokajający różnorodne gusta. Tutaj też wszyscy mieszkańcy Rathdoon kupowali sobie nawzajem prezenty urodzinowe. Peg miała kłopoty z przekonaniem rodziny do swojego pomysłu, teraz jednak wszyscy patrzyli na nią z szacunkiem. Była zdecydowaną zwolenniczką prowadzenia interesu rodzinnego. Kiedy chłopcy się poženili, nikt nie wątpił w to, że ich żony również zostaną zatrudnione w sklepie. Jedna z kandydatek zerwała nawet zaręczyny, twierdząc, że nie ma zamiaru zostać pracującą za darmo ekspedientką i zrezygnować ze swojego stanowiska urzędniczki bankowej. Tom uważał, że dziewczyna ma charakter, pozostali jednak członkowie jego rodziny, z porzuconym bratem włącznie, podzielali pogląd, że uniknęli nieszczęścia, jeśli taki miałby być jej stosunek do ich firmy.

Od razu na początku Tom zapowiedział, że nie będzie pracował w sklepie. Nie było z tego powodu żadnych kłótni, ale wszyscy odnosili się do jego decyzji z rezerwą. Wolał zawczasu poinformować swoich trzech braci i dwie siostry, że się do nich nie przyłączy. Argumentował rozsądnie, że dzięki temu w ich planach nie będzie żadnych znaków zapytania związanych z jego osobą. Podjął tę decyzję dawno temu, jeszcze w czasach szkolnych. Jedyńm jego pragnieniem było zamieszkanie w Dublinie. Niekoniecznie musiał coś robić. Chciał po prostu żyć, zanim nie znajdzie sobie pracy, którą będzie zainteresowany. A potem może wyjedzie do Ameryki, do Paryża lub do Grecji. Człowiek, który nie ma wielkich wymagań od życia i nie myśli wciąż o pełnym brzuchu, któremu nie zależy na posiadaniu

własnego domu i na zbijaniu majątku, może się naprawdę utrzymać za niewielkie pieniądze.

Gdy wyjeżdżał, żegnano go nawet z większymi honorami niż jego braci, którzy byli na dobrej drodze do tego, aby stać się prawdziwymi magnatami handlowymi. Rozszerzali działalność, otwierając sklepy w innych miastach, i rozwijali nowe branże, realizując najbardziej niegdyś wykpiwany pomysł matki, by założyć na całym zachodzie kraju ośrodki handlu wyrobami rzemiosła. Nauczyciele, którzy uczyli wszystkich Fitzgeraldów, wyrażali się serdeczniej o Tomie niż o jego braciach. Twierdzili jednak, że jak na osiemnastolatka, jest bardzo stanowczy i niezależny w poglądach. Czy wolno mu było zatem pójść własną drogą teraz, kiedy miał już w garści wszystkie świstki świadczące o ukończeniu szkoły? Najcieplej, jak umiał, podziękował ojcu za propozycję opłacenia studiów, ale nie zamierzał z niej skorzystać. Pragnął tylko, żeby go wszyscy zostawili w spokoju. Nie zejdzie na złą drogę i regularnie będzie przyjeżdżał do domu, by naocznie mogli się przekonać, że wszystko z nim w porządku. Zaczepi się gdzieś. A jeśli mu się to nie uda, będzie co tydzień pobierał zasiłek dla bezrobotnych. W Dublinie to znowu nie taki straszny dyshonor. Kto go tam zobaczy i kto będzie wiedział, kim jest? Nie uważał, żeby to było nieuczciwe. Tak urządzony jest świat w dzisiejszych czasach: bogaci płacą podatki, dzięki którym ludzie ubodzy mają przynajmniej zapewniony chleb

I dach nad głową. Nikt nie pozwala już biedakom umierać na ulicach i nie przechodzi obok nich obojętnie, mówiąc: jaka szkoda, że nie mogą się podnieść i ruszyć na poszukiwanie pracy zarobkowej. Nie, nie zamierza do końca życia korzystać z pomocy państwa. Tak, jest bardzo wdzięczny za zaproponowane miejsce w rodzinnej firmie, ale ma tylko jedno życie i pragnie spędzić je inaczej.

Jakie to szczęście, że podjął decyzję o wyjeździe do Dublina! Co by się stało, gdyby tam teraz nie mieszkał?

Utrzymanie się za niewielkie pieniądze w stolicy nie stanowiło dużego problemu. Przez jakiś czas mieszkał u młodego małżeństwa. Mógł tam liczyć jedynie na łóżko i na skromne wyżywienie, gdyż ludzie ci sami nie mieli wiele dla siebie. Co wieczór uczył ich dzieci - dwóch miłych i bystrych chłopców. Powtarzał z nimi wszystko to, co przerobili w szkole, i pomagał im w odrabianiu lekcji. Nie bardzo był z tego zajęcia zadowolony, gdyż czuł, że dzieciaki powinny się bawić, zamiast coraz dłużej siedzieć z nosami w książkach. Posiadają wystarczającą wiedzę, powtarzał ich zaniepokojonym rodzicom, wszystko w porządku, nie trzeba obciążać ich umysłów coraz to nowymi faktami. Młode małżeństwo tego nie rozumiało. Najważniejszą rzeczą, ich zdaniem, było zapewnienie dzieciom lepszego startu, aby mieli w życiu większe szanse od innych. Ależ przecież chłopcy liczyli zaledwie dziewięć i dziesięć lat! Do walki o miejsca, o pozycje i o punkty dzieliły ich jeszcze całe wieki! Błada matka i wymizerowany ojciec niczego nie osiągnęli, gdyż nie było nikogo, kto by nimi pokierował. Nie zamierzali dopuścić do tego, by podobny los spotkał ich synów. Tom rozstał się z nimi w przyjaźni. Zaczął pracować jako ogrodnik u pewnej starszej damy i przez rok bez jej wiedzy nocował w ogrodowej szopie. Ani ona, ani nikt inny nigdy się o tym nie dowiedzieli, gdyż Tom przed jej pogrzebem zdążył zlikwidować swoje legowisko i prowizoryczną kuchenkę.

Potem pracował w nocnym klubie jako stróż porządku. Był szczupły i nie miał wyglądu typowego wykidajły. Jego atutem, ważniejszym od mięśni, okazało się przenikliwe spojrzenie. Szef, jeden z najostrożniejszych facetów w Dublinie, robił, co mógł, żeby go zatrzymać, i nawet zaproponował mu podwyżkę, lecz Tomowi nie o takie życie chodziło.

I tym razem rozstał się ze swoim pracodawcą w zgodzie. Zanim odszedł, spytał, za co był ceniony. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o sobie. Szef w pierwszej chwili się zachnął, że nie jest mu winien żadnych wyjaśnień. Potem przyznał jednak,

że ludzie wolą Tomowi schodzić z drogi, gdy utkwi w nich swój nieugięty wzrok. Tomowi spodobała się ta opinia, podobnie jak opinia starszej pani, która twierdziła, że jest wymarzoną ogrodniczką, oraz stwierdzenie dziewięciolatka, że dzięki niemu nauka łaciny stała się rodzajem łamigłówek i więcej już chłopca nie przeraża. Nie były to jednak pisemne referencje. Znalezienie nowej pracy kosztowało go zawsze wiele wysiłku i wiązało się z koniecznością wykorzystania uroku osobistego. Za każdym razem był zdany wyłącznie na siebie.

Pracował podczas wakacji w Grecji jako kierowca mikrobusu, rozwożąc wczasowiczów z lotniska do hoteli. Spędził lato w Ameryce jako wychowawca na obozie młodzieżowym, opiekując się siedmiorgiem niezadowolonych dzieciaków, które tęskniły za rodzinnymi domami. Przezimował w Amsterdamie, gdzie najął się do pracy w sklepie z pamiątkami. Przez trzy zabawne miesiące w Londynie zajmował się badaniami rynku i ankietował ludzi na ulicach, a przez trzy następne wykonywał zawód sanitariusza w jednym z londyńskich szpitali. Pracę tę uznał za skrajnie wyczerpującą i od tamtej pory wzrósł niepomiernie jego szacunek dla pielęgniarek. Kilka razy był bliski opowiedzenia Celi o tym epizodzie swojego życia, zawsze jednak w ostatniej chwili gryzł się w język. Nie miał zwyczaju mówić nikomu o tym, co robi - to zachęcałoby ludzi do zadawania pytań, które wymagałyby odpowiedzi.

Nie uważał siebie za wagabundę, a jednak od czasu opuszczenia szkoły, to jest od dziewięciu lat, nigdzie nie zagrzeł długo miejsca ani nie znalazł takiego zajęcia, na którym by mu naprawdę zależało. Jednakże przepracowanego w tak urozmaicony sposób czasu nie uważał za stracony. Cenił sobie nawet te osobliwe dni w klinice, kiedy pchał szpitalne wózki z wystraszonymi staruszkami wśród różnojęzycznego tłumu, gdyż przybywali tu pacjenci z całego świata, a wśród personelu też można było spotkać ludzi wszystkich narodowości. Dzięki dotychczasowemu trybowi życia nie miał żadnej stałej posady,



którą musiałby porzucić w związku z koniecznością opiekowania się Phil, ani przyzwyczajień, których musiałby się wyrzec.

Phil uchodziła za najmilszą osobę w rodzinie. Wszyscy dzielali tę opinię, podobnie jak pogląd, że Tom jest straszliwym dziwakiem i ma najtrudniejszy charakter z całego rodzeństwa Fitzgeraldów. Phil, najbliższa mu wiekiem, była od niego dokładnie o rok starsza. Cała szóstka urodziła się w ciągu siedmiu lat, a potem młoda Peg zaprzestała wydawania na świat potomstwa. Tom, przeglądając zdjęcia z dzieciństwa, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ich sześcioro bardziej przypomina na nich przedszkole niż rodzinę. Matka była jednak bardzo rada, że w krótkim czasie uporała się z problemem rodzenia, i ceniła sobie fakt, że wszystkie jej dzieci osiągnęły niemal równocześnie pełnoletność. Tom miał zawsze w Phil serdecznego przyjaciela, i gdy jako szesnasto i siedemnastolatek stał się tematem zażartych dyskusji w związku ze swoją odmową przyłączenia się do rodzinnej firmy, siostra zawsze okazywała mu wsparcie. Przebywała w tym czasie w oddalonym o trzydzieści kilometrów od Rathdoon mieście, gdzie uczyła się stenografii i pisania na maszynie - rodzina bowiem zgodnie uważała, że Phil powinna raczej pracować w biurze niż w sklepie. Podczas kursu handlowego zwykła przyjeżdżać do domu na weekendy i zachęcała Toma, żeby obrał własną drogę życiową. Miała, podobnie jak on, dużą, okrągłą i zawsze uśmiechniętą twarz. Przypominał sobie, że gdy przed laty bawiła się na potańcówce z Redem Kennedym, usłyszała w domu kazanie. Wprawdzie rodzina Kennedych jest przyzwoita i trudno jej coś zarzucić, ale Phil powinna mierzyć wyżej. I pomimo oburzenia siostry oraz jej zapewnień, że nie zagięła parolu na Reda, członkowie rodziny w dalszym ciągu kręcili z dezaprobatą głowami.

W Rathoon typ urody reprezentowany przez Phil zwykło się nazywać okazałym. Matka pocieszała ją, że zeszczupleje we

właściwym czasie. Czyż Anna, najstarsza z rodzeństwa, nie była również w dzieciństwie tłuściutka? Pani Fitzgerald zawsze uważała, że istnieje niepisane prawo, w myśl którego dziewczyna musi być miła, szczupła i atrakcyjna, jeśli planuje założenie własnej rodziny. Taka już była kolej rzeczy. Phil próżno czekała na magiczną przemianę, związaną z działaniem praw natury: pozostała krępa, nie pojawiły się dołki w jej policzkach ani nie stała się cienka w talii, której to zalecie jej siostra Anna zawdzięczała usidlenie Dominika - kandydata ze wszech miar pożądanego na męża.

Tom nigdy nie uważał, żeby siostra była za gruba. Niejednokrotnie jej to powtarzał, gdy przyjeżdżał do domu na weekendy. Twierdził, że musi być niespełna rozumu, skoro uważa, że jest za tęga, a już prawdziwym szaleństwem byłoby przypisywanie braku przyjaciół rzekomo nadmiernej tuszy.

- Kogo zatem do nich zaliczysz? Wymień choć kilku - płakała.

Tom nie potrafił sprostać temu zadaniu. Oświadczył jednak, że nie zna również przyjaciół swoich braci - przecież od dawna nie mieszka w Rathdoon i nie orientuje się w tutejszych stosunkach. Pragnąc przyjść siostrze z pomocą, zasugerował wyjazd na wczasy dla samotnych. Każdy rozpoczynał je sam, a wracało z nich wiele zakochanych par. Phil skwapliwie przeczytała folder turystyczny i postanowiła usłuchać rady brata.

- Nie mów nikomu, że to urlop dla osób samotnych - poradziła matka. - Powiedz, że chodzi o zwykłą wycieczkę do Hiszpanii.

Tom nigdy się nie dowiedział, co się dokładnie stało, w każdym razie pomysł nie wypalił. Phil stwierdziła, że bardzo jej się w Hiszpanii podobało i że była piękna pogoda, ale nic ponadto. Później, znacznie później, siostra wyjawiała mu, że wszystkie dziewczyny z wyjątkiem Phil chodziły bez biustonoszy po plaży i że prawie każda urlopowiczka

utrzymywała intymne stosunki z jednym lub kilkoma mężczyznami z ich grupy - znowu z wyjątkiem Phil - a poznanie nowych ludzi, tańczenie z nimi i prowadzenie rozmów w celu lepszego wzajemnego poznania się w ogóle nie wchodziło w rachubę. Były to nie tyle wakacje dla osób samotnych, co żądnych wrażeń i znajdujących je w łózkach nieznajomych.

W tamtym czasie jednak Tom o niczym jeszcze nie wiedział. Siostra wróciła milcząca i zamknięta w sobie. Wkrótce potem zauważył, że straciła na wadze, ale pozostawił ten fakt bez komentarza, gdyż jako jedyny w rodzinie dotychczas przekonywał ją, że tusza nie ma żadnego znaczenia. Gdyby teraz zaczął ją podziwiać, pomyślałaby, że przedtem nie chciał jej tylko sprawiać przykrości. Phil nie wybierała się już więcej na tańce ani nie robiła, tak jak kiedyś, wypadów z koleżankami nad morze. Uczciwie musiał przyznać przed samym sobą, że wtedy nie zwrócił na to uwagi, dopiero potem przypomniał sobie wszystko.

Phil przyjeżdżała czasami pociągiem do Dublina na jednodniowe wycieczki. To były mordercze wyprawy: o dziewiątej rano z miasta oddalonego o trzydzieści kilometrów od Rathdoon wyruszał pociąg, który docierał w południe do stolicy, a już o szóstej po południu odchodził pociąg powrotny. Po wyczerpujących zakupach wszyscy, objuczeni paczkami, wpadali na obolałych nogach na dworzec, aby wieczorem wrócić do domu. Phil zawsze telefonicznie uprzedzała Toma, ilekroć wybierała się na jeden z tych maratonów. Umawiali się na przystanku jego autobusu, który jeszcze w tamtych czasach był w kolorze brudnego beżu.

Podczas kolejnej wyprawy Phil wyglądała bardzo blado i przyznała się, że w pociągu płakała z powodu ostrych boleści. Współpasażerowie z przedziału radzili jej, żeby koniecznie poszła się przebadać do szpitala. Tom przyglądał jej się zatroskany, ale gdy zgięła się w pół i wydała z siebie przeciągły

jęk, w jednej chwili podjął decyzję. Zawiózł ją do ambulatorium szpitalnego. Zachowywał się w sposób opanowany i stanowczy. Zażądał, żeby została niezwłocznie zbadana, utrzymując, że to nagły przypadek. Jako brat podpisał zgodę na operację wyrostka robaczkowego, był przy niej, gdy przebudziła się z narkozy, i zapewnił ją, że już po wszystkim i że musi teraz tylko spokojnie poleżeć i odpocząć. Na jej zaniepokojonej twarzy pojawił się smutny uśmiech. Nazajutrz przyjechała matka z walizką potrzebnych córce rzeczy, z mnóstwem uspokajających słów i westchnień wdzięczności pod adresem Boga, że zesłał Toma, który był na miejscu i wszystkim się zajął. Przekazała też córce wyrazy miłości od reszty rodziny, pudełko czekoladek i flakon z wodą lawendową.

Tom sądził, że rekonwalescencja przebiega pomyślnie. Phil szybko wracała do sił. Nic więc dziwnego, że bardzo się zdziwił, gdy pielęgniarka oświadczyła, że chce porozmawiać z nim o jego siostrze. W cztery oczy. Złożyła już raport w tej sprawie swoim przełożonym, to znaczy oddziałowej i chirurgowi, który pacjentkę operował. Kobieta uważała jednak, że o problemie powinien być również powiadomiony rodzinny lekarz panny Fitzgerald.

Tom poczuł narastające uczucie paniki. Pielęgniarka mówiła z wyrzutem, jak gdyby biedna Phil została przyłapana na okradaniu innych pacjentek na oddziale. O co jej chodziło? Zauważyła, że panna Fitzgerald spędza dużo czasu w toalecie. Gdy spytała ją, czy nie cierpi na obstrukcję lub biegunkę, chora zaprzeczyła. Pomimo że nie dokuczała jej żadna z tych niedomóg, spędzała w ustępie dużo czasu. Siostra zaczęła nasłuchiwać pod drzwiami. Tom poczuł przyspieszone uderzenia serca. O jakiejże to straszliwej sprawie miał się zaraz dowiedzieć?

Podjejrzenia pielęgniarki znalazły potwierdzenie. Były to wymioty, nawracające nudności. Dwa, a nawet trzy razy dziennie.

- Co jest ich powodem? - wykrzyknął Tom. Nie rozumiał, dlaczego kobieta wydaje się tak tym poruszona ani czemu o dolegliwościach Phil nie poinformował go lekarz.

- Sama je prowokuje - wyjaśniła pielęgniarka. - Zjada czekoladę, biszkopty, banany i kromki chleba z masłem - powinien pan zobaczyć te ilości pustych pudełek i papierów - a potem wszystko zwraca.

- Po cóż, na Boga, miałyby to robić?

- To bulimia, odmiana anoreksji, przypadłość polegająca na świadomym głodzeniu się na śmierć. Chorzy opychają się, a potem prowokują wymioty, żeby się pozbyć tego wszystkiego, co zjedli.

- I Phil to robi?

- Sadzę, że cierpi na tę dolegliwość już od dłuższego czasu.

- Czy ta choroba spowodowała zapalenie wyrostka?

- To dwie różne sprawy. Ale może, w pewnym sensie, także szczęśliwy zbieg okoliczności. Dzięki niemu pan i pańska rodzina poznaliście prawdę i będziecie mogli pomóc pańskiej siostrze w zwalczeniu tej choroby.

- Czy nie można po prostu jej tego zakazać? Czy nie wystarczy uświadomić jej, że to, co robi, jest... odrażające i bezsensowne?

- Och, nie. Na pewno tam nie powiedzą jej o tym wprost.

- Gdzie?

- W szpitalu psychiatrycznym. To choroba umysłowa. My nie zajmujemy się tego rodzaju przypadkami.

Pielęgniarka nie wyraziła się ściśle. Phil została przeniesiona na oddział psychiatryczny tego samego szpitala, gdzie znajdowała się pod nadzorem lekarskim w związku z przebytą operacją, a jednocześnie miała zapewnioną opiekę specjalistów i terapię grupową. Na początku odczuła ogromną ulgę, dowiadując się, że inni ludzie cierpią na to samo i że nie jest w tym, co robi, odosobniona. Dzięki tej świadomości z jej ramion został zdjęty ogromny ciężar. Nigdy nie czuła się winna, że

prowołuje nudności. To była najprostsza rzecz na świecie. Wystarczyło tylko włożyć palec do gardła i wymioty następowały automatycznie. Poczucie winy budziło w niej opychanie się żywnością. A szczególnie jedzenie ukradkiem w toalecie - to ją najbardziej zawstydzalo. Nie była gotowa, aby rozmawiać o pobudkach, jakie ją do tego pchały. Tom został poinformowany, że siostra jeszcze niejednokrotnie to robi, zanim zostanie całkiem wyleczona, wróci do rzeczywistości i zaakceptuje samą siebie. Pomoc i wsparcie rodziny w tym czasie będzie miało dla niej zasadnicze znaczenie. Jeśli Phil się przekona, że cieszy się wśród bliskich szacunkiem, będzie to krok milowy na drodze do odzyskania dobrego wyobrażenia o sobie. Rodzina, tak. Ale, wielki Boże, nie rodzina Fitzgeraldów! I nie akurat teraz!

Biedna Phil nie mogła wybrać gorszego momentu, żeby szukać u nich wsparcia, pomyślał ponuro Tom. Był to okres, kiedy wszystkie gazety rozwodziły się o zbrojnej napaści na urząd pocztowy w Cork i o późniejszym zasądzeniu

1 skazaniu Teddy'ego Fitzgeralda, kuzyna, który pracował w ich firmie. Rodzina przeżyła wielki wstrząs. Potem zdarzyła się historia z wiarołomstwem Dominika, męża najstarszej siostry Anny, który uchodził niegdyś za znakomitą partię. Krążyło wiele plotek o jego stosunkach pozamałżeńskich, a potem o dziecku, do którego ojcostwa w końcu się przyznał, choć potomek został wydany na świat nie przez jego żonę, lecz przez osobę najmniej odpowiednią na wybrankę serca w całej zachodniej Irlandii - kobietę parającą się drutowaniem garnków, która zerwała z wędrownym trybem życia. A zdaniem pani Peg Fitzgerald, gorszą kategorią ludzi od wędrownych druciarzy byli tylko ci spośród nich, którzy postanowili osiąść na stałe. Na Fitzgeraldów spadła ciężka hańba. Miało również miejsce jeszcze kilka innych nieprzyjemnych wydarzeń i choć żadne z nich nie było tak szokujące, to wszystko razem potęgowało troski bliskich Toma. Na pewno chwila nie była stosowna na

powiadamianie ich, że jedna z członkiń rodziny rozpoczyna długi okres leczenia psychiatrycznego i potrzebuje wsparcia rodziny.

Pani Fitzgerald wypowiedziała się bardzo jasno w tej sprawie. W domu nie będzie żadnych rozmów o Phil. To decyzja ostateczna. Phil w ramach rekonwalescencji po operacji wyrostka jest w odwiedzinach u przyjaciół i niebawem wróci do domu. A w biurze na czas jej nieobecności muszą sobie znaleźć kogoś w zastępstwie. Pani Fitzgerald pojedzie raz w miesiącu do Dublina, aby udzielić córce potrzebnego, zdaniem lekarzy, wsparcia, a Tom będzie się widywał z siostrą tak często, jak tylko to będzie możliwe. I na tym koniec. Sprawa ta nie stanie się przedmiotem rodzinnych dyskusji; i bez tego borykają się z wystarczająco wieloma problemami. Jakież by Phil miała szanse na znalezienie sobie męża, gdyby rozeszła się wiadomość, że była leczona w zakładzie psychiatrycznym? Żadnych argumentów więcej.

Tom nie był pewien, czy lekarze, mówiąc o wsparciu rodziny, mieli na myśli wyciszenie całej sprawy i sugerowanie Phil, że jej choroba jest bardziej wstydliva, niż była nią w istocie. Nie miał natomiast złudzeń co do tego, że zapewnienia matki podczas comiesięcznych wizyt, że nikt o niczym nie wie i niczego nie podejrzewa, że ludzie zostali świadomie wprowadzeni w błąd, a córka jest kryta dzięki różnym wymyślonym historyjkom, są najgorszą rzeczą dla siostry, która słuchała tego wszystkiego z wyrazem zmartwienia na twarzy i przeproszała za liczne kłopoty, jakich stała się przyczyną. Czasami matka niezdarnie brała Phil za rękę.

- Wszyscy cię bardzo... kochamy, Phil. - A potem, zaambarasowana, szybko cofała dłoń. Została pouczona przez psychiatrów, że wyrażanie uczuć jest właściwą metodą postępowania. Zapewnienia o miłości recytowała jednak jak wyuczoną na pamięć formułkę. Fitzgeraldowie nie należeli do ludzi afiszujących się ze swoimi emocjami. Nigdy się nie

obejmowali, nie przytulali ani nie całowali. Peg nie było łatwo zdobyć się na ten gest wobec córki. A Phil słuchała ze zdumieniem słów matki, która zaraz potem wstawała, wciągała rękawiczki i sięgała po torebkę, szykując się do wyjścia.

Tom codziennie odwiedzał siostrę, a w soboty i niedziele telefonował do niej. Pani Fitzgerald oświadczała nieraz, że również zadzwoniłaby do córki, gdyby miała jej coś do powiedzenia. Tom zawsze znajdował jakieś tematy. Przecież nieustannie się z nią spotykał i znał ją znacznie lepiej niż matka. Nigdy nie odnosił wrażenia, że rozmawia z osobą chorą ani że musi się do jej poziomu zniżać. Nie tłumaczył się zbyt, jeśli nie mógł przyjść z wizytą albo zatelefonować; udzielał tylko kilku słów wyjaśnienia. Nie chciał dopuścić do tego, żeby siostra nie mogła się obejść bez jego obecności. Traktował ją jak osobę w pełni normalną i równą sobie.

Często powracali w rozmowach do czasów dzieciństwa. Tom uważał, że było dość szczęśliwe, pomimo zbyt wielu dyskusji o interesach i nadmiernej skłonności rodziny do ukrywania licznych faktów przed sąsiadami. Phil zapamiętała je zupełnie inaczej. Jej zdaniem, wszyscy byli skorzy do śmiechu i zwykli godzinami gawędzić ze sobą przy stole. Tom twierdził, że to niemożliwe: przecież któreś z rodziców zawsze musiało być w sklepie. Phil wspominała wspólne rodzinne wyjazdy nad morze i na pikniki. Tom przyznawał uczciwie, że nie przypomina sobie żadnej z takich wypraw. Siostra utrzymywała, że często bawili się w chowanego i w komórki do wynajęcia. Według Toma, oddawali się tym rozrywkom bardzo rzadko, przy wyjątkowych okazjach. Nie spierali się jednak co do wspomnień, snuli je tylko, jak gdyby komentując oglądany przed wieloma laty film, z którego jedynie fragmenty pozostały w pamięci każdego z nich.

Rozmawiali o chłopakach, o dziewczynach i o seksie. Tom nie był zdziwiony, dowiedziawszy się, że siostra jest dziewicą, a jej nie zdumiał fakt, że on ma już pierwsze doświadczenia



seksualne za sobą. Zwierzali się sobie ze swoich osobistych spraw bez skrepowania i bez poczucia winy. Na pogawędkach w świetlicy szpitalnej lub w ogrodzie upływały im nieraz godziny. Czasami spotykali się na krótko, gdy Phil była milcząca i zamknięta w sobie albo kiedy Tom musiał iść do pracy. Znalazł zatrudnienie w domu aukcyjnym. Pomagał przy wnoszeniu i wnoszeniu mebli, numerował wystawiane na licytację przedmioty lub zapisywał je w katalogu. Myślał o zmianie zajęcia, ale odpowiadały mu godziny pracy, a poza tym dom aukcyjny znajdował się w blisko szpitala i Tom mógł tam zajrzeć w każdej chwili. Jedna z pacjentek zapytała, czy Tom jest chłopakiem Phil, a ona roześmiała się zażenowana i odparła, że nigdy nie miała chłopaka. Młoda kobieta wzruszyła ramionami i oświadczyła, że sama także postąpiłaby rozsądniej, zrywając ze swoim - mężczyźni to źródło samych kłopotów. Przez myśl jej nie przeszło, że rozmówczyni nie stać na chłopaka. I fakt ten bardzo kojąco wpłynął na Phil. Spytała brata, jakie dziewczyny mu się podobają. Odpowiedział, że tylko wyjątkowe, takie, które nie snują rozważań o domach, o zaręczynach i o przyszłości. Miał kiedyś sympatię, lecz na nieszczęście poznała pewnego straszliwie nudnego faceta, który ofiarował dziewczynie bezpieczną przyszłość i wysoką pozycję społeczną - wszystko to, czego Tom nie mógł jej zapewnić. Phil wysłuchiwała jego zwierzeń ze współczuciem.

- Nigdy nam o tym nie opowiadałeś - zauważyła.

- To prawda, ale ty też się nie przyznałaś, że omal nie poderwałaś Billy'ego Burnsa, chociaż był żonaty - powiedział ze śmiechem.

- Wyciągnąłeś ode mnie tę informację. - Również się roześmiała. Pomyślał, że leczenie chyba przebiega zbyt wolno. To niemożliwe, żeby wciąż była chora.

Często rozmawiał o stanie zdrowia siostry z psychiatrą i za każdym razem słyszał tę samą przygnębiającą odpowiedź, że Phil wciąż nie jest szczęśliwa i nie potrafi się jeszcze pogodzić

ze sobą ani znaleźć swojego miejsca w życiu. Wszyscy lekarze dziękowali Tomowi za odwiedziny i twierdzili zgodnie, że jest nieoceniony. Nie tylko z powodu regularnych wizyt, ale dzięki roztaczaniu przed siostrą nowych perspektyw życiowych po jej powrocie do Rathdoon. Nigdy nie brała mu za złe wyjazdów do domu na weekendy. Była nawet zadowolona i czuła się bliżej rodziny, gdyż przywoził jej wieści od rodzeństwa albo, co ważniejsze, pogodne listy od matki.

W każdą sobotę rano Tom zmuszał Peg Fitzgerald, żeby napisała do córki. Dopóty przy niej siedział, dopóki nie wywiązała się z zadania. Nie przyjmował do wiadomości tłumaczeń, że matka nie ma Phil nic nowego do zakomunikowania. Nie było mowy, żeby pozwolił się jej od tego wykręcić.

- Czy myślisz, że co tydzień nalegałbym na tych kilka zdań od ciebie, gdybym nie był absolutnie przekonany o ich doniosłym znaczeniu dla Phil? - wykrzykiwał. - Rozpaczliwie zależy jej na zapewnieniach, że jesteśmy z niej dumni i że ma wśród nas swoje miejsce. Nie zdoła wrócić, dopóki nie będzie o tym całkowicie przeświadczona.

- Przecież wszyscy pragniemy jej powrotu, to oczywiste. Na miłość boską, Tom, wydaje mi się, że przesadnie dramatyzujesz.

- Sytuacja jest dramatyczna, mamo. Phil przebywa na oddziale psychiatrycznym, i to głównie z tego powodu, że tutaj czuje się niepotrzebna, a my nie potrafimy wyprowadzić jej z błędu.

- Oboje z ojcem uważamy, że moje listy to zbyteczny i bezsensowny rytuał. Nigdy nie daliśmy jej w niczym odczuć, że jest dla nas kimś nieważnym. Traktowaliśmy ją z ogromnym szacunkiem, a jej przełożeni w biurze byli z niej bardzo zadowoleni. Tryskała humorem i niemal wszystkich tu znała: czyż mieszkańcy Rathdoon nie uważali jej zawsze za ozdobę naszego miasteczka?

- Napisz jej o tym - polecił.

- Czulałabym się głupio, poruszając ten temat. Wiedziałyby, że to tylko puste słowa.

- Przecież nie dalej jak minutę temu oświadczyłaś, że naprawdę tak myślisz.

- Oczywiście że tak myślę. Ale o takich sprawach się nie pisze.

- Musisz napisać, skoro cię tam nie ma i nie możesz jej tego osobiście powiedzieć. Nie zgodziłaś się, żeby była leczona w mieście oddalonym o trzydzieści kilometrów stąd, gdzie mogłabyś się z nią codziennie widywać. W tej sytuacji nie pozostaje ci nic innego, jak powiadomić ją o tym listownie. Skąd ma wiedzieć, jeśli tego nie zrobisz, że jest dla nas kimś bardzo ważnym?

- To nie to, że byłam przeciwna jej przyjazdowi tutaj. Zdecydowałam o leczeniu w Dublinie dla dobra Phil. W jej własnym interesie leży zachowanie całej sprawy w tajemnicy. - Zbyt często słyszał te słowa. Wątpił, by kiedykolwiek miało się to zmienić. A także w to, aby Phil kiedyś wyzdrowiała.

Był właśnie w trakcie kolejnej sobotniej utarczki z matką, gdy przyszła Celia Ryan. Zdziwił się na jej widok, ale i ucieszył. Miał dzisiaj ogromne trudności z przyparciem matki do muru. Rano czmychnęła przed nim, twierdząc, że jest potrzebna w sklepie. Dopiero gdy przyniósł jej filiżankę kawy i blok listowy, udało mu się ściągnąć jej uwagę. Matka wygłaszała właśnie jedną ze swoich tyrad o tym, jak to Phil musi się wziąć w garść. Tom odczuwał nieprzepartą ochotę poproszenia Celi, aby usiadła i na podstawie własnych szpitalnych doświadczeń wyjaśniła matce, czym jest anoreksja i bulimia. Wspomniałby przy tym mimochodem, że z powodu tej dolegliwości jego siostra przebywa na oddziale psychiatrycznym. Matka prawdopodobnie padłaby zemdlona, gdyby zdradził córce pani Ryan hańbiącą tajemnicę rodziny. Odrzucił więc kuszący pomysł.

Celia chciała pożyczyć od niego magnetofon i czystą kasetę. Miała zamiar coś nagrać. Była wyraźnie czymś podekscytowana. Nie udzieliła żadnych wyjaśnień. Nie mógł wziąć jej tego za złe. Sam też niechętnie opowiadał ludziom o sobie. Obiecała mu oddać pożyczone przedmioty w autobusie.

- Ta dziewczyna ma ze swoją matką ciężkie życie - zauważyła po wyjściu Celi pani Fitzgerald.

Tom skinął głową. Pomyślał, że sam nie ma lżejszego ze swoją, ale nie wypadało mu tego powiedzieć. Chciał tylko dopiąć celu i w poniedziałek wręczyć Phil list.

- Prawdopodobnie wyjdzie za męża za Barta Kennedyego. W ten sposób przez cały tydzień będą mieli lokal na oku - powiedział.

- Za Barta Kennedy'ego? Wykluczone. On się z nikim nie ożeni. Nie jest mężczyzną skłonny do żeniactwa - oświadczyła pani Fitzgerald kategorycznym tonem.

- Chyba nie sugerujesz, że jest homoseksualistą?

- Nie, nie to miałam na myśli. Bart to typ wiecznego kawalera. Może mężczyźni nie potrafią tego dostrzec, kobiety jednak wyczuwają kogoś takiego na kilometr. Twierdzą na przykład, że Red Kennedy ożeni się w ciągu niespełna roku. Słyszałam, że stara się o rękę pewnej panny. Ale Bart -nie ma mowy.

- Sądziłem, że to dla niego Celia wraca co tydzień do domu.

- Wraca po to, by uchronić lokal przed całkowitym upadkiem, to wszystko.

- Naprawdę? - Tom był zadowolony. Nie potrafił zrozumieć nagłego uczucia ulgi.

Poszedł tego wieczoru do pubu i odkrył, do czego Celi potrzebny był magnetofon. Pomyśl wydał mu się niesmaczny. Nie podobało mu się oszukiwanie biednej kobiety, która nie potrafi sprostać obowiązkom barmanki i tylko robi wokół siebie zamieszanie i bałagan. Sytuacja pani Ryan stała się w jego

oczach jeszcze bardziej poniżająca, gdy uświadomił sobie, że jej fałszywe zawrota głowy są nagrywane przez córkę.

- Ona nic z tego nie pamięta - wyjaśniła Celia, kiedy ją spytał, czy postępuje wobec matki uczciwie.

Wyobraził sobie Celię, jak usiłuje opisać matce jej wyczyny z ubiegłego wieczora, a pani Ryan nie chce niczego przyjąć do wiadomości i odpycha zarzuty córki typowym dla siebie w chwilach trzeźwości, pogodnym i rzeczowym tonem. Nikt inny nie ośmieliłby się poruszyć z nią tego tematu, dlatego pewnie jest przekonana, że Celia wyolbrzymia problem i przedstawia jej zachowanie w jak najgorszym świetle.

- Zajrzę tu jutro w porze lunchu i pomogę ci przyjść do siebie po burzy - obiecał. Uśmiechnęła się do niego ciepło i z wdzięcznością. Odszukał wzrokiem Barta Kennedy'ego, który napełniał kufle i śmiał się z chłopakami. On i Celia nie byli sobą zainteresowani. Tom chyba oszalał, żeby podejrzewać coś podobnego.

Nazajutrz obyło się jednak bez burzy. Matka Celi bardzo dobrze przyjęła prawdę. Teraz siedziała w pokoju na zapleczu, a Celia i Bart obsługiwali przybyłych w porze lunchu klientów.

- Wybiera się do Dublina. To najlepsze rozwiązanie. Będę mogła ją tam odwiedzać.

- Kiedy zamierza wyjechać?

- Jutro. Nie wrócę autobusem dzisiaj wieczorem. Zaczekam i pojedę razem z nią. Mam w Dublinie wspaniałą przyjaciółkę, pielęgniarkę. Zgodziła się zastąpić mnie w szpitalu, chociaż w poniedziałek przysługuje jej wolny dzień.

- Czy mieszka razem z tobą w tym waszym haremie?

- Emer? Ależ nie - jest powszechnie szanowaną mężatką i matką dwojga dzieci.

- Czy ty po wyjściu za mąż też zamierzasz pracować?

- Och, to pewne. Żaden mężczyzna nie nakłoni mnie do tego, żebym siedziała całymi dniami w domu, sprząając i gotując mu posiłki. Poza tym w dzisiejszych czasach wszyscy muszą

wykonywać jakiś zawód. Czyż bez tego można się cieszyć pełnią życia? Odpowiada mi praca pielęgniarki. Za nic w świecie bym się jej nie wyrzekła.

- Jak długo to potrwa?... - Skinął głową w stronę pokoju na zapleczu, gdzie siedziała w fotelu pani Ryan.

- Nie wiem. To zależy od niej - od tego, czy będzie skłonna do współpracy.

- Czy w jej leczeniu nie odegra dużej roli wsparcie rodziny?

- No cóż, nie może liczyć na swoje pociechy w Australii, w Detroit czy w Anglii. Moja pomoc musi jej wystarczyć.

- Phil ma te same problemy - wyznał niespodziewanie.

- Nie wiedziałam, że plaga alkoholizmu dotknęła także twoja siostrę - rzekła Celia. W jej głosie nie było nuty krytyki ani oburzenia.

- Źle mnie zrozumiałaś. Chodzi mi o to, że w Dublinie Phil też ma tylko mnie. Cierpi na bulimię: je w nadmiernych ilościach, a potem prowokuje wymioty.

- Dzięki tobie siostra ma większą szansę na przeżycie. Tak wiele osób umiera z powodu bulimii. Wzbudzają rozpacz te małe zasuszone małpki, które sądzą, że to najlepszy sposób na życie. Dolegliwość ta jest wyjątkowo stresująca. Biedna Phil, że też akurat ją musiało spotkać takie nieszczęście.

Spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Więc sądzisz, że twoje zamieszkałe za granicą rodzeństwo nie może być pomocne?

- Chyba nie. A twoje?

- Też nie. Dopiero teraz zaczynam zdawać sobie z tego sprawę. Dotychczas myślałem, że zdołam ich zmienić. Lecz oni wszyscy chowają głowy w piasek, nie pozwalają nikomu o tym mówić i udają, że nic się nie stało.

- Kto wie, może kiedyś coś do nich dotrze. Ale ty nie masz na to wpływu. - Była bardzo delikatna.

- Twoja na wpół szalona matka i moja nie w pełni poczytalna siostra będą musiały zadowolnić się nami.

- Czyż nie są szczęściarami, że nas mają? - Śmiech Celi zabrzmiął niczym dźwięk dzwonek.

- Będzie mi ciebie dzisiaj bardzo brakowało w autobusie - oświadczył Tom.

- Może przyjdiesz podnieść mnie na duchu, kiedy już umieszczę matkę w zakładzie. A jeśli zechcesz, mogłabym któregoś dnia wybrać się razem z tobą w odwiedzinę do Phil.

- Chciałbym, i to bardzo - powiedział Tom Fitzgerald.

RS